

# Fantaslyka

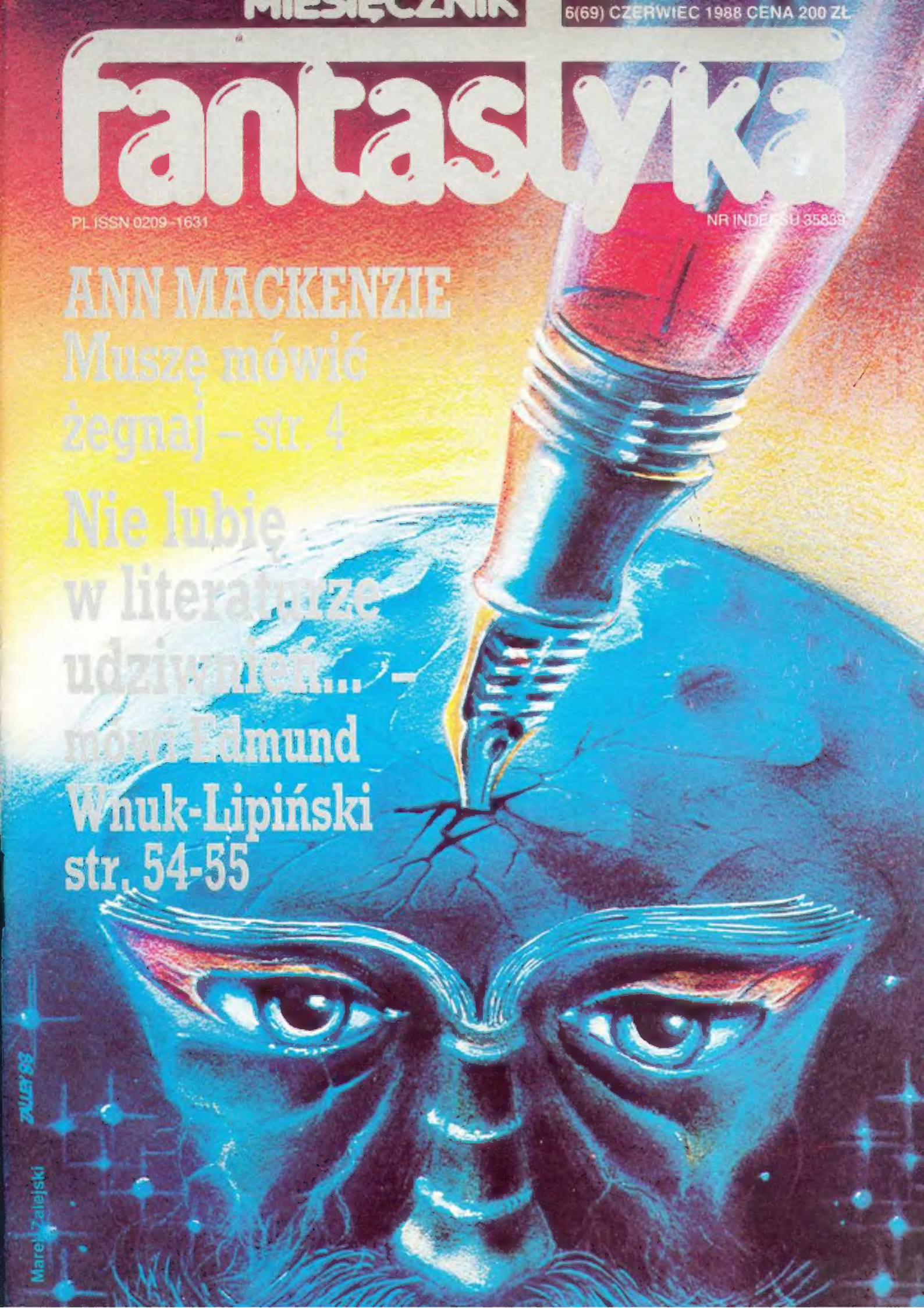
PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35889

**ANN MACKENZIE**

Muszę mówić  
żegnaj – str. 4

Nie lubię  
w literaturze  
udziwnień... –  
mówi Edmund  
Whuk-Lipiński  
str. 54-55







**Robert  
Pawlicki**

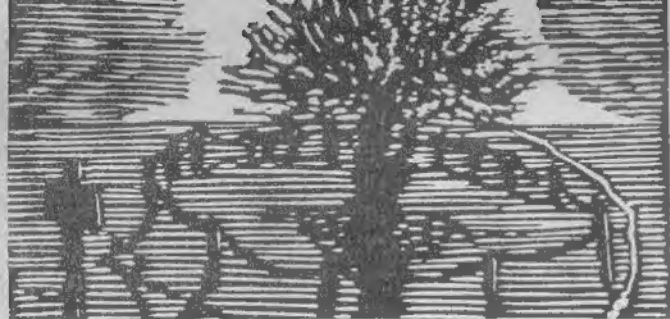
**Jerzy  
Kurczak**

**Maciej  
Krzywicki**

Ur. 5 X 1960 r., Pobiedziska.  
W 1980 r. ukończyłem Liceum Sztuk  
Plastycznych w Poznaniu, po czym  
rozpocząłem kolejny etap pracy w tym  
mieście w Telewizyjnym Studio Filmów  
Animowanych. Pracując jako animator  
miałem możliwość poznania kina od  
kuchni. Jednak znudzony żmudną  
pracą nad tworzeniem ruchu zacząłem  
interesować się scenografią filmu  
animowanego. W tym samym okresie  
mnóstwo mojego czasu pochłaniał  
rysunek i malarstwo, nawet  
hiperrealistyczne. Tak w ogóle, lubię  
czasem usiąść i coś zrobić.

Urodziłem się dawno, bo 27 IX 1952 r.  
Po ukończeniu różnych szkół, między  
innymi wyższej technicznej, pracowałem  
w różnych śmiesznych instytucjach, aby  
w 1984 r. zająć się na poważnie bardzo  
zabawną sprawą – rysowaniem i  
malowaniem różnych różności (film  
rysunkowy, grafika wydawnicza itd.).  
Niestety, nie ukończyłem żadnej szkoły  
plastycznej, a więc mogę powiedzieć:  
„nie umiem, ale lubię” i to jest  
najśmieszniejsze.

Ur. 17 IV 1955 r., Warszawa.  
Po ukończeniu Wydziału Architektury  
PW w 1978 r. rozpocząłem  
nieapetyczną i niewdzięczną pracę  
architekta w różnych instytucjach i na  
różnych stanowiskach. W 1982 r. ręce  
opadły mi ostatecznie i postanowiłem  
zająć się rysunkami i obrazkami.  
Znalazłem w tym upodobanie. Robię  
ilustracje do różnych pism, maluję  
obrazy, niekiedy nawet olejne.  
Uczestniczyłem w produkcji ślicznego  
filmu rysunkowego. Mam nadzieję na  
kontynuację tej pracy.



43

Z przyjemnością drukujemy kolejne opowiadanie Macieja Gałasza, autora jednej z prac wyróżnionych w 1983 r. w Konkursie „Fantastyki”. Jak pisze Maciej Parowski, opowiadanie to „stanowi brawurową obronę tezy, że laureaci naszego pierwszego konkursu nie powiedzieli w science fiction ostatniego słowa”.

Maciej Gałaszek: „Plantator wydm”

## Opowiadania i nowele

Ann Mackenzie  
Muszę mówić żegnaj

4

Zygmunt Nowak-Soliński  
Oknem kamery

6

András Gáspár  
Zabawa w chowanego

17

„Nazywam się Karen Anders mam dziewięć lat jestem nieduża i ciemna i krótkowzroczna mieszkam z Maxem i Libby nie mam przyjaciół...”

„... nie musiał przejmować się zbytnio i nie potrzebował zbyt dużej głębi ostrości. Spłowiła biała ławka na zielonym tle. Nacisnął spust migawki... i ławka zniknęła...”

„... Ten sam tani papier, ten sam nierówny druk. Efekt pospiesznej pracy. Tekst sformułował i opatrzył wyjaśnieniami niejaki Marteau. W końcu dziesiątej minuty pojawił się szef służby bezpieczeństwa...”

## Powieść

Larry Niven  
Pierścień (4)

23

„... teraz, kiedy dysponowali mapami, nie lecieli już na ślepo. Jeżeli cywilizacja miała się gdziekolwiek odrodzić, to najbardziej prawdopodobnym miejscem były właśnie wielkie metropolie...”

## Z polskiej fantastyki

Maciej Gałaszek  
Plantator wydm

43

„... pośrodku zakłętego bastionu znajduje się droll. Znaczy się, Człowiek i Drzewo. Androdendron. Homo sapiens et Pinus banksiana. Nie są piękni, ale trwają. Współistnieją na zasadzie swoistej symbiozy, być może mutualistycznej. Niewykluczony jest komensalizm, a nawet pasożytnictwo. Tego nie wiemy...”

## Spotkanie z pisarzem

Edmund Wnuk-Lipiński

45

„... przede wszystkim jestem socjologiem. Powiedziałem już kiedyś o sobie, że jestem pisarzem niedzielnym...”

## Krytyka

Recenzje

Słownik polskich autorów fantastyki

52

56

Polecają: Barbara Okólska – książkę Jana Tomkowskiego „Juliusz Verne – tajemnicza wyspa?”, Dorota Malinowska – trylogię socjologiczną Edmunda Wnuk-Lipińskiego.

Zniechęca: Wawrzyniec Sawicki do powieści „Pomnik” Lloyda Biggle’a.

Zygmunt Pikulski (ur. 1928), Roman Pisarski (1912–1969) i Stefan Połom (ur. 1938), którego wiersze drukujemy na III stronie okładki.

„... Bezpamiętnie skończyła się era animowanych modeli, której nieprzekraczalnym pułapem była »Odyseja kosmiczna«. Rozpoczęła się era komputerowych obrazów...” – szkic Jana Płaty-Przechlewskiego poruszający wybrane problemy związane z ukazywaniem przestrzeni w filmie SF.

56

Fin de siècle w kinie SF?

## SF na świecie

Węgrzy o swojej fantastyce

60

W naszej redakcji gościli Béla Rigó, Ferenc Halmos i Viktor Bánlaci – zaprzyjaźnieni dziennikarze z Budapesztu. Wywiady z nimi dla Czytelników „Fantastyki” przeprowadził Wojciech Maziarski.

## Nauka i SF

Ujemny gradient ewolucji

62

„... na samym początku, przed miliardami lat, ewolucja osiągnęła już swój szczyt. Odtąd dalszy jej ciąg to regres...” – przedstawiamy fragment najnowszej, jeszcze nie drukowanej książki Andrzeja Donimirskiego pt. „Filozofia kosmiczna Stanisława Lema”.

**G**dyby mnie ktoś zapytał czego najbardziej nie lubią fantaści, czego nie chcą oglądać lub czytać, albo co widzą bardzo niechętnie, a takie pytania nie należą do rzadkości, nie zastanawiałbym się ani sekundy. Praktyka redaktora „Fantastyki” nauczyła mnie właściwej, w gruncie rzeczy jedynej odpowiedzi.

Prawdziwy fantasta nie znosi wszelkiej normalności, tego co niesie zwyczajne, codzienne życie, dlatego żąda, aby nawet bajki dla niego pisywać specjalne, w których nie byłoby cienia, odbicia świata oglądanego codziennie. Jeśli więc spotyka się teraz dość często jak gdyby powroty tych samych mitów, które już bardzo dawno wyhodowała wyobraźnia i tradycja, to muszą one zostać radykalnie przerobione i dostosowane do współczesnych gustów, wymagających bardzo ostrych przypraw. Im bardziej więc literatura czy plastyka fantastyczna będzie przypominać to, co nas faktycznie otacza, tym większe wywoła niechęci czy wręcz niezadowolenie.

W jaki sposób może pisarz czy artysta plastyk sprostać gustom miłośników science fiction? I tu chwila zastanowienia, wydaje mi się bowiem, że określenie fantastyka naukowa brzmi w tym kontekście wręcz anachronicznie. Pisarze tacy jak Lem czy Clarke\* lubią utrzymywać swoje opowieści w granicach prawdopodobieństw dzisiejszej nauki. W żadnej książce autora „Astronautów” nie pojawiają się zjawiska, mogące wychodzić poza te ramy, mówi zresztą o tym otwarcie w rozmowach, które przeprowadził z nim Beres. Clarke jest natomiast chyba jeszcze bardziej ortodoksyjny, oburza go na przykład nawet scena z „Gwiezdnych wojen”, w której do ścigania się po lesie użyto jakiegoś rodzaju pojazdów. Ich przyspieszenia, szybkości maksymalne i – określmy to – zręczność manewrowania przekraczają wszelkie możliwości nauki i techniki. Tymczasem coraz to większa liczba miłośników fantastyki znajduje się – chyba tak można to powiedzieć – w kolizji z ortodoksyjnością naukową, woli czytać i oglądać to, co niemożliwe i zaskakujące, co wymyka się niejako z ram przeciętnej człowieczej wyobraźni. Nauka przestała bowiem być wielką przygodą i niespodzianką, jak za czasów Verne’a, przeciwnie stała się wręcz niebezpieczna ze swymi próbami manipulacji genetyką i swoimi atomowymi groźbami. Z tego wynikałoby, że człowiek chce zachować siebie jako



*constans*, jako coś co nie powinno ulegać zasadniczym przemianom, natomiast pragnąłby sprawdzać się w najbardziej dramatycznych sytuacjach. Dlatego horror bywa tak często stosowany w fantastyce. To jedna z głównych metod wypróbowywania ludzkich bohaterów powieści, nowel czy obrazów w nadzwyczaj drastycznych, budzących groźbę sytuacjach. Sądzę, że tego rodzaju stosunek do sztuki w ogóle wywodzi się z samej natury ludzkiej, stanowiąc jej immanentną cechę. W ciągu biegu historii przychodziło nam jako społeczności i ciągle przychodzi – potykać się na różnego rodzaju przeszkodach i trudnościach, zagrażających instynktowi życia, istnieniu, to samo zresztą dzieje się w egzystencji każdej jednostki, stres uderza za stresem, a my jednakowi, jak gdyby niezmienni, musimy to wytrzymywać, musimy lub staramy się tylko wychodzić z tego cało.

Sztuka zawsze operowała horrorem. Mamy go w opisach wydarzeń w każdej świętej księdze ludzkości, mamy w mitach i baśniach, u Homera, Szekspira, u Goethego, Mickiewicza czy Słowackiego, u współczesnych pisarzy „wojennych”, np. u Hemingwaya, a także i u Conrada, którego poczucie przerażenia ma raczej rodowód moralny niż spowodowane jest bezpośrednimi zewnętrznymi czynnikami.

Nic nowego pod słońcem. Im silniejsze kryzysy przeżywa ludzkość, tym bardziej nasilają się elementy romantyzmu w sztuce wszelkiego autoramentu. Od początku swego istnienia wykorzystuje to piśmiennictwo fantastyczne, operując horrorem na wszelkie sposoby. Był on jeszcze w goty-

ckiej, typowo romantycznej powieści Mary Shelley o Frankensteinie. Lem pragnął obudzić wielkie przerażenie ostrzegawcze, ukazując niegdyś w „Astronautach” skutki katastrofy jądrowej, a ostatnio, we „Fiaszu”, jeszcze chyba tragiczniejszą i bardziej wstrząsającą wizję niemożności porozumienia się istot rozumnych. Nie ma przecież gorszej męczarni niż istnienie ze świadomością ciągłej, totalnej klęski intelektualnej i etycznej. Posługiwał się oczywiście tymiż metodami i Poe, i nasz Grabiński, i Dick (jak mocno reagujemy na jego drastyczności, uwidocznione w filmie z czołwki światowej SF „Blade Runner”), horrorem były też perypetie światów i społeczności opisywanych przez Zajdla, chociaż trzeba by tu dodać, że może najprzniej horroru, najmniej emocjonalnych elementów, dawała czytelnikowi fantastyki współczesnej polska, zajdlowska szkoła political fiction. Działano bowiem w niej raczej na intelekt niż na grę uczuć, zwracano bardziej uwagę na to co człowiek czyni i przeżywa w zbiorowości, niż jako jednostka. Niemniej ruch ten odegrał dużą rolę zarówno w rozwoju samego gatunku, jak i w umiejętnościach bezbłędного trafiania do czytelników. Ale to przede wszystkim – polskich, za granicami w większości political fiction nie budzi większego rezonansu, zdobywając naszej literaturze fantastycznej opinię trudno przetłumaczalnej. Na marginesie tych rozważań warto przypomnieć, że horror trafił w swej historii nie tylko do piśmiennictwa czy sztuk plastycznych, lecz również i do muzyki. Z najbardziej popularnych dzieł, których autorzy wykorzystali elementy horroru, należałoby wymienić tu takie opery i balety, jak Delibesa „Copelia”, jak Offenbacha „Opowieści Hoffmana”, jak naszego wielkiego, współczesnego Pendereckiego „Diabły z Loudun”. Nawet patriotyczny i klasycyzujący Moniuszko spróbował dawki horrorowego zaskoczenia w swej komicznej operze, tak bardzo polskiej, jaką jest niewątpliwie „Straszny dwór”. Tak, tak, człowiek lubi być straszony. I woli, gdy ta potrzeba żyży się w sztuce niż w rzeczywistości.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

**Adam Hollanek**

## MESEcznik LITERACKI Fantastyka

Adres redakcji:  
**00-640 WARSZAWA\***  
ul. Mokotowska 5/6.

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nac., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

**Redaktor naczelny:** Adam Hollanek.

**Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczynek (kier. działu zagr.), Sławomir Kędziński (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadomski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusz J. Toruń, Marek K. Zalejski, Ryszard A. Ziemiakiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

**Wydawca:** Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 187 000 egz.

Zam. 10/7881178



# Lądowanie LXIV

Niektórzy moi koledzy, krytykując listy nadsyłane do „Fantastyki” twierdzą, że przeważnie je pisują (zresztą nie tylko do nas, lecz do wszystkich czasopism) maniacy, rozrabiacy, słowem nietypowi czytelnicy i oni to pragną przeprowadzić swoje postulaty i dezyderaty, narzucić je redaktorom. Opinia taka wydaje mi się zupełnie niesprawiedliwa. Każdego z nas, gdy przywiąże się do jakiegoś pisma, z którym łączy go wspólnota idei czy tematyki, bierze nierzad chęć na wystąpienie w którejś z poruszanych tam spraw.

Oczywiście takie chętki przerodzone w czyn nie bywają częste, ale się zdarzają, w ten sposób listy odzwierciedlają prawdę sądów czytelników o danym piśmie, ale absolutnie nie wylaniają jakiegś średniego poglądu. Tak przyzwyczajaliśmy się do krzywego, często nawet bardzo krzywego, więc niesprawiedliwego, zwierciadła różnych statystyk, że łatwo ulegamy manii uśredniania wszystkiego co na drodze. I w taką pułapkę uśredniania właśnie wpadają moi koledzy, oceniając listy nadchodzące do redakcji.

Proszę Państwa każdy z nas jest inny, każdy jest odrębny i każdy ma swoje odrębne zdanie w każdej ze spraw. I tylko w tym sensie liczą się opinie Czytelników, do sondażów używamy już sposobów naukowych, ale – szczerze mówiąc – sondaże, ze swym wyciąganiem średnich, ze swą klasyfikacją odzwierciedlanych przez nie rzekomo zjawisk, mniej nierzad pożytku przynoszą niż systematycznie prowadzona korespondencja. Nieprzypadkowo, moim zdaniem, ta rubryka cieszy się od początku jej istnienia sporym powodzeniem. Jest po prostu trybuną wszystkich pojedynczych Czytelników naszej „Fantastyki”! I ja też w ten sposób ją rozumiem. Proszę wybaczyć mi to przydługie zagajenie. Ale od czasu do czasu i mój głos w sprawach korespondencji wydaje się potrzebny.

## A jednak romantyzm

Wszelkie „izmy” nie pasują do fantastyki, z romantyzmem włącznie, najbardziej zresztą romantyczna jest chyba fantasy, której u nas na lekarstwo. Coś się pan zagalopował, panie Hollanek.

Robert Dasiewicz z Warszawy

Romantyzm cechuje baśniowość, tajemniczość, szarpanie się jednostki w okowach umów społecznych, a także w okowach prawa boskiego, gdzie tego szukać w polskiej science fiction? Na pewno nie u samego nawet Zajdla, którego znakomite książki korespondują bardziej z traktatami o społeczeństwie niż z wszelkimi romantycznymi zmaganiem. Czy nie nazbyt na wyrost lansujecie panowie romantyzm? Mnie się zdaje, że ważniejsza byłaby walka z prymitywizmem sporej liczby polskich utworów science fiction, niż to pięć się ku romantyzmowi.

Doc. R.W. z Krakowa

Pani nam mówi, że fantastyka nie ma wiele wspólnego z romantyzmem, a u nas w klasie całkiem inaczej na to patrzymy. Science fiction to jest literatura zapalająca do czynu, do zmian w świecie, ostrzegająca przed uszczęśliwianiem na siłę nas samych i naszych potomków, a także przestrzegająca przed katastrofami, które

niesie nauka. Pani, gdyśmy jej to powiedzieli, pokiwała potakująco głową i odezwała się: „żebyście lepiej poznali romantyzm, ten którego się właśnie uczycie, ten wielki, największy, w którym jest Mickiewicz i Słowacki, i Krasiński, i Norwid, a w którym – tak powiedziała – Lema trudno byłoby zmieścić”. Ale ona chyba nie ma pełnej racji.

Uczniowie klasy II

jednego z liceów warszawskich

Ten romantyzm cholernie potrzebny. Dobrze żeście z tym wyszli na łamy, z romantycznym pozdrowieniem

Jan D. z Wrocławia

## Adam, jeden z nas

Książka Fiałkowskiego stała się istotnie sławna... Podobnie jak znani muzycy i pisarze poszukał sobie teflata ogólnoludzkiego, w dodatku związanego z religią, z możliwościami wpływu nleżnanego na nasz świat istot skądinąd... Właściwie z książki trudno się dowiedzieć czy autor wierzy w Pana Boga, czy jego Pan Bóg to istoty spoza Ziemi o wyższej cywilizacji niż nasza, a może ten Pan Bóg to dla bohaterów Fiałkowskiego sama nauka. On przecież jest uczonym, a o jego teorii pochodzenia inteligencji ludzkiej pisał niedawno w „Fantastyce” nie kto inny jak Maciej Iłowiecki. Znaczyłoby to, że u Fiałkowskiego przeważa przekonanie o nadzwykłych możliwościach nauki...

Józef Grabczyński z Gdańska

Szanowny Panie! Tłumaczyłam utwory Pana Fiałkowskiego dla „Iskatiela”, „Wokrug Swiata”. Wydawnictwa „Mir”. Chciałam przetłumaczyć i zarekomendować w „Mirze” i „Młodej Gwardii” ostatni jego utwór „Adam, jeden z nas”, ale tam odpowiedzieli, że w powieści są bardzo wyraźne wpływy religijne, a nawet klerykalne. Zresztą nie oznacza to, że całkiem nie będzie można jej wydać w ZSRR.

Natalia Stacenko z Moskwy

Już zaledwie dwie zamieszczone wypowiedzi o powieści Konrada Fiałkowskiego „Adam, jeden z nas” świadczą, jak

## Czytelnicy z krajów socjalistycznych!

Oto wykaz firm kolportażowych przyjmujących zamówienia na prenumeratę „Fantastyki”, „Małej Fantastyki” i „Komiksu-Fantastyki”:

ALBANIA: Drejtorja Quendrore e Përhapjes dhe Propagandimit të Librit, Rruga Konferenca e Pezës, TIRANE.

BULGARIA: Direkzia „Razprostranienie na petchata”, ul. Klokotniza 2a, 1202 SOFIA.

CHŃSKA REPUBLIKA LUDOWA: Waiwen Shudian, P.O. Box 88, PEKING.

KUBA: Instituto Cubano del Libro, Direcci3n de Comercio Internacional, O'Reilly No 407, LA HABANA.

CZECHOSŁOWACJA: Postovni Novinová Služba – dovoz tisku, ul. Vinohradska 46, PRAHA II; Postová Novinová Služba – dovoz tlače, ul. Leningradska 14, 802 00 BRATISLAVA; Polské Kulturní Středisko, prodejna, ul. Jindřišská 3, PRAHA I; Polské Kulturní Středisko, prodejna, ul. SNP No 32, 800 00 BRATISLAVA.

NIEMIECKA REPUBLIKA DEMOKRATYCZNA: Deutsche Post der DDR, Zeitungsvertriebsamt, Strasse der Pariser Kommune 3 –



różny potrafi być odbiór literatury, także i literatury science fiction. Umyslinie opublikowałem diametralnie odrębne głosy na ten temat, gdyż wydają mi się znamienne. W dodatku świadczą, podobnie zresztą jak inne, zamieszczone dziś fragmenty listów od Czytelników, o innym stosunku do literatury fantastycznej, niż to się często imputuje. Nie tylko rozrywki lub czystej rozrywki szukają nasi Czytelnicy w utworach tego rodzaju. Jakkolwiek muszę przyznać, że w produkcji zarówno światowej, jak i naszej przewaga lektur rozrywkowych (na bynajmniej nie leńmowski poziom) jest bardzo duża, nad piśmiennictwem fantastycznym, zakładającym sobie większe, a nawet grubo większe ambicje. Dyskusja trwa, przypominam.

Redaktor

PS. Zamiast listu, zamieszczamy interesujący ekslibris pana Ł.M. Żytomirskiego z ZSRR.

4, 1004 BERLIN (sowie sämtliche Postämter); Polnisches Informations und Kulturzentrum, Handelsabteilung, Karl Liebknecht Str. 7, 1020 BERLIN; Polnisches Informations und Kulturzentrum, Handelsabteilung, Brühl 9, 7010 LEIPZIG.

WĘGRY: HELIR Külföldi Lap Előzetesi Osztály, Lövvölde tér 7, 1426 BUDAPEST V.

KOREA: „Chulpanmul”, Korea Publications Export-Import Corporation, PYONGYANG.

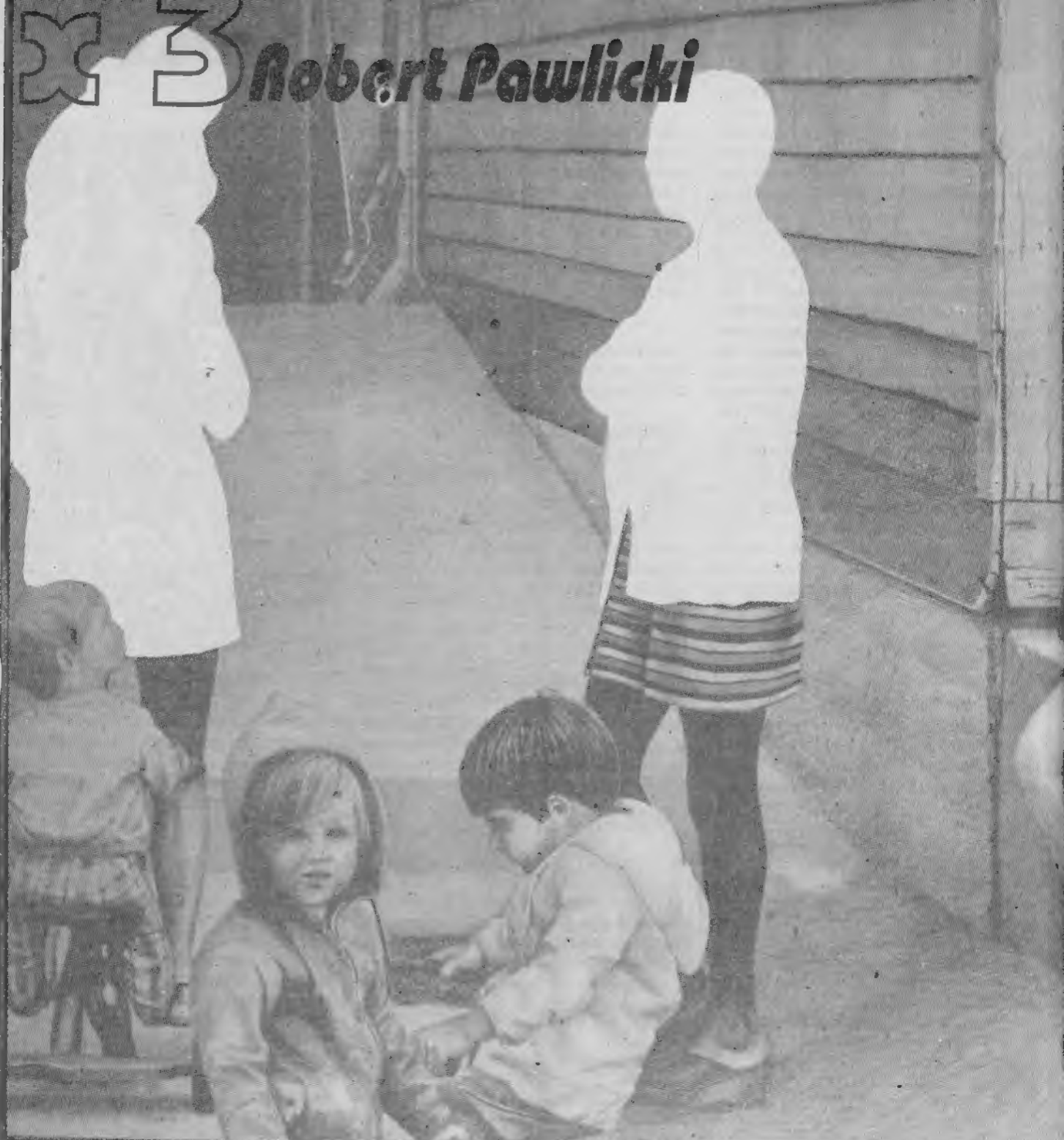
MONGOLIA: Mongolian State Book-Trade, ULAN BATOR.

RUMUNIA: Directia De Expediere A Presei, Piata Scintei I, BUCAREST.

VIETNAM: Phong Phat Hanh, BAO CHI, 17, Dinh Le, HANOI.

JUGOSŁAWIA: „Jugoslavenska Knjiga” EXPORT-IMPORT, 11001 BEOGRAD, Trg Republike 5/VIII, P.O.B. 36; „Mladost” Ilića 30/I, P.O.B. 1028; „Prosveta” Terazije 16, P.O.B. 180, 11001 BEOGRAD.

ZSRR: Punkty prenumeraty „Sojuzpieczati” w miejscu pracy lub nauki; agencje „Sojuzpieczati” oraz urzędy pocztowe.



## opowiadania i nowele

Ann Mackenzie

### Muszę mówić żegnaj

*(I can't help saying good-bye)*

Nazywam się Karen Anders mam dziewięć lat jestem nieduża i ciemna i krótkowzroczna mieszkam z Maxem i Libby nie mam przyjaciół

Max to mój brat on jest ode mnie starszy o dwadzieścia lat ma blisko siebie osadzone oczy i wiecznie zmartwione spojrzenie my Andersonowie zawsze wyglądaliśmy pospolicie ma także astmę

Libby była kiedyś ładna ale przytyła i w swoim nowym bikini wygląda jak zapaśnik chciaabym mieć bikini Lib nie kupi mi myślę że gdybym miała żółte bikini na plażę nie bałabym się aż tak wchodzić do wody

Kiedyś gdy miałam siedem lat mój tata i moja mama poszli razem na zakupy i nigdy już nie wrócili był napad na bank jak pokazują w telewizji Lib powiedziała że jakiś wariat ich zabił

Wiedziałam że zanim wyjdą muszę się z nimi pożegnać wolno i wyraźnie powiedziałam najpierw żegnaj Mamusiu potem żegnaj Tatusiu ale nikt nie zwrócił na to uwagi widząc że oni wychodzą na zakupy ale potem Max przypomniał sobie i powiedział do Lib dzieciak tak się żegnał jakby wiedział co się stanie

Libby powiedziała na litość boską a skąd by miała wiedzieć kochanie bądź rozsądny ale sądzę że to oznacza że teraz my za nią odpowiadamy czy pomyślałeś o tym

Mówiła tak jakby nie była tym specjalnie uszczęśliwiona No więc po tym jak zamieszkałam z Maxem i Libby musiałam powiedzieć żegnaj Dickowi bratu Lib Dick grał z nimi w karty w salonie i kiedy Lib krzyknęła Karen do tóżka podesz-



łam do niego stanęłam wyprostowana z rękami luźno splecionymi z przodu tak jak panna Jones każe nam stawać kiedy śpiewamy w chórze szkolnym

Powiedziałam bardzo wolno i wyraźnie żegnaj Dick a Libby rzuciła na mnie takie dziwne spojrzenie

Dick nie podnosząc wzroku znad kart odpowiedział dobranoc mała

Następnego wieczoru zanim ktokolwiek go znowu zobaczył umarł na chorobę która nazywa się zapaleniem otrzewnej wtedy wybucha coś w brzuchu i ma się tam pełno dziur

Lib zapytała Maxa czy słyszałeś jak ona powiedziała do Dicka żegnaj a Max zaczął sapać i dyszeć i powtarzać ja mówiłem ci że w tym jest coś złego to mnie przeraża jestem chory na samą myśl o tym ciekawe komu następnemu ona to powie a Lib na to no już kochanie no już staraj się uspokoić

Wyszłam zza drzwi za którymi stałam i słuchałam powiedziałam Max nie martw się z tobą wszystko będzie w porządku

Miał twarz całą w płamach usta sine zapytał mnie skrzekliwym głosem skąd wiesz

Co za głupie pytanie tak jakbym mu miała powiedzieć nawet gdybym wiedziała

Libby pochylała się nade mną przybliżyła twarz tak że czułam jej oddech pachnący papierosami alkoholem i salata z czosnkiem

Powiedziała ale zabrzmiało to jak syk nie mów nigdy więcej do nikogo żegnaj nigdy tak nie mów

Problem w tym że ja muszę powiedzieć żegnaj

Potem przez jakiś czas wszystko szło nieźle i myślałam że może o wszystkim zapomnieli ale Libby nadal nie kupiła mi nowego bikini

Wreszcie pewnego dnia w szkole musiałam powiedzieć żegnaj do Kimberley i Charlene i Brett i Susie

Złożyłam przed sobą ręce i powiedziałam to do każdej z nich wolno i wyraźnie

Panna Jones powiedziała na Boga Karen dlaczego tak uroczyście kochanie a ja odpowiedziałam no bo widzi pani one umrą

Krzyknęła Karen jesteś złym okrutnym dzieckiem nie powinnaś mówić takich rzeczy to wcale nie jest zabawne zobacz przez ciebie mała Susie płacze chodź Susie kochanie wsiadaj do samochodu zaraz będziesz w domu i wszystko będzie dobrze

Więc Susie otarła łzy i pobiegła za Kimberley i Charlene i Brett i wdrapała się na siedzenie obok mamy Charlene która w tym tygodniu rozwoziła swoim samochodem dzieci do domów

I to był ostatni raz kiedy je widzieliśmy bo samochód ześlizgnął się z szosy do Mountain Heights i przeokoziłkował całą drogę w dół zanim stanął w płomieniach

Następnego dnia nie mieliśmy szkoły był pogrzeb śpiewaliśmy pieśni i syпалиśmy kwiaty na groby

Niki nie chciał stanąć koło mnie

Kiedy już było po wszystkim panna Jones podeszła do Libby żeby się z nią przywitać ale na mnie wcale nie patrzyła i oddychała tak szybko Libby odeszła mnie żebym się pobawiła

No więc kiedy panna Jones poszła Libby zawołała mnie z powrotem i powiedziała czy nie mówiłam ci żebyś już nigdy nikomu nie mówiła żegnaj

Złapała mnie mocno a jej oczy tak jakoś błyszczały wykreśliła mi ramię to bolało krzyczałam przestań proszę przestań ale ona szarpała mnie i szarpała więc powiedziałam że jeżeli mnie nie puści pójdę i powiem żegnaj Maxowi

To był jedyny sposób o jakim pomyślałam żeby mnie puściła

Przestała mnie szarpać ale nadal trzymała za ramię i powiedziała o Boże uważasz że możesz spowodować żeby umarli

Nie mogę oczywiście ale nie miałam zamiaru tego jej mówić bo znowu by mnie zaczęła szarpać więc powiedziałam że tak

Puściła mnie tak nagle że upadłam na plecy i uderzyłam się zapytała czy nic ci nie zrobiłam Karen kochanie odpowiedziałam że tak i lepiej nie rób tego więcej a ona na to że ja tylko żartuję nie mówię tego poważnie

No więc wtedy wiedziałam że ona się mnie boi i powiedziałam że chcę mieć żółte bikini na plażę żółty to mój ulubiony kolor

Dobrze kochanie ale wiesz że musimy być oszczędni zapytałam czy chcesz żebym powiedziała Maxowi żegnaj czy nie

Oparła się o ścianę zamknęła oczy i przez chwilę stała tak nieruchomo zapytałam co robisz odpowiedziała myślę

Potem zupełnie nagle otworzyła oczy i uśmiechnęła się szeroko powiedziała hej wiesz co jutro pójdziemy na plażę zabierzemy ze sobą obiad zapytałam czy weźmiemy moje nowe bikini tak twoje bikini powiedziała i wszystko co tylko będziesz chciała

No więc wczoraj po południu kupiliśmy bikini i dzisiaj wczesnym rankiem Lib poszła do kuchni przygotować piezowego kurczaka i salatkę pomarańczową i ciasto czekoladowe i specjalne pączki na piknik i spytała czy jesteś pewna Karen że wszystko jest tak jakbyś chciała odpowiedziałam tak wszystko wygląda wspaniale i teraz kiedy mam już bikini nie będę się bała fał Libby roześmiała się i włożyła koszyk z jedzeniem do samochodu ona ma takie silne brązowe ramiona i powiedziała myślę że już się nie będziesz bała

Wtedy poszłam na górę założyć bikini i podeszłam do lustra żeby zobaczyć jak w nim wyglądam patrzyłam patrzyłam potem złożyłam ręce czułam się trochę śmiesznie i powiedziałam wolno i wyraźnie żegnaj Karen żegnaj Karen żegnaj żegnaj

Przełożyła Dorota Malinowska



# Oknem kamery

(In Camera)

Słońce weszło już przed dwiema godzinami, ale wilgoć i mgła w powietrzu nadal lgnęły do wczesnoporannego nieba, rozpraszając się niechętnie. W mieście witał ten nowy dzień wzmagający się szum ruchu ulicznego. Na rogu, z potoku pojazdów odłączył się piętrowy autobus, przystanął przy krawężniku, wypuścił kilku pasażerów i odjechał w obłoku spalin dieslowskiego silnika. Od rozpieszczającej się po chodniku gromadki oddzielił się starszy mężczyzna i zdecydowanym krokiem pomaszerował wzdłuż witryn pozamykanych jeszcze sklepów, wtulając głowę w ramiona przed przenikliwym, wiejącym od ciemnych wód Firth of Forth wiatrem. Przeszedł na drugą stronę ulicy i grzebiąc w kieszeniach, zbliżył się do drzwi. „Zimny poranek, jak na tę porę roku”, pomyślał, otwierając główne wejście do swojego zakładu. Ta codzienna uwaga na temat kaprysów pogody nie była niczym odkrywczym, gdyż rzadko nie było zimno.

Wszedł do środka, poszedł na zaplecze, zapalił światło, nastawił czajniczek, zgasił światło, wyszedł na zewnątrz, skręcił, jak przez ostatnie dziesięć lat, za róg, kupił tę samą gazetę i wrócił po własnych śladach do swojego królestwa; wszystko to zajęło mu dwie minuty. Jego kawalerskie nawyki były mocno zakorzenione i od lat nie ulegały żadnym zmianom. Szyld nad frontem lokalu głosił: ROBERT HUNTER, FOTOGRAF, a okno wystawowe, chociaż małe i zaniedbane, świadczyło o jego powołaniu. Pan R. Hunter lubił porównywać się czasami do kogoś pośredniego pomiędzy ministrem a lekarzem, do osoby służącej szerokim kręgom społeczeństwa, a jednocześnie wystawionej na jego żer. Wiedział, że pod tym względem jest niedzisiejszy, staromodny i że to nieprzystosowanie odbija się ujemnie na interesie. Snuł więc niejasne plany wyprzedzenia się, zanim nie straci całkowicie gruntu pod nogami. Włosy już mu siwiały, a twarz miał pomarszczoną od zmartwień i błędą od zbyt wielu długich szkockich zim. Typowy syn swojego narodu, można by powiedzieć, chociaż nigdy nie założył kiltu. Był energiczny, ale już nie miał sił. Znikł gdzieś dawny zapał, co pociągało za sobą mniejsze powodzenie w interesie i odsunięcie od głównego nurtu fotografii. Miał nadzieję, że tego lata ruch turystyczny podreperuje jego sytuację finansową i że pogoda na kilku lukratywnych ślubach, które miał odnotowane w swoich księgach, będzie na tyle dobra, że zdjęcia wyjdą bez zastrzeżeń. Ciesząc się reputacją dziwaka miał trudności w utrzymaniu przez dłuższy czas personelu i przeważnie pracował sam, co mu właściwie odpowiadało. Tego lata nie zatrudnił żadnej pomocy, chociaż wiedział, że prawdopodobnie sam sobie nie poradzi.

Hunter schylił się po pocztę, która przyszła przed jego

przybyciem i leżała rozrzucona po podłodze. Jego oko przyciągnęła mała paczuszka, resztę rozpoznał jako rachunki i akredytywy. Położył wszystko na kontuarze, oddzielającym kantor frontowy od małego studia na zapleczu. Klienci nie zjawiali się, siorbał więc herbatę i wymrukiwał pod nosem komentarze do artykułów w przeglądanej gazecie. Drzwi były otwarte, znajdował się na posterunku i był gotów na wszystko, a w takie jak ten, spokojne poranki lubił rozmyślać. Tróchę później, ciągle nie niepokojony przez klientów, zabrał się do przeglądania skromnej poczty. Paczuszka, którą wcześniej machinalnie odłożył na bok okazała się interesująca, resztę wypełnił lub wrzucił do kosza na śmiecie. Z jakiegoś nieznanego źródła otrzymał dwie rolki kolorowego diapozytywowego filmu 35 mm. Wszystkim, czego można się było dowiedzieć z dołączonej do przesyłki karteczki była czułość filmu i instrukcje jego obróbki. Użytkownikowi doradzano, żeby wywołał film sam lub oddał go do wyspecjalizowanego laboratorium. Nie było tam żadnego znaku firmowego, nie mógł też odnaleźć adresu zwrotnego. Na białej kopercie znajdował się tylko jego, wystukany na maszynie adres i nic więcej. Nie było nawet znaczka pocztowego. Dalsze oględziny przerwane zostały przez otwierające się drzwi zakładu, zgarnął więc oba filmy z lady i umieścił je w stojącej za kontuarem chłodziarce. Jeszcze tego samego dnia zapomniał o nich. Mijały tygodnie i rozpoczął się sezon letni, a filmy leżały tam, gdzie je schował. Przez kilka miesięcy, chociaż zdarzały się po temu okazje, nie mógł się zmobilizować do wypróbowania zagadkowych klisz. Kiedyś już go kusiło, ale otrzymał zlecenie ważne do tego stopnia, że musiał się przetrząsnąć na film o większym formacie.

Krótkie lato dobiegało końca i zimne wiatry wywiały już ostatnich turystów, kiedy dostał zlecenie od stałego klienta, i jednego z nielicznych, których udawało mu się dotąd zatrzymać przy sobie. Robota była prosta; sfotografowanie reprodukcji małych akwarel na diapozytywie 35 mm. Odłożył tę „zabawę”; jak lubił nazywać swoje małe zlecenia, na jakiś spokojny wieczór, bo muzeum nie narzucało żadnego określonego terminu.

Poza płamą światła, padającego na mały obrazek studio było pogrążone w ciemnościach. Ciszę mąciło jedynie tykanie wielkiego zegara. Jego podświetlone skale wisiały na ścianie nad głową Huntera. Wiele lat parania się obróbką filmów pozostawiło po sobie w powietrzu leciutki kwaśny odór – zapach, który czasami rozciągał się wokół samego Huntera. Pracował mechanicznie, rozstawiając sprzęt, sprawdzając wskazania światłomierzy



GALE

# X 3 Jerzy Kurczak





W i regulując kamerę. Jego ruchy były precyzyjne i szybkie przecież już tyle razy wykonywał te same czynności. Znalazł wcześniej nie naświetlone jeszcze filmy i aparat był teraz załadowany rolką na 24 ekspozycje. Każda scena miała zostać sfotografowana czterokrotnie przy potężnym oświetleniu błyskowym i wreszcie, po zakończeniu przygotowań do zdjęć, z wężykiem spustowym w ręku, Hunter był gotów do utrwalenia na kliszy pierwszego obrazu. Rozległo się znajome pyknięcie lampy błyskowej połączone z gwałtownym wyzwoleniem potężnej dawki energii świetlnej i Hunter, który na czas ekspozycji odwrócił głowę od sprzętu, pochylił się znów nad kamerą, żeby zmienić przysłonę. Upłynęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, że obrazu, który przed chwilą fotografował nie ma na swoim miejscu. Nieco zdezorientowany rozejrzał się wokoło, schylił, omiótł wzrokiem podłogę, spojrzał nawet na sufit. Nie widząc zbyt dobrze w ciemnościach podszedł do kontaktu i włączył górne oświetlenie. W sinym świetle jarzeniówek nadal nie mógł odszukać obrazka. Nie potrafił znaleźć rozsądnego wytłumaczenia tego zagadkowego zniknięcia i złożył je na karb swego roztargnienia. Z początku przyszło mu do głowy, że w ogóle nie ustawił obrazu do sfotografowania, ale w pliku reprodukcji brakowało jednej sztuki. W końcu doszedł do wniosku, że gdzieś go odłożył. Pozostało tylko jedno – kontynuować pracę z innymi reprodukcjami i poszukać zguby później. Wyłączywszy górne światło przebiegł w myślach harmonogram sesji zdjęciowej i umieścił następny obrazek pod lampami błyskowymi. Dokonał niewielkich regulacji i tym razem podczas naświetlania nie spuszczał wzroku z fotografowanego obiektu. Czas ekspozycji nastawiony był na mniej więcej jedną dziesięciotysięczną sekundy. W tak krótkim czasie obiekt, skąpany w powodzi światła, zdaje się znikać, w rzeczywistości oko, niezdolne do dostosowania się do takiej ilości światła w przeciągu tak krótkiego czasu, zostaje chwilowo oślepione. Kiedy po sekundzie Hunter ponownie zaczął widzieć, z zaskoczeniem stwierdził, że tam, gdzie powinien znajdować się obrazek, nie ma nic. Przyjrzał się bliżej temu miejscu, przetarł oczy, pomacał ręką, ale znalazł tylko powietrze. Zanim podjął decyzję minęło jeszcze pół godziny intensywnych dociekań, sprawdzania i poszukiwań. Zanosilo się na to, że już wyjaśnienie zniknięcia jednego albo dwóch – nie był pewien ilu – obrazków będzie trudne i nie było sensu gubić dalszych.

Podczas przetrząsania laboratorium i studia, szperania po kątach i koszach na śmieci znalazł kilka pustych, żółtych pudełek po filmach. Położył je pod lampami błyskowymi, ustawił ostrość i nacisnął spust migawki. Pudełka zniknęły! Rozplynęły się w powietrzu, pozostawiając po sobie kłopotliwe zaniepokojenie. Usiadł w kącie pomieszczenia, twarzą do rozstawionego sprzętu, wstrząśnięty i przeczuwający nadciągający kryzys. Dawały o sobie znać skutki przepracowania; rodziło się w nim nawet podejrzenie co do stanu jego umysłu. Ale to wszystko nie dawało przecież odpowiedzi na podstawowe pytanie: co się działo? Gdzie zniknęły te przedmioty? Albo, skąd pochodził ten niezwykle film, bo Hunter przypisywał dziwne wypadki, jakie przed chwilą zaszły w jego studio, filmowi który załadował do kamery. Nie potrafił znaleźć żadnego innego sensownego wyjaśnienia.

Zapaliwszy wszystkie światła, przeszukał dokładnie kantor frontowy w nadziei, że znajdzie paczuszkę, w której kilka miesięcy temu przyszły filmy. Jednak po tak długim czasie wszelki ślad po niej zaginął i jedynym pozostałym dowodem był drugi film. Pudełko nie zawierało nic, oprócz informacji o czułości filmu i warunkach obróbki. Ponownie rzuciło mu się w oczy, że był to dość dziwny sposób promocji nowego wyrobu. Spojrzał przez okno na ulicę. Zapadał zmierzch i w szybie zobaczył swoje odbicie na tle wnętrza kantorku. Może mam halucynacje, pomyślał. Tego rodzaju obawy były najbardziej niepokojącymi i żeby dowieść

sobie, że tak nie jest, postanowił wypstrykać cały film tu i teraz, ale w zmieniających się warunkach, wywołać go samemu i znaleźć przyczynę zniknięcia. Wrócił do ciemnego studio w kilka minut później z naręczem rozmaitych przedmiotów – książek, czasopism, butelek z chemikaliami, ze starym aparatem fotograficznym, kilkoma piórami i kilkoma filtrami z przeceny – zwałił to wszystko na stolik obok stanowiska do naświetlania. Włączywszy górne oświetlenie jeszcze raz dokładnie przeszukał pomieszczenie, ale nie znalazł nic, co mogłoby wpływać w ten sposób na bieg wydarzeń, powodować znikanie ciał stałych.

Na zewnątrz, w cichej bocznej uliczce ruch był niewielki i żaden z przechodniów nie zwracał uwagi na oświetlony o tej porze sklep. Kiedy Hunter przejrzał ponownie wszystkie pomieszczenia i upewnił się, że na pewno są puste, światło zgasło. Zamknął drzwi pomiędzy kantorem a studio, zdecydowany znaleźć jakieś wyjaśnienie problemu, którego nie potrafił nazwać.

Tego wieczora odpowiedzi nie znalazł. Każdy przedmiot – czy to metalowy, szklany czy papierowy – po naświetleniu zniknął i po wykonaniu czternastu zdjęć Hunter dał za wygraną. Obserwował to zjawisko pod różnymi kątami, znalazł nawet ciemne okulary, żeby być naocznym świadkiem aktu rozplywania się przedmiotów w nicłość. Zniechęcony i zakłopotany postanowił kontynuować dochodzenie następnego dnia rano bez lamp błyskowych, na zewnątrz, w świetle dziennym. Właściwie wywoływanie filmu przed jego wszechstronnym przetestowaniem we wszystkich warunkach, jakie przychodziły mu na myśl, nie miało sensu. Pozostawiając wszystko jak stało, zamknął zakład i z ciężącym mu na sercu problemem ruszył na poszukiwanie autobusu, który odwiezie go do domu.

W szedłszy wcześniej następnego ranka do zakładu i ujrzawszy dowody pracy z poprzedniego wieczora w stanie takim, w jakim je pozostawił, Hunter uwierzył dopiero, że to, co zdarzyło się wczoraj było faktem, a nie przywidzeniami. Po zastanowieniu, rozwiewającym wątpliwości, jakie zrodziły się w nocy, zamknął zakład i z kamerą w ręku ruszył w stronę najbliższego parku, gdzie miał nadzieję wreszcie ten eksperyment zakończyć. O tej porze dnia park – wielka, płaska, porośnięta trawą łąka z rozsianymi tu i ówdzie drzewami i krzakami – miał swoje przez nikogo nie uczęszczane zakątki. Od czasu do czasu przemykali tamtędy pojedynczo i grupami ludzie śpieszący na pierwszą zmianę do pracy, ale byli zbyt daleko i zbyt zasniani, żeby niepokoić samotnego fotografa. Poranek był mglisty, oddcch Huntera skraplał się przed nim w parę i z miejsca, gdzie stał, słyszał przytłumiony szum ulicznego ruchu. Daleko na północy, ponad widnokręgiem i drzewami, dostrzegł zarys usadowionego na skale zamku, a wokół siebie szare zarysy otaczającego park miasta. Gdy, szukając odpowiedniego tematu, rozglądał się po parku, zauważył, że trawa jest ciemnozielona i pokryta rosą. Miał tremę. Niepokoił się, że to, co za chwilę zrobi nie przyniesie spodziewanych rezultatów. Sytuacja wyglądała na absurdalną, nie posiadającą racjonalnego wytłumaczenia i wyobrażał już sobie, jak skierowuje obiektyw aparatu na odległy obiekt i... i co, pomyślał, dokąd go ten pomysł zaprowadzi? Część parku, w której się właśnie znajdował, nie była szczególnie inspirująca. Szukając dalej czegoś bardziej odpowiedniego, dostrzegł ławkę, ukrytą przed wzrokiem ewentualnych przechodniów na tyle dobrze, żeby nie było sensacji, gdyby mimo wszystko „zniknęła”.

Podszedł do ławki, obejrzał ją ze wszystkich stron, a potem, żeby do końca upewnić się, że naprawdę istnieje, usiadł na niej. Siedział tak przez jakieś piętnaście minut, czekając, aż światło będzie na tyle dobre, żeby móc przystąpić do eksperymentu.

Problemy techniczne, wynikające z warunków świetlnych, panujących tego ranka w parku, nie były nie do rozwiązania. Prawdę mówiąc, w tym świetle scena nabierała



pewnego odcienia tajemniczości. Aparat zapamiętał wszystkie informacje i Hunter wybrał odpowiadający mu czas otwarcia migawki oraz otwór przysłony. Pętn wątpliwości, skierował celownik dokładnie na ławkę. Patrząc na nią z góry, nie musiał przejmować się zbytnio tłem i nie potrzebował zbyt dużej głębi ostrości. Spłowiata biała ławka na zielonym tle. Nacisnął spust migawki... i ławka zniknęła. Z lękiem i lekkim zakłopotaniem rozejrzał się szybko wokół. W pobliżu nie było nikogo. Podeszedł ostrożnie do miejsca, w którym przed chwilą stała ławka, okrążył je, przekroczył i zatrzymał się. „Działa, działa”, pomyślał, starając się zapanować nad ogarniającym go podnieceniem. „Działa, ale

Znalazł odpowiednio osłonięty zakątek i czekał tam na jakąś lukę w potoku ludzi i pojazdów. Już zawczasu wyregulował ostrość i przełączył aparat na automatykę, a kiedy nadszedł odpowiedni moment, podniósł go do oka, wymierzył i nacisnął spust. Natychmiast odwrócił się, nie patrząc na skutki, nie chcąc być pierwszym, który je zauważy... albo nie zauważy. Przez kilka sekund na ulicy nie było żadnej reakcji, ale potem słysząc narastający hałas i zamieszanie, Hunter zmusił się do odwrócenia i spojrzenia w stronę, gdzie stał mały budynek. Przestał zwracać uwagę na otaczający go tumult i stał pośród niego oszołomiony tym, co nawyprowadził. Nie było go, znikł. Krzaki i drzewa zostały

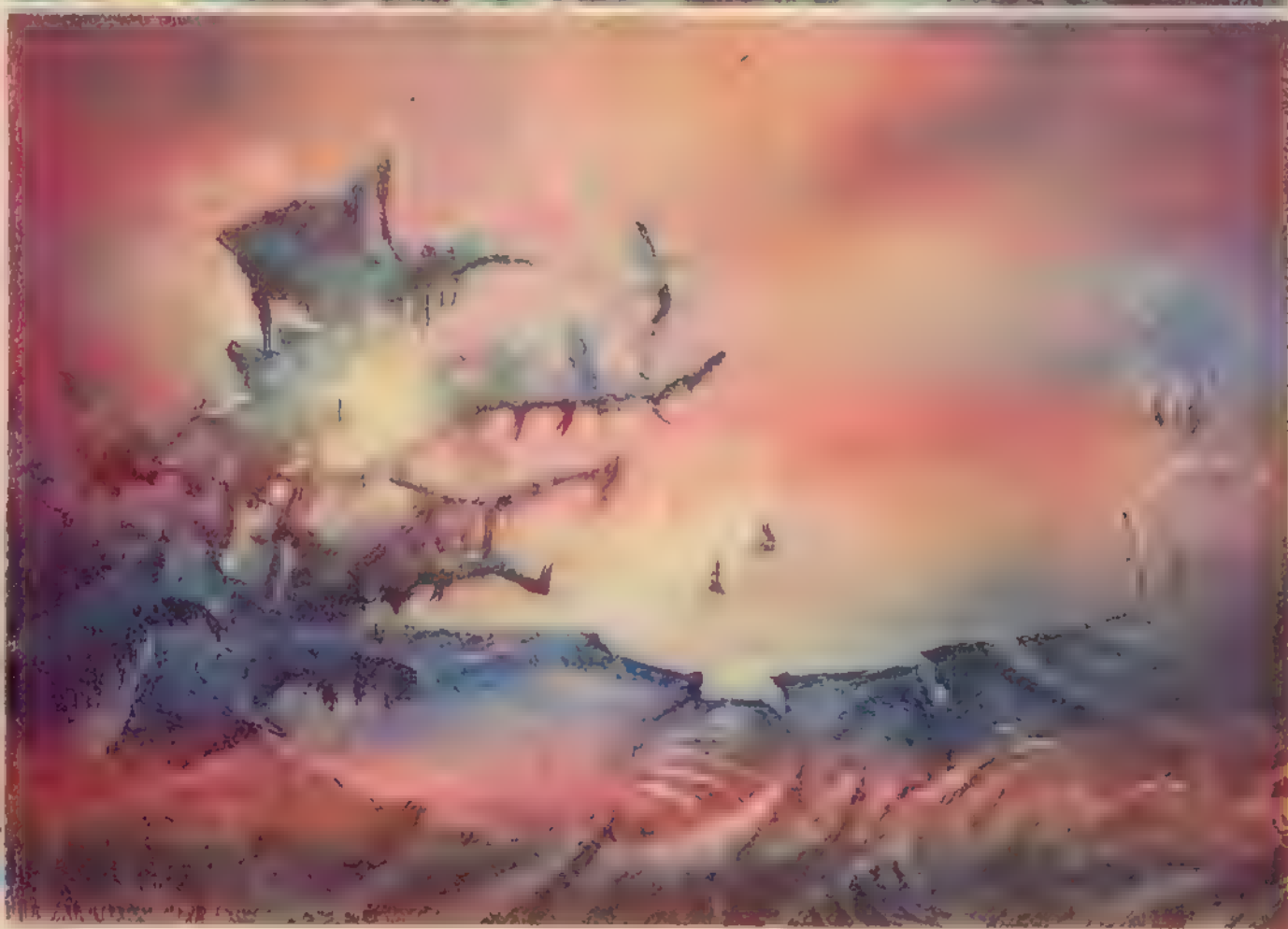


czy działa tylko dla mnie? Przypuśćmy, że jestem jedynym, który nie widzi, nie wyczuwa tych przedmiotów?” Z tej galopady wątpliwości i domysłów rodził się nowy, obwarowany niezdecydowaniem plan. Trzeba było sfotografować coś, co mógł początkowo widzieć każdy, ale nie tu, nie w tej mało uczęszczanej części parku. Było takie miejsce oddzielające park od ulicy, gdzie znajdowały się ruiny starej budowli, niegdyś wykorzystywanej, a teraz chylącej się ku upadkowi. Mały placik otoczony wybujałymi dziko krzewami, cieni w oku wszystkich, którzy tamtędy przechodzili. „Społeczeństwo na pewno nie poniesie żadnej straty, jeśli ta ruina zniknie”, pomyślał. Problem polegał na tym, jak tego dokonać nie będąc zauważonym. Cokolwiek było robione, musiało być robione w tajemnicy, żeby sprawca nie został wykryty w przypadku, gdyby rzeczywiście się udało. No cóż, nie był całkowicie pewien, ale takie podejście wydawało się rozsądniejsze. Mając to wszystko na uwadze, wycofał się powoli do upatrzonego miejsca.

gładko ścięte, a w miejscu, które otaczały było... nic, szara nicość. Ludzie ocierali się o niego wrzeszcząc, przejeżdżające samochody zatrzymywały się, blokując ulicę. Ale Hunter tego nie dostrzegał i wycofywał się ostrożnie, żeby znaleźć schronienie w swoim zakładzie. Później przeszło mu przez myśl, że za znikającym budynkiem, albo w jego środku mógł się ktoś znajdować, ale było to raczej mało prawdopodobne i w podekscytowaniu, które go teraz ogarniało nie przywiązywał do tego większej wagi.

Tego dnia zamknął wcześniej niż zwykle i zabrał kamerę z drugą rolką filmu do domu, żeby zaplanować swoje następne posunięcie, ale po całodziennych rozmyślaniach nie wiedział, co robić ani gdzie się zwrócić. Naświetlił już szesnaście klatek filmu, pozostawało więc jeszcze osiem i Hunter chciał wykorzystać resztę kliszy, ale w sposób przemysłany. Nadal był pewien, że nadzwyczajne zdarzenia, których był świadkiem prowokuje film załadowany do kamery; ten film był w jakiś sposób czuły na spektrum zarówno

# x 3 *Maciej Krzywicki*





światline, jak i „fizyczne”. Wytłumaczenie trudno było znaleźć czy zaakceptować, a najbardziej zagadkowe było to, co się stało ze sfotografowanymi obiektami, gdzie one się podziały? Słyszał gdzieś, że jakieś prymitywne plemiona wierzą, iż magia kamery wysysa fotografowanemu człowiekowi część jego duszy, ale Hunter potrzebował wytłumaczenia bardziej naukowego. Jego problem był bardziej złożony, bo dotyczył znikania i duszy, i ciała. Wieczorne gazety przyniosły opowieść o „niewidzialnych ruinach”, ale nazywały to żartem, chociaż bardzo wyrafinowanym.

**O**kolo południa, na drugi dzień po incydencie w parku, nie doszedłszy do żadnych zadowalających wniosków i w miarę wypocząwszy po emocjach poprzedniego dnia, Hunter zjawił się z powrotem w swoim zakładzie. Powitał go leżący na podłodze stos listów. Przypomniawszy sobie tę pierwszą paczkę z filmami i skrupulatnie przejrzał całą pocztę, ale nie znalazł nic interesującego. W kilka godzin później ciekawość kazała mu udać się do parku. Przechadzał się jakiś czas jak gdyby nigdy nic, żeby w końcu znaleźć się w miejscu, gdzie wczoraj stała lawka. Rejon, w którym zrobił swoje drugie zdjęcie na wolnym powietrzu otoczony był kordonem i trwało tam chyba coś w rodzaju śledztwa. Wokół stały grupki gapiów, przyciągniętych przez wydrukowany w prasie artykuł, a ich liczba raczej nie usprawiedliwiała obecności policjanta na służbie. Huntera kusiło, żeby podejść i trochę popytać, ale zamiast tego odwrócił się i z rękoma w kieszeniach ruszył wolnym krokiem z powrotem do zakładu. Podchodził już do drzwi wejściowych, ściskając pod pachą torbę z zakupami ze sklepu spożywczego, kiedy spostrzegł tego kota. Półdzikie stworzenie, uliczny weteran, którego karmił przy rzadkich okazjach, kiedy kot go odwiedzał. Kocur wszedł za nim do środka. Hunter zamknął drzwi i wywiesił tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE.

W środku było zimno i nieprzytulnie, a frontowy kantor sprawiał wrażenie nieumeblowanego, brak mu było elegancji, jaką widział w zakładach swoich konkurentów. Prowadził mały zakład i wszystko, co się w nim znajdowało wyglądało na przestarzałe. Wzruszył ramionami i przeszedł do studia na zaplecze. Wszędzie leżały stopy sprzętu, a w powietrzu unosił się znajomy zapach stęchliny. Hunter podszedł do stanowiska pod elektroniczną lampą błyskową, ale nic się tam nie zmieniło. Wyglądało na to, że proces jest nieodwracalny, że obiekty, które raz zniknęły, już nie powracają. Pocierając policzek i kark zastanawiał się przez kilka minut co robić. Z zadumy wyrwały go ruchy i miauczenie kota. Znalazł trochę mleka, nalał do miseczki i usiadłszy w kącie studia, zabrał się do spożywania własnego lunchu.

Gdy patrzył jak kot chłepcze mleko, przyszło mu do głowy, że nie fotografował jeszcze żywej istoty. Wszystkie obiekty, które do tej pory zniknęły, były przedmiotami martwymi. Nie był jeszcze świadkiem, a już na pewno nie z bliska, jak znika coś żywego. A tutaj, tuż przed sobą, na podłodze studia, miał doskonałego kandydata na królika doświadczalnego. Pomyślał był świetny, ale kot, przywykły do niczego nie skrepowanej wolności, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Wszystko było już gotowe i miał nawet zwierzątko pod światłami, ale chwila nieuwagi i kot zeskończył na podłogę i skrył się w jakimś zakamarku. Chociaż wabił go jak potrafił, kot nie dał się nabrać i w końcu Hunter rozwścieczony otworzył drzwi studio. Kot wypadł do kantoru i kiedy Hunter uchylił drzwi wejściowe, czmychnął na wolność nie oglądając się za siebie. Hunter patrzył za nim roztrząsając w myślach ten incydent, kiedy usłyszał jak ktoś stojący obok pyta:

– Czy robicie zdjęcia do paszportów?

Pytanie to było najwyraźniej skierowane pod jego adresem, bo w pobliżu nikogo więcej nie było. Odwróciwszy się ujrzał starszą, siwowłosą kobietę wspierającą się na lasce i uśmiechającą do niego.

– Tak – odparł i jakby chcąc dodać wagi swojej raczej lakonicznej odpowiedzi, dodał: – Oczywiście, robimy – i zaprosił staruszkę do środka. Zamykając drzwi sprawdził jeszcze, czy tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE znajduje się nadal na swoim miejscu. To, czy Hunter rzeczywiście nie miał na myśli niczego innego, jak tylko wykonać serię zdjęć do paszportu, co nie trwa długo, czy od początku zamierzał doprowadzić do skutku eksperyment z żywą istotą, jest pytaniem, które w dramacie, jaki nastąpił pozostało bez odpowiedzi. Staruszcze wyraźnie się nie spieszyło i to dało Hunterowi czas na zastanowienie. Buzia jej się nie zamykała. Usadowiwszy się na wysokim stołku poczuła się jak na scenie i zaczęła opowiadać historię swojego życia. Hunter wymrukiwał pod nosem komentarze tam, gdzie było to stosowne i instrukcje, kiedy to było konieczne, cały czas bawiąc się pomysłem, który zakiełkował w jego głowie już w chwili, gdy staruszka przekroczyła próg zakładu. Zrobiwszy zdjęcie przerwał jej monolog pytaniem, czy nie mogłaby mu pomóc w małym eksperymencie. Pociągałoby to za sobą zmianę oświetlenia, pozycji, ale nie zajmie wiele jej cennego czasu. Zgodziła się i Hunter błyskawicznie dokonał niezbędnych poprawek, trzeba było wprowadzić kilka zmian, odczytać wskazanie światłomierza, a gdy to zrobił był już zdecydowany. Wahał się, ale krótko. Jeśli się nie uda, nie stanie się nic takiego. Uśmiechnął się do swej posuniętej w latach modelki. Starsza pani, wniebowzięta wzbudzającym swą osobą zainteresowaniem i niewątpliwą powagą sprawy, zamilkła. Wciąż się uśmiechając, Hunter powiedział:

– Proszę o przyjemny wyraz twarzy! – i przytknął oko do wziernika aparatu

– Gotowa? – spytał i nie czekając na potwierdzenie naciśnął spust migawki w wężyku. Rozległo się normalne w takich chwilach pyknięcie, któremu towarzyszył rozblysk światła. Ciągłe trzymając w dłoni wężyk spustowy, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, Hunter gapił się osłupiały na nieruchomą postać kobiety. Paplanie bez wątpienia ustało na dobre. Tam, gdzie powinny się znajdować jej głowa i tors ziała pustka! To, co z niej pozostało, siedziało nieruchomo – ręce skrzyżowane na kolanach, stopy złączone. Przez chwilę spodziewał się, że z przeciętego na pół ciała trysną strugi krwi, ale nic takiego nie nastąpiło. Obszedłszy ciało z daleka, zapalił w studio górne światło. Widok był makabryczny i Hunter, krążąc dokoła tego, co pozostało z kobiety odczuwał zarówno fascynację, jak i mdłości. Trzeba gdzieś usunąć te szczątki, pomyślał stając przed niepełnym tułowiem. Z początku zastanawiał się, gdzie ukryć ciało, ale nie potrafił się przemóc, dotknąć lekko drgających szczątków. Nagle przyszło mu do głowy, że najlepszym sposobem usunięcia dowodu, będzie po prostu sfotografowanie go. W pośpiechu i zdenerwowaniu nie objął stóp i kłął swoją własną głupotę i marnowanie filmu. Gdy w końcu studio było zupełnie puste, na filmie pozostało mu tylko pięć klatek, pięć klatek na coś jeszcze bardziej widowiskowego. Dlaczego widowiskowego, skąd ta odmiana? Hunter nie znajdował na to wyjaśnienia. W końcu dał sobie spokój z poszukiwaniem odpowiedzi na to pytanie. Później się nad tym zastanowi. Być może była to swego rodzaju nagroda za te zmarnowane lata, podczas których jego

**Zygmunt**

**NOWAK-SOLIŃSKI**

Syn pary polskich emigrantów, mieszka we Francji, plaże po angielsku. Typowe. Z zawodu jest fotografem „przemysłowym i prasowym”, jak stwierdza nagłówek jego listu, nie więc dziwnego, że jego debiutankie opowiadanie wykorzystuje temat fotograficzny. Z przyjemnością przedstawiamy ten polski debiut angielskiego, bądź co bądź, autora, wkrótce zamieścimy następne jego opowiadanie, tym razem nie związane z zainteresowaniami zawodowymi („Śmierć przez powieszenie”).

zapal przerodził się w rozczarowanie. Musiał zademonstrować odkrytą, a raczej podarowaną mu moc. Była to pokusa nie biorąca pod uwagę konsekwencji, droga, która, jeśli się zapomni, mogła wieść tylko do katastrofy. Ponieważ jednak nadal istniał pewien element niepewności – film nie został jeszcze wywołany – czuł potrzebę kontynuacji. Nie mógł się doczekać kolejnej okazji do wykorzystania nadzwyczajnego zjawiska, na jakie się natknął. Nie chciał wyrządzić nikomu krzywdy i nie szukał zemsty; nie był psychopatą, chociaż przyznał w duchu, że ci, którzy mieli pecha i w nieodpowiednim momencie „weszli mu w kadr” nie byli tym zbytnio zachwyceni. W rzeczywistości cała sprawa mogła być skomplikowanym i zawikłanym szachrajstwem. Skrzywił się na tę myśl, bo był już zbyt głęboko zaangażowany, zbyt pewien tego, co widział, żeby dopuścić do siebie podobne rozwiązanie sprawy.

Pół godziny później, wychodząc przed swój zakład, nadal nie miał jasno sprecyzowanej koncepcji, co by tu sfotografować. Kiedy wycelowywał aparat w fasadę domu naprzeciwko było to działaniem pod wpływem nagłego impulsu, najprostsze, jakie akurat przyszło mu do głowy. Żaden z przechodniów nie zwracał na niego większej uwagi. Ustawił ostrość, wykadrował i nacisnąwszy bez namysłu spust aparatu schował się szybko w kantorze, oparł plecami o drzwi i czekał z niesprecyzowaną nadzieją. Przez chwilę z zewnątrz nie dochodziły go żadne odgłosy reakcji. Potem, niczym podmuch gigantycznej wichury, rozpętała się wrzawa okrzyków i wrzasków. Hunter uchylił drzwi kantoru. Wystawiwszy głowę na zewnątrz myślał z początku, że jest świadkiem zamieszek ulicznych. Ludzie biegali ze wszystkich stron w kierunku... w kierunku wielkiej dziury w sklepie po przeciwnej stronie ulicy. Znowu się udało! Hunter uśmiechnął się w duchu zadowolony z ogromnego sukcesu, jakiego on i wielu innych byli świadkami. Zamknął powoli drzwi. Przez dwie godziny, nie zwracając uwagi na piekło rozgrywane się na zewnątrz, siedział w kantorze i konspirował, obmyślając jeszcze bardziej sensacyjny wypadek, mający na celu zuzycie ostatnich czterech klatek, jakie pozostały mu na filmie. Wiedział, że jest jeszcze w zapasie druga klisza, ale nad jej wykorzystaniem zastanowi się później.

Nie spodziewał się takiej sensacji, jaką wywołała jego ostatnia akcja. Siedząc tego wieczora przed telewizorem wysłuchiwał niepewnych komentarzy i strasznych gromów miotanych na głowy sprawców dzisiejszych zafsz. Kiedy kamera pokazała szczegółowo rozmiary wyrządzonych szkód miał czas, żeby przyjrzeć się z bliska swojej robocie. Budynek stojący naprzeciwko jego zakładu został przecięty gładko na pół jak masło, przecinane gorącym nożem.

– Za wcześnie jeszcze na stwierdzenie, jak to zostało zrobione – tłumaczył reporter – ale policja jest pewna, że winni zostaną wkrótce zatrzymani. – Po tych słowach program zajął się omawianiem innych aktualnych wydarzeń. Hunter wyłączył telewizor i zamyślił się nad położeniem, w jakim się obecnie znalazł. Czuł się zobowiązany do wykonania jeszcze jednego zdjęcia, żeby być już całkowicie pewnym, a potem, po wyeliminowaniu wszelkich wątpliwości, będzie mógł wywołać film.

**N**astępnego ranka miał czas, żeby zmienić zamiary. Dzień wydawał się tak spokojny, a leżący na stole aparat tak niewinny, że zaprzeczało to wypadkom poprzedniego dnia. Włączył radio, żeby wysłuchać porannych wiadomości i dowiedział się, że wzrosła liczba spekulacji i skażony rejon, jak go teraz nazywano; został odizolowany. Hunter słuchał tylko jednym uchem, bo pilno mu było do kontynuowania eksperymentu. Pojechał autobusem linii 33, swoją zwykłą trasą, do centrum miasta. W autobusie trwała ożywiona debata. Zaspiani pasażerowie wymieniali między sobą najprzeróżniejsze przypuszczenia. Każdy miał własną teorię na temat tajemniczych zniknięć i Hunter, czytając gazetę, rozmyślał co też wstąpiło w ten spokojny tłum, jeżdżący każdego ranka tą

trasą. Wysiadł na wschodnim końcu Prince's Street i ruszył w kierunku ogrodów pod Pomnikiem Scotta. Ogarnęła go nagle nieprzeparta chęć porozmawiania z kimś, zwierzenia się, ale, siedząc sam na ławce w spokojnym parku, uspokoił się. Było za zimno na długie spacerowanie i po chwili opuścił swoje sanktuarium i przeszedł z powrotem na północną stronę ulicy. Na szerokiej, otwartej alei panował duży ruch i ludzie mijali go nie zauważając. Szedł wolnym krokiem w kierunku zachodnim, podziwiając po drodze budynki, ogrody i zamek, przystając co chwilę i ruszając znowu. Żaden z oglądanych widoków mu nie odpowiadał. Trzymany pod płaszczem aparat uwierał go boleśnie w pierś, jak gdyby przypominając mu o jego misji. Przystanął i ocenił, że zmieniające się wciąż warunki świetlne są teraz prawidłowe. Po kilku przemyśleniach wybrał wreszcie stanowisko do zrobienia ostatniego zdjęcia. Zerkając cały czas na boki rozpiął płaszcz i wydobyl spod niego kamerę. Nikt z tłumu przechodniów nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Spojrzał na swój cel. Nad tym odcinkiem ulicy dominowała sylwetka zamku, obramowana ciemnozielonym listowiem i szarobłękitnym niebem. Hunter odczytał wskazania światłomierza, wyregulował aparat. Wykadrował zamek w wizjerze i... zawahał się. To był normalny odruch zawodowy – nie zadowalała go ani kompozycja, ani światło. Przyjrzał się lepiej swojemu obiektowi. Ludzie spacerowali po blankach, gołębie krążyły wokół jego szarych murów, a z wieży zwisła leniwie flaga. Odwrócił się, szukając słońca, ale było schowane za chmurami. Musiał trochę poczekać na odpowiedni moment, na lepsze oświetlenie. Spacerował po ruchliwej ulicy jak wyspa w morzu mijającej go ludzkości, pełen pogardy i dumy, że poważał się na taką niezależność, taką inność i nagle zaczęły się w nim rodzić wątpliwości. Czy sztuczka uda się tym razem?

Udała się. I to z efektem o wiele bardziej oszałamiającym, niż się tego spodziewał. Cały odcinek alei zamarł w bezruchu. W tych pierwszych chwilach zatrzymało się całe miasto; wszyscy... którzy normalnie widzieli zamek, stanęli jak wryci, przestali oddychać, zamarli. Zamek znikł i zapadła wielka cisza. Było tak, jak gdyby ograbił go obywateli miasta z ich sybilu, ograbił ich jednocześnie z ich woli. Katastrofa była tak przerażająca, że sparaliżowała jakikolwiek bezpośredni okrzyk bólu. Starożytny zamek przestał istnieć!

Przedzierając się z trudnością przez gęstniejący tłum, Hunter czuł jak przenika go dreszcz obawy. Zewsząd słyszał rosnący gwar gniewnych głosów. Pomagając sobie łokciami, wydostał się ze zbitej masy ludzkiej, skręcił w pierwszą lepszą boczną uliczkę, gdzie przewinął film i wyjął go z aparatu. Wokół niego gromadzili się ludzie, a gdzieś daleko wycie policyjnych syren mieszało się z podnieconym gwarem tysięcy głosów, wznoszącym się pod niebiosa i wlewającym w pustkę, jaka powstała w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał zamek. Starczy, więcej nie wytrzyma. To, co uczynił napelniało go przerażeniem. Czuł strach, że tłum rozsypie go na strzępy, jeśli wyjdzie na jaw, że to jego sprawka. Miasto wrzało, ludzie opuścili miejsca pracy i przelewali się zaniepokojeni po ulicach. Wiśc rozszalała się szybko i kiedy Hunter dotarł z powrotem do swojego kantoru, zmachany długim marszem, tych którzy koczowali od poprzedniego dnia przed jego zakładem już nie było, bo pognali do nowego wydarzenia. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Obróbka filmu była dla Huntera fraszką, nie zmarnował więc ani chwili przygotowując wszystko, co było mu potrzebne. Nigdy w życiu nie czekał na rezultat z taką niecierpliwością, chociaż podczas poszczególnych etapów procesu zachowywał spokój, ściśle przestrzegając instrukcji. Po godzinie umieścił wywołany już film w suszarce i odprężył się trochę. W dwadzieścia minut później, nie włączając żadnego innego światła oprócz lampy przeglądarki, obejrzał efekty swej pracy. Z początku nie wierzył własnym oczom i zamrugał kilkakrotnie powiekami, żeby się upewnić, czy



go nie zwodzą. Wszystkie obiekty, które dotąd sfotografował, stały przed nim jak żywe – z głębią, wymiarem i w tak wiernych, wyrazistych kolorach, jakich do tej pory nie oglądał. Obraz, ławka w parku, ruiny w parku, staruszka, fasada budynku z przeciwka i zamek były namacalnymi, miniaturowymi wersjami rzeczywistego świata. Przeglądając się uważniej twarzy staruszki pomyślał, że można by wprowadzić niewielkie poprawki w wyrazie jej zastygłej twarzy. W przypadku zamku odnosiło się wrażenie ruchu, falowania, jakie obserwuje się patrząc na określony obiekt poprzez mgiełkę rozgrzanego powietrza. Film drgał życiem, życiem zachowanym, ale uwięzionym w celuloidzie. Hunter opadł ciężko na krzesło, pozostawiając film na przegładarce. To chyba nie było możliwe, wątpliwości prześladowały go przez cały czas, ale ostateczny, pozytywny dowód leżał teraz przed nim wbrew wszelkim prawom fizyki, optyki i chemii. „Wszelkim znanym prawom, oczywiście”, dodał w myślach. Jeśli oczy miały mu jakieś rodużaju zaleśnistwo, to szalony był też cały świat. Może coś wywoływało u mieszkańców miasta zbiorowe halucynacje? To była niewyobrażalna sytuacja. Niecałe sto jardów od miejsca, w którym teraz siedział, tam, gdzie przedtem stał mocno zakorzeniony fundamentami w ziemi budynek, ziała pustka. Teraz ten budynek z kamienia i drewna przeistoczył się w 35-milimetrowe, kolorowe przeźrocze, w slajd, który można wyświetlać na ścianie! A trzeba było jeszcze odpowiedzieć na inne pytania: Czy ludzie znajdujący się w tym budynku nadal żyją? Czy może być postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem ich uprowadzenia albo nawet zamordowania? Im więcej nad tym rozmyślał, w tym większą popadał konfuzję. I wreszcie – co zrobić z tym odkryciem? Było zbyt niebezpieczne, żeby je wykorzystywać, a jeszcze bardziej niebezpieczne było komuś je przekazać, a jak już, to komu? Hunter był zbyt pogrążony we własnych myślach, żeby zauważyć zapadającą na zewnątrz ciszę i tak, niezauważone, miały godziny, a on nie potrafił podjąć decyzji. Obejrzał film jeszcze kilka razy: twarz staruszki, której oczy zdawały się śledzić jego ruchy przerażała go, ale jednocześnie przyciągała hipnotycznie, zmuszając do wpatrywania się w jej zastygłe rysy. Czując się uwięziony, chociaż tam i z powrotem po małym, ciemnym studio i w końcu wypędził go stamtąd głód. Hałasy dochodzące z ulicy przycichły; kręcili się tam jeszcze gapie, ale większość miasta zajęta była teraz szukaniem zamku w śródmieściu.

W ciszy studio, kiedy porządkował swoje sprawy szykując się do pieszego powrotu do domu, bo nie wątpił, że służby transportu publicznego przerwały pracę, usłyszał nagle cichy, odległy dźwięk. Sądząc, że na ulicy ponownie zbiera się tłum, otworzył drzwi studio. Dźwięk przycichł. Kiedy się odwracał, jego wzrok padł na film, leżący na przegładarce. Gdy podszedł bliżej, do jego uszu dotarł odległy rozzwar ludzkich głosów, szum ulicznego ruchu, poszum wiatru, odgłosy maleńkiego, dalekiego świata, uwięzionego na kliszy. Podniósł ją i przyłożył do ucha. Film żył cichutkimi dźwiękami i nie dającymi się rozpoznać okrzykami. Staruszka krzyczała coś do niego słabym głosem, ale jej słowa były przytłumione, nie mogły się przebić przez żelatywne. Odrzucił film z przerażeniem, żeby się przekonać, iż wydobywający się z niego hałas przybrał na sile. Podniósł ostrożnie kliszę, zwinął ją i włożył do pudełka z przykrywką; cichutkie odgłosy ulicy ustały. To było dla niego za potężne, za silne przeżycie, to była trucizna, która, dostawszy się w niepowołane ręce, może zniszczyć wszystko wokół siebie. Jutro, pomyślał, będzie czas, żeby zrobić coś z filmem, bo doświadczenia tego dnia całkowicie go wyczerpały i nie był już w stanie trzeźwo rozumować. Zamknął szybko zakład i ruszył pieszko przez bardzo teraz wyludnione miasto w kierunku swojego domu. Zabrał ze sobą aparat; drugi film ukrył już wcześniej w mieszkaniu.

Decyzję, co do dalszego postępowania pomogły mu podjąć nadawane tego wieczora w telewizji wiadomości, całkowicie poświęcone niewiarygodnym wypadkom minionego

dnia. Postanowił nie wyjawiać tajemnicy. Miasto opanowała panika, rząd starał się opanować sytuację i wysłano już żołnierzy. Wiadomości o tajemniczych zniknięciach podawano na całym świecie na pierwszych miejscach, a odpowiedzialni za zbrodnie byli ścigani i niebawem spodziewano się ich ujęcia. Hunter wcale nie miał ochoty ujawniać się i przyznawać do wszystkiego. Ponieważ nie uważał się za kryminalistę, był przeciwny wymyślaniu rodzaju kary, którą tak bardzo straszono. Dokonał tylko eksperymentu naukowego, ale chociaż starał się do późna w noc, nie mógł do końca przekonać siebie samego o całkowitej niewinności swych poczyną.

Następnego ranka obudził się z ulgą, uchodząc w końcu przed tysiącami rąk, wyciągającymi się za nim z koszmarnego snu. Był mokry od potu i porządnie wystraszony, bo wiedział, że nie potrwa długo, zanim śledztwo naprowadzi na jego trop. Istniał sposób na wykrzycie punktu, z którego zainicjowane zostało zniknięcie budynku. Tak jak idąc za promieniami światła, rzucanymi przez pochodnię na jakiś obiekt można dojść do punktu, w którym te promienie powstają – do pochodni. Wyrysował kilka szkiców sytuacyjnych i z rosnącym zaniepokojeniem wykreślił plan terenu, sąsiadującego z fasadą znajdującego się naprzeciwko jego zakładu budynku. Robiąc zdjęcie stał w swoich drzwiach i zbiegając się linie wskazywały jak strzałki na winowajcę. Pocieszał się, że wśród autorytetów powstanie na pewno jakaś różnica zdań na temat tego, co i jak naprawdę zaszło. Mógł się upierać, że o niczym nie wie, ale wiedział, że wzięty w krzyżowy ogień pytań załamał się... Pamiętał, że zostawił w sklepie wywołany film – dowód i świadectwo w przypadku rewizji, a na pewno do niej dojdzie. Nie można się było dalej wylegiwać w łóżku. Ubrał się powoli jak skazaniec i zszedłszy po schodach, zapadł w niespokojną drzemkę w fotelu w ciemnym pokoju wypoczynkowym. Na stoliku przed sobą położył aparat i nieużywany film.

Gdy się obudził, po okiennych szybach spływał deszcz. Zdziwił się z początku, znajdując siebie w tak dziwnej pozycji, połamanego i zziębniętego, ale błysk światła w obiektywie kamery przypomniał mu szybko o wypadkach poprzedniego dnia. Jęknął, przejechał dłonią po twarzy i podźwignął się z fotela, czując swoje sześćdziesiąt lat w każdym trzasku zastałych stawów i w zeszywniałych mięśniach. Kamera odbijała jego ruchy niczym zimne, martwe oko. Przeszło mu przez myśl, że może od razu rozwiązać problem, fotografując siebie samego w lustrze. Być może, ale ostateczny rezultat, życie w dwuwymiarowym, statycznym świecie nie był raczej zachęcający. Odrzucił szybko ten pomysł i rozsunał zasłony, żeby przyjrzeć się nowemu dniu. Bolały go plecy i odwracając się od okna, skrzywił się z bólu. Ku swemu zaskoczeniu stał oko w oko z obiektywem kamery. Był pewien, że kiedy podchodził do okna, aparat leżał zwrócony w przeciwną stronę. Teraz zdawał się śledzić go i jednocześnie przywoływać, ale ostatnio wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że Hunter nie był tym incydentem przejęt. A jednak aparat przyciągał go powoli przez cały pokój, aż Hunter stanął, patrząc prosto w obiektyw, opętany jego mocą. Dotknął zimnego metalowego korpusu. Wprawnie otworzył tylną ściankę aparatu i wyjąwszy film z opakowania wkręcił go w ciemne wnętrze. Częstką siebie był pewien, że chce załadować aparat, ale jednocześnie miał wrażenie, że przygląda się całej procedurze z boku; jego ręce wykonywały kolejne czynności automatycznie – ślepe, ale pewne swoich ruchów. Delikatnie odłożył załadowany i przygotowany do wykonania zdjęcia aparat na stół i udał się na poszukiwanie śniadania. Gdzieś w zakamarkach jego umysłu rodziła się wątpliwość co do ostatnich działań, jednak świadomość pełnej kontroli nad biegiem wypadków, pewność, iż jest panem sytuacji, podnosiła go na duchu, wyzwalała poczucie bezpieczeństwa. A może tylko tak mu się wydawało.

parkował dwie przecznice od uliczki, przy której znajdował się zakład, ale w takiej od niej odległości, żeby nie musiał daleko iść. Przechodniów było niewielu, a ruch uliczny praktycznie nie istniał. Zbliżając się do zakładu i czekając na sposobność wślizgnięcia się doń niezauważonym, zobaczył na drugim końcu ulicy obok „dziury”, którą zrobił, trzech żołnierzy, grzejących się nad małym koszem z rozżarzoną koksem. Znajdowali się za daleko, żeby wezwać go do zatrzymania się i z pewną ulgą Hunter wszedł do swojego kantoru, zamykając za sobą drzwi. Spojrzał na zegar, wiszący nad ladą. Wskazywał godzinę 6,30 rano – wcześniej jak na zjawienie się w miejscu pracy, nawet według jego norm. Może, pomyślał, popełniłem błąd. Przyjście do pracy o tak wczesnej porze mogło nawet wzbudzić podejrzenia, chociaż był pewien, że nikt go nie widział. Jakby w odpowiedzi na to pytanie usłyszał zatrzymujący się na zewnątrz samochód. Otworzyły się drzwiczki i w kierunku zakładu zaczęły się zbliżać czyjeś kroki. Jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, Hunter wpadł szybko do studia na zapleczu, żeby znaleźć film. Szukając jakiejś dodatkowej asekuracji natrafił ręką na kamerę, przewieszoną przez ramię i przestawił przełącznik czasu ekspozycji w położenie pracy automatycznej. Ktoś zapukał do drzwi. W tej samej chwili Hunter otworzył pudełko z wywołanym poprzedniego dnia filmem i pociął go szczyrykiem na odcinki po sześć klatek każdy. Wsunął je szybko do koperty, a tę włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki. Pukanie do drzwi stało się natarczywe i ktoś zaczął szarpać za klamkę. W oknie wystawowym pojawiła się czyjaś twarz.

– Już idę – krzyknął Hunter. – Idę, idę – powiedział otwierając drzwi.

Młody policjant był sam, jego kolega siedział w radiowozie i mówił coś do mikrofonu.

– Dzień dobry panu – powiedział i nie czekając na odpowiedź Huntera ciągnął dalej. – Czy to pański zakład? Widzieliśmy, jak ktoś tu wchodził.

– Tak – odparł Hunter zastanawiając się, gdzie się chowali, bo on widział tylko żołnierzy. – Wie pan, zwykle zaczynam pracę bardzo wcześnie.

Policjant zerknął na zegarek. Nad jego ramieniem Hunter zauważył, że drugi oficer siedział teraz w wozie studiując mapę i wciąż mówiąc coś do mikrofonu.

– Przypuszczam, że wie pan o wypadkach wczorajszego dnia, sir? – powiedział policjant, błędząc wzrokiem po wnętrzu kantoru. Było to pytanie retoryczne, ponieważ o „wypadkach wczorajszego dnia” wiedział już cały świat. Hunter wszedł z powrotem za ladę.

– Tak, tak, oczywiście, to straszne – powiedział, zdejmując aparat z ramienia i kładąc go na przedzielnym ich kontuarze. Policjant spojrzał na kamerę i wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, ale Hunter uprzedził jego zamiar, chwytając aparat.

– Wie pan, jestem amatorem – powiedział policjant uśmiechając się lekko. Hunter nie był pewien, co odpowiedzieć, bo uwaga została wygłoszona w tak poufny sposób, że zadał sobie pytanie, czy hobby policjanta nie jest aby tajemnicą, którą zna jedynie niewielu. – Ciekawe zjawisko tam, za pańskimi drzwiami – ciągnął policjant wskazując za siebie kciukiem. Na jego twarzy nadal malował się uśmiech. Patrzył Hunterowi prosto w oczy.

– Tak, to bardzo dziwne – mruknął pod nosem Hunter, zerkając przez okno. Był pewien, że jest oskarżony i że za chwilę zostanie aresztowany. Ścisnął mocniej aparat w rękach. Policjant, nie spuszczać z niego wzroku, podszedł do drzwi, żeby zawołać kolegę. Hunter nie myśląc wiele podniósł w panice aparat do oka. Policjant zaskoczony tym nagłym odruchem spojrzał w obiektyw obojętnie, ale z iskierką zrozumienia. W tym czasie Hunter nastawił ostrość, po czym nacisnął spust migawki: Ponieważ sklep był mały i obaj mężczyźni stali blisko siebie, Hunter objął tylko górną połowę człowieka i kawałek sufitu. Nieszczęsny na-

tego ona pojechała do pracy swoim samochodem. Policja nigdy nie powiedziała tego, co chciał i teraz przejście blokowała tylko jego dolna połówka Hunter zamarł, przeżony tym widokiem. Dobiegł go odgłos otwieranych drzwiczek samochodu, krzyk, tupot stóp

– Nie zbliżaj się – krzyknął – przepuść mnie. Wychodzę! – W drzwiach pojawiła się głowa drugiego policjanta i szybko się schowała, a Hunter trzymając aparat w wyciągniętych rękach jak broń, prześlizgnął się obok przepołowionego ciała i wypadł na chodnik. Drugi policjant siedział już w radiowozie i wrzeszczał coś do mikrofonu krótkofalówki. Żołnierze stojący po przeciwnej stronie ulicy odwracali się w ich stronę. Hunter zdecydowanym krokiem ruszył ulicą w kierunku swojego samochodu.

– Hej ty, zaczekaj. Stój! – krzyknął za nim policjant z radiowozu.

Hunter odwrócił się na pięcie

– Daj mi spokój – odkrzyknął. – Nic mi nie możesz zrobić! – Podniósł kamerę do oka, wyregulował ostrość i nacisnął spust. To było proste, problem został rozwiązany w ułamku sekundy i teraz Hunter patrzył na miejsce, które jeszcze przed chwilą zajmowali policjant ze swoim radiowozem. Żołnierze byli teraz rozmazanymi, niewyraźnymi sylwetkami w tle, uchwyconymi gdzieś pomiędzy rzeczywistym, fizycznym, trójwymiarowym światem, a światem z kliszy znajdującej się w jego aparacie. Podniósł rękę do twarzy, żeby otrzeć ją z potu i zastanawiał się przez chwilę, co zrobił. Kilka przecznice dalej zawył samotnym krzykiem policyjna syrena, odpowiadały jej dwie inne, a potem następne syreny. W drzwiach i w oknach pojawili się ludzie, ale Hunter, nie zwracając uwagi na ich wołania, ruszył w kierunku swojego samochodu.

Skonfundowany nagłym obrotem sprawy i przygnębiony tym, co zrobił młodemu policjantowi, nie miał żadnego sensownego pomysłu, co teraz począć. Odnalazł swój samochód i wyjechał z miasta, kierując się na północ z silnym postanowieniem ucieczki przed jakimkolwiek pościgiem. Trzymał się uparcie szosy. Wszystko nie poszło tak jak trzeba, bieg wypadków wymknął się całkowicie spod kontroli, jechał więc, jak gdyby powiększająca się odległość między nim, a tym, co zrobił miała wymazać niedawne zajścia z jego pamięci. Ogarniała go straszna panika, panika tak silna, że nie był w stanie logicznie myśleć. Prowadząc samochód wściekał się co chwila na własną głupotę, ale w miarę upływu czasu i przejechanych mil uspokoiło go zmęczenie. Raz, przyszedłszy trochę do siebie, roześmiał się przypominając sobie dziwną sytuację, w jakiej się znalazł. Jest niepokonany, przekonywał siebie samego, niedotykalny i może targować się o swoją wolność, gdyby go schwytano. Po raz pierwszy tego dnia uwolnił się od dręczących go ponurych myśli i zaczął zauważać przesuwający się za oknami samochodu krajobraz. A ten zmienił się bardzo – zniknęły gdzieś pola i lasy, a na ich miejsce pojawiły się obte, porośnięte wrzosem wzgórza Wyżyn. Wokół rozciągała się dzika i pusta kraina i cieszył się, że tu zabłądził. Tego popołudnia Hunter wymknął się pościgowi – jeśli taki zorganizowano – a pogoda pomogła mu się ukryć pod chłodnym kocem mgły. Wyczerpany psychicznie i fizycznie, ścisnął aparat chłonąc z niego pewność siebie i siłę, których potrzebował, żeby jechać dalej. Późnym wieczorem, w zapadającym zmroku zjechał z drogi i wyłączył silnik. Wyjrzał w otaczające go ciemności. Był zbyt zmęczony, żeby dalej uciekać, żeby myśleć o czymś więcej niż tylko o spaniu. Daleko od głównych dróg, ukryty przez ociekające wilgocią gałęzie i mroczne cienie, zapadł w niespokojny sen.

**O**budził się wcześniej następnego ranka – spragniony, głodny i obolały na całym ciele, bo chociaż pod pledem, którym się okrył było ciepło, nie była to wygodnie spędzona noc dla mężczyzny w jego wieku. Zimne powietrze na zewnątrz orzeźwiło go i wjechał na główną drogę w nadziei znalezienia jakichś ludzi zanim skończy mu się benzyna albo woda w zbiorniku. Co-



ry mile dalej wjechał w płytki parów, który nagle otworzył się na rozległą, pustą równinę. Droga wiała się w dali jak cienka, czarna linia w rozległym, zielonopurpurowym krajobrazie i nie licząc smugi dymu wznoszącej się w niezbyt dużej odległości spoza rzadko zalesionego zbocza, pejzaż pozbawiony był jakichkolwiek śladów życia czy ruchu. Po przejechaniu mili, Hunter spostrzegł znak na poboczu drogi: ZAJAZD CARINDO – PEŁNY WIKT – 2 MILE –. Reszta napisu została zamazana. Po niespełna pół godzinie, udzielwszy wymijających odpowiedzi na dociekliwe pytania podstarzałej recepcjonistki, Hunter nappełnił żołądek śniadaniem i znalazł się w swoim pokoju w pustym

(zgodnie ze swoimi obliczeniami spał około pięciu godzin), kiedy domem wstrząsnął głośny, dochodzący z parowu huk. Z początku siła eksplozji go oszołomiła. Rozejrzał się w panice po pokoju. Drzwi były zamknięte na klucz, kamera leżała nietknięta przy łóżku, tak jak ją zostawił, a jego ubranie wałało się rozrzucone po podłodze. Wycofawszy się od okna usiadł na łóżku i wciąż nie mogąc dojść do siebie, schylił się po spodnie i koszulę. Za oknem znowu rozległ się huk, ale tym razem był już na to przygotowany; ktoś do niego przemawiał. Nie było to przesłanie z zaświatów, ale zwykły, ziemski głos i bezsprzecznie zwracał się do niego. Wciągał właśnie marynarkę, kiedy usłyszał go ponownie.



Elżbieta Koraczowska-Franczuk

poza tym Zajeździe Carindo. Jego ciało domagało się odpoczynku, zamknąwszy więc drzwi na klucz i umieściwszy kamerę w zasięgu ręki, położył się i zasnął. Spał głęboko, przespał lunch, który i tak odwołano po wiadomościach nadanych tego dnia w radio o pierwszej po południu. Po krótkiej, ale znaczącej rozmowie telefonicznej Zajeździe Carindo pozostawiono jego jedynemu gościowi, a cały personel w liczbie dwóch osób wyniósł się cicho hotelowym samochodem w kierunku parowu. Hunter ocknął się w tej pustce trochę później po południu. Zwłókł się powoli z łóżka i podszedł do okna. Widok miał wspaniały. Nisko sunące chmury nad szczytami odległych, obłych wzgórz, a w przednim planie wrzosowisko falujące w podmuchach lekkiego wietrzyku. Ale oprócz trąsawego wrzasku nie było słychać nic, żadnego ruchu w domu, żadnych głosów.

Podniósł się właśnie ze stojącego przy oknie krzesła z zamiarem zejścia na dół i przeprowadzenia rekonesansu, jak również pozbycia się przykrego uczucia pustki w żołądku

– Panie Hunter, panie Robercie Hunter, słyszy mnie pan? – Łagodne, perswazyjne, może tylko zbyt głośne wezwanie. Nie można go było nie słyszeć. – Panie Hunter – ciągnął głos – jest pan w domu sam. – Nastąpiła krótka pauza, żeby to stwierdzenie dotarło do niego. – Chcielibyśmy z panem porozmawiać, panie Hunter. Chcielibyśmy porozmawiać. – Żadnych gróźb, żadnych rozkazów.

Hunter odpowiedział cicho, siedząc pochylony na łóżku i sznurując buty:

– Dajcie mi spokój, nie mam nic do powiedzenia.

Zaraz potem odezwał się drugi, spokojniejszy głos:

– Panie Hunter, nie jesteśmy tu po to, żeby wyrządzić panu krzywdę. Wiemy coś niecoś o tym, co pan potrafi, ale nie możemy zrozumieć, jak pan to robi. Może mógłby nam pan to wyjaśnić? – To się Hunterowi nie spodobało. Powiedział już wcześniej, że nie ma nic do powiedzenia, nie żył sobie indagacji.

– Boicie się podejść bliżej, co? – powiedział z większą pewnością siebie.

– Tak – padła odpowiedź – tak, ale może o tym porozmawiamy. Może się pan swobodnie poruszać po domu. Nie widzimy pana, ale słyszymy. Dysponujemy superczułymi mikrofonami wycelowanymi w okna. Odbierają bardzo wyraźnie pański głos. – Hunter spojrzał na okno sypialni, spodziewając się zobaczyć te niewidzialne mikrofony przycisnięte do szyby. Tyle dziwnych rzeczy zdarzyło się ostatnio, że to – głos, mikrofony – zdawało się mieć związek z dziwnymi wypadkami ostatnich trzech dni. Siedział tak na łóżku, patrząc na odległe wzgórza i zastanawiając się, co powiedzieć. W końcu odezwał się:

– Co chcecie wiedzieć?

Nastąpiła krótka przerwa, jak gdyby potężny, boski głos, bo takim się on jawił Hunterowi, prowadził konsultacje, jak gdyby jego zgoda wymagała czasu na sformułowanie dalszych pytań. Ale zanim odezwał się ponownie, Hunter powiedział:

– Schodzę na dół, żeby coś zjeść. – Urwał, wpatrując się w okno i już mniej pewny siebie dodał: – Zabieram ze sobą aparat.

Głos odpowiedział natychmiast:

– Oczywiście, panie Hunter, ma pan całkowitą swobodę poruszania się. Musi pan być bardzo głodny. A co do aparatu, to właśnie o nim chcemy porozmawiać.

Hunter był już na schodach i głos docierał do niego przytłumiony, nie usłyszał więc ostatniego zdania. Zszedł do małego holu, z którego prowadziły drzwi do jadalni i świetlicy. Tu na dole jest pełno szyb, pomyślał Hunter. Na pewno nie tylko mnie słyszą, ale i widzą. Przeszedł przez drzwi oznaczone napisem „Kuchnia”, a potem dalej, do jadalni. Była pusta. Popychając wahadłowe drzwi wszedł do środka. W sali widać było ślady pośpiesznej ucieczki – kilka przewróconych krzeseł, pozostawione na stoliku talerze z jedzeniem i trzeszczące radio tranzystorowe leżące na przykrytej dywanem podłodze. Za oknami roztaczał się widok na rozległe moczary i góry. Gdzieś tam znajduje się mój niewidzialny rozmówca, pomyślał. Ustaliwszy, że naprawdę jest sam w hotelu, wrócił do kuchni i podszedł do wielkiej lodówki. Wyjął z niej, co mu się nawinęło pod rękę i popił posiłek kilkoma filiżankami kawy z bulgoczącego wciąż ekspresu. Zaspokoiwszy głód stanął w otwartych drzwiach frontowych hotelu i wyjrzał na zewnątrz, zastanawiając się, czy odważy się wyjść, czy czekają tam, gotowi się na niego rzucić i obezwładnić go, żeby wydrzeć mu kamerę? Przerywając nagle ciszę, czystszy teraz i wyraźniejszy Głos powiedział:

– Panie Hunter, dobrze się pan czuje, zjadł pan?

– Tak, teraz czuję się świetnie – odparł automatycznie i zawrócił do schodów, wspinając się na nie najszybciej, jak potrafił.

– Panie Hunter – kontynuował przytłumiony przez ścianę Głos – chcielibyśmy kogoś do pana posłać, o ile obieca nam pan, że nie wyrządzi mu żadnej krzywdy.

Hunter był już w swoim pokoju i zamykał drzwi. Usłyszał tylko ostatni fragment tego komunikatu. Położył się na łóżku, przyciskając kamerę do piersi. Poczuł się nieco bezpieczniej i dalej od natrętnego molestowania. •

– Dajcie mi spokój – wyszeptał – dajcie mi wreszcie spokój. – „Naciskają na ciebie Hunter”, pomyślał. „Chcą cię mieć, ciebie i twoją tajemnicę”. Uniósł głowę z poduszki. – Nie chcę nikogo widzieć. Nie chcę rozmawiać – krzyknął do niewidocznych mikrofonów.

– Ależ panie Hunter – nalegał bezcielesny Głos – musimy znaleźć jakieś rozwiązanie tego problemu. Dalej tak nie może być. Czy pan rozumie, co pan tam ma, panie Hunter? Dysponuje pan ogromną mocą. – Głos przybrał na sile, zirytowany odmową, ale Hunter niewzruszony leżał na łóżku, nawet nie słuchając. Znowu nastąpiła pauza, z parowu nie dochodził żaden dźwięk. Odczekawszy chwilę, Hunter

wstał z łóżka i ostrożnie podszedł do okna. Oczywiście otoczyli mnie, pomyślał, chociaż nieprzyjacieli jest niewidoczny i boi się ujawnić. Klasyczny przypadek pata. Ale on ma broń doskonałą, on tu jest górą, a nie tamci, kryjący się w parowie.

A może by tak po ciemku... Hm, mruknął cicho pod nosem i uśmiechnął się chytrze. To jest plan, pomyślał, to wszystko jest najprawdopodobniej snem, koszmarem i na pewno wkrótce się obudzę daleko od tego wszystkiego, od tego dziwnego pokoju i jeszcze dziwniejszego Głosu. Miał się właśnie odwrócić i położyć z powrotem na wygodnym łóżku, kiedy jego wzrok przyciągnęło jakieś poruszenie w parowie, błysk odbitego światła.

– Naciągają – powiedział półgłosem – naciąga nieprzyjacieli – a potem krzyknął na cały głos: – Kiedy wielki Las Birnam podejździe pod wysokie Wzgórze Dunsinane... – urwał, dalej nie pamiętał.

– Co pan mówi, panie Hunter? – spytał łagodniej Głos, tym razem kobiecy. Ale Hunter nie zauważył zmiany.

– Nic, nic nie powiedziałem – krzyknął, zdenerwowany, że mu przeszkadzają i że nawet myślenie nie jest już jego prywatną sprawą. Zdjął kamerę z ramienia i położył ją na okiennym parapecie. Sprawdziwszy, czy jest ustawiona na automatykę spojrzał przez wizjer. Nic, czyste i puste wzgórze pod zachmurzonym niebem. Skryte za chmurami słońce rzucało w obiektyw słabe refleksy. Hunter ziewnął i przetarł ręką oczy. Znowu chciało mu się spać, pragnął zapomnieć o tych nierozważnych czynach, których się dopuścił. A może się poddać?

„Padnij na kolana, Hunter, błagaj o litość”. Bawił się przez chwilę tym pomysłem. Nie, nie, jutro, pomyślał. Może jutro sprawy będą wyglądały trochę lepiej... Czuł jak gdzieś odpływa, senny po zbyt obfitym i zbyt szybko spożytym posiłku. Niestrawność przerodziła się w zgagę. Pomaślował sobie lewą stronę piersi.

– Spojrzę jeszcze jeden raz i zobaczę jak są daleko – powiedział spokojnie w kilka chwil później. Sięgając prawą ręką po kamerę uniósł głowę ponad niski parapet. Jego palec dotykał odruchowo przycisku spustu migawki, gładząc go pieszczotliwie. Spojrzał na moczary i na parów. Zerknął na to samo przez obiektyw.

– Wyszłoby niezłe zdjęcie – mruknął do siebie i uśmiechnął się do własnej głupoty. Blask przybrał na sile, ale nadał scenie dramatyzmu. Jeszcze jakaś godzina i byłoby świetne zdjęcie zachodu słońca, pomyślał. Pograżył się we wspomnieniach o takich jak ta chwilach, dawno temu w jego płomiennej, fotograficznej młodości. Odsunął na chwilę głowę od wzornika aparatu nie spuszczaając palca ze spustu migawki.

Pocisk trafił go w lewe oko, nie dając nawet czasu na zastanowienie się, skąd nadleciał, ani na usłyszenie wizgu, z jakim się zbliżał. Hunter zapadł w czerni. Uderzenie pocisku odrzuciło mu głowę do tyłu i palec, spoczywający na przycisku, drgnął. Kamera przechyliła się ku górze, mierząc prosto w słońce i pełna siła jego promieni padła na ogłnionego światłomierza. Obłeczenie i wykonanie ekspozycji trwały zaledwie 1/1000 sekundy... I słońce zgasło!

Przełożył Jacek Manicki



# ZARAWA W CHOWANEGO

(Aki buji, aki-nem)

1990 - 1

Włóczęga trzebiła pólka. Cicho,  
wyciszanie, z garyza. - Dłaczego  
mi to robisz, Sarnie? Czym ci  
zawładam?...

Dostrzegasz, Sarnie, jak taktyka  
moja jest, 1990 nie porusza się.  
Słucham, Sarnie, z zacięciem  
moim, Sarnie, wpatrując się w  
w młoczone.



rowały drobinki pyłu. Na całej planecie nie było miejsca, gdzie mogłaby się przed nimi ukryć. Ciężki zapach polerowanej miedzi i ołowiu wniknął w tkaninę jej kostiumu i jedwabne pończochy. Buty z krokodylej skóry też nie prezentowały się tak znakomicie, jak dzień wcześniej, gdy przechodziła w nich z nowiutkiego, sportowego samochodu na pokład swego statku. Czuła się poniżona, nieczysta. Wiedziała, że tak będzie. Domyślała się tego już tam, na dole, lecz całkowitą pewność zyskała dopiero w momencie, gdy jej statek doleciał do UNO, prywatnego systemu należącego do Koncernu Przemysłu Mieszanego. Tu, w kuli o średnicy roku świetlnego bezustannie pulsowało czarne serce zbadanego wszechświata. W polu grawitacyjnym gigantycznej gwiazdy węglowej, stosu atomowego klasy widmowej RN unosiły się światy rud, ropy i węgla kamiennego. Ponad pięćdziesięcioma wieżami wiertniczymi UNO-3, ponad olbrzymią kopalnią płonęły dwa tuziny piekielnych pochodni gazowych rozrywając na strzepy ciemność sześćdziesięciogodzinnych nocy. W sieci rurociągów pięćdziesięciu ogromnych zakładów petrochemicznych UNO-2 płynęła gęsta jak smoła ropa. Pięćdziesiąt sekcji pompujących przyjmowało tankowce, przybywające po benzynę o najwyższej liczbie oktanowej w całym wszechświecie. Na powierzchni UNO-1 dudniło pięćdziesiąt potężnych stalowni zaopatrujących zakłady zbrojeniowe Koncernu w stopy wysokiej jakości.

Mężczyzna, w wieku lat czterdziestu siedmiu – czterdziestu ośmiu, z typu wcześniej starzejących się, o pooranym bruzdami czołe, siwiejącej czuprynie i przenikliwym spojrzeniu, smętnie potrząsnął głową. Na Ziemi dawałoby mu jeszcze pięćdziesiąt – pięćdziesiąt pięć lat życia. Lekarze UNO-1 uśmiechali się dość szeroko i obiecywali mu dwadzieścia – dwadzieścia dwa. Nie musieli się tłumaczyć. Każdy akceptował warunki w chwili, gdy sprzedawał Koncernowi duszę i ciało. Dowodem na to były kopie umów, z których jedną mężczyzna przesunął po stole w kierunku dziewczyny.

– David Cameron Mulgrave, inżynier hutnictwa... – głośno przeczytała młoda kobieta. – Rozwiedziony, ojciec dwójki dzieci. – Zaśmiała się. – Ale przecież to kłamstwo. Nazywasz się Sarge. Sarge Esperance. Nigdy nie byłeś inżynierem hutnictwa. I nie masz więcej jak trzydzieści pięć lat, niezależnie od tego, jak wspaniały jest ten makijaż. – Niepewnie uśmiechnęła się do mężczyzny. – Co ci jest, Sarge? Nie chcesz mi powiedzieć? Nie chcesz mnie widzieć? Jeśli mogę coś dla ciebie uczynić, jeśli mogę ci pomóc, zrobię to, tylko mi powiedz!

– Pani Esperance, proszę mi pozwolić kontynuować moją pracę. To jest wszystko, co może pani dla mnie zrobić w tej chwili.

Oziębły ton zrobił swoje. Dziewczyna znowu załapała się łzami. – Chcesz mnie wykończyć, prawda? O co ci chodzi, braciszku, może mam cię błagać, żebyś skończył tę swoją grę? Nagle o wszystkim zapomniałeś? Nie potrzebujesz swoich milionów? Znudzili ci się przyjęcia w ogrodzie, golf, wycieczki na nartach, piękna żona? Znudzili ci się i zmieniłeś je na to? – Spojrzała dokoła i wstrząsnęła się. W oddali zawył syrena oznajmijająca koniec zmiany. – Przecież nie znasz się na maszynach. Praca nigdy nie była twoją najmocniejszą stroną. Ten pył niezbyt ci pomoże przy twojej astmie, Sarge. Tu nawet atletę rozłożyłaby silikoza. Alergia zniszczy twoją delikatną skórę. Skończ to, Sarge, póki nie jest za późno!

W czystych, szarych oczach Mulgrave'a widniały współczucie i smutek.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, pani Esperance, pani brat

przebywa obecnie w systemie UNO-1 to nielegalnie. Radzę, by poszła pani do szefa służby bezpieczeństwa naszego zakładu. Na zewnątrz każdy wskaże drogę, jeśli pani o niego zapyta. Nie ma się czego obawiać: jest jednakowo kompetentny zarówno w sprawach szpiegostwa przemysłowego, jak i w kwestiach personalnych. Jeśli pan Esperance ukrywa się tutaj, szybko go odszukają. Wszyscy będziemy uspokojeni, choćby dlatego, że w tym małym świecie wólczy... no, narażają się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Widziała pani nasze maszyny, prawda? Niektóre z nich to prawdziwe maszynki do mięsa. Ale to najdoskonalsze, najpewniejsze urządzenia w całej republice. To, do czego są zdolne...

– Sarge, na miłość Boską! Mnie nie musisz się bać! Niezależnie od tego, co jest powodem takiego zachowania, na pewno potrzebujesz pomocy. Masz kłopoty finansowe? Przecież wiesz, że firma...

– Z całym spokojem mogę stwierdzić, pani Esperance, że nie mam trosk natury materialnej. Ta posada, jak pani wie, daje mi niezły dochód. Moi synowie są już niemal dorośli. Jeden walczy w LMG. Zapewne czytała już pani w gazetach o tej lokalnej wojnie. Zgłosił się na ochotnika i w zeszłym roku awansowano go na chorążego. Jego matka przez całe miesiące zasypywała mnie listami: „Pogadaj z chłopcem, Dave!” Z dwudziestodwuletnim mężczyzną, który już wkrótce będzie oficerem! No cóż, moja żona zawsze postępowała dziwnie. W szczególny sposób. Apolitycznie. Rozumie mnie pani, prawda?

Dziewczyna szlochała. Łzy spływały po jej opalonej twarzy i szyi. – Nie cierpie cię! Jezu, żebyś ty wiedział, Sarge, jak ja cię nienawidzę! Teraz odchodzę. Nie wrócę więcej, skoro tego sobie życzysz. Nigdy już o nas nie usłyszysz. Twoja żona, to znaczy twoja prawdziwa żona, przesyła ci wiadomość. Przyjęła zaproszenie od swoich przyjaciół z Kalifornii. Prosiła, żebym ci powiedziała, że od tej pory będzie cię zdradzać codziennie, w każdej chwili. Prosiła, żebym ci to dała na pamiątkę... Niech Bogu będą dzięki, że mi to ułatwiłeś!... – Błyskawicznie sięgnęła do twarzy mężczyzny, perłowo błyszczące paznokcie wbiły się w skórę zostawiając cztery wąskie krwawe bruzdy. Palce zacisnęły się na krótko ostrzyżonych włosach inżyniera. Nie bronił się. Jego twarz uderzyła o krawędź biurka. Z pękniętej wargi spłynęła na brodę krew. Roztarł ją i podniósł wzrok. – Pani Esperance...

Dziewczyna z przerażeniem cofnęła się. Dwa kroki, trzy. Obie pięści przycisnęła do ust, żeby nie krzyknąć. Bowiem nie udało się jej zdrapać makijażu. Na twarzy mężczyzny nie było makijażu. Inżynier zwilżył wargi i spoglądał na dziewczynę z charakterystyczną miną, z jaką mężczyźni zbliżający się do pięćdziesiątki zwykli patrzeć na młodsze o dwadzieścia lat, niezrozumiale zachowujące się kobiety.

– Pani Esperance...

Dziewczyna odwróciła się na pięcie, wybiegła szlochając, zatrzasnęła drzwi. Mężczyzna przez chwilę czekał, nasłuchiwał, po czym powiół się do umywalki. Oplukał czoło, przemył rany. Nagle dostał czkawki. Cztery małe różowe strumyczki przebiegły po podrapanej szczęce.

Następnego dnia dotarł do stołówki niewyspany, jako jeden z ostatnich. Ledwo zdążył zdjąć płaszcz i zająć swoje miejsce, a już po obu stronach otworzyły się okienka wydające jedzenie. Dookoła nad stołami pochylał się z tuzin mężczyzn głęboko wciągających mocny zapach zupy.

– Wszystko w porządku, Dave? – ktoś z rzędu naprzeciwko pochylił się jeszcze niżej. – Tak na oko, to bym powiedział, że miałeś paskudny dzień i noc. Jeśli chcesz, wezmę twoją zmianę. Masz jeszcze czas, żeby odrobić przed koń-



cem kwartału. W porządku? – Mulgrave pokręcił głową. Jego sąsiad z prawej strony podsunął mu puszkę piwa: – Dajcie mu teraz spokój! – Ciszej ciągnął dalej: – Kto to była ta kobieta, Dave? Córka?

Mulgrave chrząknął. – Siostra. Tak przynajmniej twierdzi.

Inżynier nie dopytywał się więcej. Przez następne pół godziny zmagali się ze swoimi porcjami. Mulgrave skosztował bawarskiego piwa (raz na pół roku przychodził transport tylko tego gatunku) i wysłuchał kilku rozmów o funkcjonowaniu pieców martenowskich, o nadmuchu tlenu i o stosowanych metodach prasowania na zimno. Pozwolił, by jego umysł przemelił informacje na zdania, słowa, sylaby. Dzięki obiadom i kolacjom nie musiał w ciągu ostatnich tygodni sięgać do podręczników. Jego współpracownicy okazali się znakomitymi znawcami teorii, a jeśli to możliwe, jeszcze lepszymi praktykami. Byli bardziej godni zaufania niż literatura zawarta w całej bibliotece. Poza tym byli przenikliwi, spokojni i pewni siebie – prawdziwie godni miana towarzyszy pracy. Gdy skończyli kolację, stos RN, słonice systemu zaszło już, a na zewnątrz zawyły syreny. Noc otworzyła nad UNO-1 swoje płonące oczy i wpatrywała się w twarz Mulgrave'a wracającego do swego biura przez unoszące się opary i popioły. UNO-2 stało wysoko, UNO-3 w pełnym zaćmieniu ciemniał pięć stopni powyżej linii horyzontu: czarna dziura o przepalonych brzegach w przestrzeni. Inżynier poczuł, że podłoga pod jego stopami zadrżała. Do hali terminalu zakładu wpłynął statek. Mały statek, czerwone i zielone światła pozycyjne. Czyżby dziewczyna wróciła?... Możliwe. Naprawdę kocha brata. Choć nie potrafi mu pomóc, tak jak nigdy nie potrafiła. Na biurku rozjarzył się ekran osobistego komunikatora. Mulgrave usiadł.

– Dave? – Twarz szefa służby bezpieczeństwa zakładu zdradzała niezadowolenie. – Tylko chwila, Dave! – krzyknął przez nasilający się hałas. – Przykro mi, że ci przeszkadzam, ale jest tu ktoś, kto przybył z daleka i upiera się, żeby natychmiast z tobą rozmawiać...

Nie musiał tego mówić. Mulgrave wyczuwał przybysza – wiedział, że jest mężczyzną, wiedział, że jest słabo umięśniony i dlatego czuje teraz w plecach rwący ból. Nawet widział go jak jakiś niewyraźny, rozmazany szkic ołówkiem. Dosyć! – rozkazał sobie twardo.

– Będę tam za dziesięć minut – obiecał i gdy tylko wstał, by założyć marynarkę, poczuł w gardle gorycz. Cokolwiek przedsięwzięła ta dziewczyna, nie mógł już zrobić nic, żeby to zatrzymać.

Przybysz miał około czterdziestki, jego rozpięta marynarka i poluzowany krawat stwarzały intymny nastrój w pustym biurze szefa służby bezpieczeństwa.

– Dr Teil – powiedział szef ze zmieszaniem – przybył do nas na polecenie pani Esperance. Prosto z Ziemi, żeby z tobą porozmawiać. Jeśli chodzi o mnie, to nie wiem...

– Prosiłbym – wtrącił doktor aksamitnym głosem – żeby zostawił nas pan samych na kilka minut.

Szef bezpieczeństwa rzucił inżynierowi pełne współczucia spojrzenie i zamknął za sobą drzwi. Dr Teil przysunął się bliżej. Uśmiechnął się do Mulgrave'a. – Dobry wieczór, Sarge!

Starszy mężczyzna zamknął oczy. – Tak sądziłem, że dziewczyna nie odleci stąd zanim nie naśle na mnie psychologa. – Zapalił papierosa. – Biedna. Komplikacje rodzinne musiały ją solidnie wyczerpać.

– Solidnie – dr Teil skinął głową. – Lecz jeśli chodzi o mnie, panie Esperance, to jest pan w błędzie. Nie jestem psychologiem, tylko fizjonomistą. Wie pan, co to takiego, prawda?

– Bada pan rysy twarzy, grymasy i na tej podstawie wyciąga pan wnioski o pewnych procesach psychicznych. A więc jednak psycholog. Co mogę dla pana zrobić, doktorze Teil?

– Dla mnie nic, prawie nic, panie Esperance. Zrobiłby pan dobrze dla siebie, swej siostry i żony, gdyby zdecydował się pan lecieć jutro rano ze mną.

– Nazywam się David Cameron Mulgrave. Jestem inżynierem hutnikiem; rok urodzenia...

– Jak pan sobie życzy – powiedział dr Teil. – Może jednak pozwoli mi pan chociaż opowiedzieć pańską historię. Sarge Esperance jest młodym człowiekiem pochodzącym z dobrej rodziny. Nie ma nawet trzydziestu lat, gdy dziedziczy olbrzymi majątek. Porzuca studia w Eton i przez trzy lata pędzi żywot złotego młodzieńca. Później żeni się z Claire Esteira, przez co wchodzi w więzy powinowactwa z szefem Unii Korsykańskiej, starej organizacji przestępczej. W wieku trzydziestu trzech lat jest właścicielem największego na świecie przedsiębiorstwa importowo-eksportowego, jednym z głównych udziałowców Koncernu Przemysłu Mieszanego UNO. Życie stoi przed nim otworem. Później nagle znika. Mija rok, nim jego teść, siostra i żona ze zdumieniem stwierdzają, że żyje w systemie UNO, i to pod przybranym nazwiskiem. Być może szuka romantycznej przygody w mysiej dziurze, w której nie ma nic do szukania. Może znikował. Obie wersje są dopuszczalne. Jego siostra nie szczędząc sił i czasu leci na UNO-1. Jednakże pod przybranym nazwiskiem widzi nie swojego brata, ale pięćdziesięcioletniego inżyniera hutnika, sumiennego i ograniczonego fachowca. Czy jego twarz jest dziełem chirurgów? To niemal niewiarygodne! Niewyobrażalne, non plus ultra irracjonalizmu!

Co mogło skłonić jednego z najbogatszych w świecie młodych przemysłowców do tego, by na zawsze się oszpecił? I to nie tylko twarz, lecz – jak stwierdzają tutejsi lekarze – także ciało... Bo inżynier hutnik jest od stóp do głów, na zewnątrz i w środku, pięćdziesięcioletkiem. Czary. I po co to wszystko?

Mulgrave zgasił papierosa. Dr Teil spojrzał nań marszcząc czoło.

– Rothmans International. Trzyma pan styl, wciąż jeszcze trzyma pan styl, Sarge. Jednakże w obecnej sytuacji radzę, by nie ciągnął pan tego dalej. Nikotyna szkodzi pańskim płucom. Tu dookoła jest wystarczająco dużo dymu...

– Tak pan sądzi? My to inaczej odbieramy. Dlatego w kwietniu systematycznie palimy zeschłe liście i śmieci.

Doktor nie obraził się. – Co pan myśli o mojej historyjce?

Mulgrave uśmiechnął się ze złością. – Wzruszająca. Absolutnie. To mógłby być szlagier filmowy: pełno w niej intryg, pieniędzy i miłości. Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

Dr Teil pstryknął palcami.

– Pańskie słowa, Sarge, pańskie zdania! Musi pan bardziej na nie uważać, bo wszystko pan psuje! A może nie wspominałem o tym? Zajmuję się też frazeologią. Zaczyna pan wypadać z roli.

Mulgrave naprężył mięśnie szyi. Dość! Ani jednego dźwięku więcej. Gdy jednak po dłuższej przerwie odezwał się, jego wyczerpanie było wyczerpaniem pięćdziesięcioletniego inżyniera hutnika:

– No a moje rysy? Czy wyczytał pan też coś z mych rysów, doktorze? Może właśnie sygnaturę mojego chirurga?

Młodszy z mężczyzn pokręcił głową. – Nie byłem zmuszony uciekać się do czegoś takiego, Sarge. Pańska siostra szczegółowo zrelacjonowała mi wasze spotkanie. Z tego, co mi opowiedziała wywnioskowałem o operacji plastycz-

nej. Sztuczki z makijażem dawno już zostałyby wykryte przy badaniach lekarskich. A przecież pan nie pragnie sensacji, Sarge! – Pochylił się bliżej. – Och, wcale pan nie pragnie! Gdzie pan podział świeże blizny, Sarge? Gdy pan tu wszedł, widziałem je jeszcze na pańskiej twarzy. Gdzie znikły? Może mi pan na to odpowiedzieć?

David Mulgrave z wahaniem dotknął czoła.

W ostatnich minutach trwającej do rana zmiany Mulgrave utkwiał spojrzenie w szeregu młotków parowych. Nienawidził doktora Teila. („Niech się pan zastanowi, Sarge! Niech się pan zastanowi! W każdej chwili znajdzie mnie pan w mojej kwaterze. Jeśli sobie pan życzy, może pan opowiedzieć swą historię z najdrobniejszymi szczegółami. Może pan odłonić swoje triki. To była naprawdę duża gra, Sarge, ale już się skończyła. Niech się pan nie przejmuj. Jeśli pan sobie życzy, zostanie to pomiędzy nami. W ostatecznym efekcie przez dłuższy czas mogą być pańskim prywatnym psychiatrą. Dobranoc, miłej pracy, Sarge!”)

Mulgrave myślał teraz o Ziemi jak o rozdieranej wojną prowincji. Nie miał ochoty tam wracać. Nie miał ochoty kryć się w powłoce wewnętrznej samotności, przez którą od czasu do czasu przedzierają się potoki pustych słów. Miał nadzieję, że jeszcze będzie okazja wyjaśnić dziewczynie, na co zamienił to wszystko. Wskazującym palcem prawej ręki przeciągnął po bliznach. Były tam i boleśnie piekły. Rzecz jasna, za późno. Popelnił błąd i dlatego, że go popelnił, musi umrzeć.

Natychmiast.

Rozejrzał się po hali. Umrzeć można tu na tysiąc sposobów. Jednakże tylko jeden jest doskonały. A w tym celu potrzebuje pomocy.

Przez otwór nowego pieca Natwicha dokładnie co trzydzieści minut wylewało się dziesięć ton roztopionego metalu, by w stojących na dole formach stężyć w metrowej grubości słupy. Mulgrave czekał na mostku, ścisnął poręcz, wpatrywał się w rozciągnięte pod nim, nieco zniekształcające nikłowe lustro. Bóg z tobą, Dave. Bóg z tobą, Sharon, Bóg z wami, chłopcy. Cholernie was pokochałem.

Syk pary zagłuszył pierwsze ostrzegawcze okrzyki: kilka metrów wyżej otworzyły się klapy. Rozżarzone gardło Natwicha rozdziawiło się na oścież. Inżynier hutnik przeszedł przez barierkę. Dziesięć – piętnaście osób widziało, jak jego ciało runęło w dół z roztopionym metalem. Kilku ludzi krzyknęło. Wyrastek z Brazylii przeżegnał się. Ktoś polecił po doktora Teila.

Przeciągłe wycie syreny. Nocna zmiana dobiegła końca.

## UNO-2

– Gus... – mruknął główny księgowy z szerokim uśmiechem stanowiącym własny patent Koncernu Przemysłu Mieszanego. – Gus Cernik. Wystąp, przyjacielu!

Przed nim stanął mężczyzna o płowych włosach, rzadkich brwiach i wnikliwym wejrzeniu. Świrusy zbzikowane na punkcie wojskowego wyposażenia z demobilu z pewnością byłyby skłonne oddać cały majątek za jego strój. – Gustav Cernik, technik brygadzysta melduje się, proszę pana. Pozdrawiam pańską rodzinę!

Główny księgowy uniósł głowę. Na jego twarzy widniała odraza. – Cernik, technik, płaca podstawowa cztery dziesięćdziesiąt, z potrąceniami cztery dwadzieścia trzy. Ubezpieczenie i składka na obronę interesów dwanaście. Podpisz tu, kowboju. I bez żadnych szeptów, słyszycie? Co do diabła może być ważniejsze od tej cholerniej perfsji? Jedno słowo i wezmę ją za was. Powiem więcej: zrzekniecie się jej na piśmie. No, co będzie, Cernik?

Mężczyzna oparł się na stole międląc między zębami gumę do żucia. Nabazgrał swoje nazwisko i czekał. Główny księgowy odliczył do koperty osiem pięćdziesiątek, dzie-

się srebrnych monet i trochę drobnych. – W porządku, kowboju. Ale nie domagaj się, żebym ci na dodatek życzył szczęścia. Nie będziesz go miał, jeśli nadal będziesz pyskować. – Zwrócił się do ludzi. – Idziemy, jeden po drugim, cała cholerna, zbuntowana banda! Chambers!... ¶

Cernik przygotował się do odejścia. Zarzucił na ramię sprzęt do zimnego spawania i przyłączywszy się do większej grupy techników zszedł po schodach. Doszedłszy do swej szafki w szatni zapalił papierosa, zarzucił kitel i pogrzebał w kieszeni szukając klucza.

Ciężkie buty, rękawice, kufajkę i maskę ułożył na desce ławki. Na górnej półce znalazł coś jeszcze – od góry, przez szczelinę grubości palca wsunęli mu do szafki wyświechtaną broszurę.

*Le mouvement sindical international*. Jego wzrok machinalnie przebiegł po liniijkach tytułów, aż wreszcie natrafił na słowa we własnym języku: *Międzynarodowy ruch związkowy*.

Zaśmiał się.

O, do diabła! Do tyłu: – Hej, hej, popatrzcie tutaj! Wiadomość z Ziemi.

W ciągu dziesięciu minut z górnych półek w szafkach zebrano siedemdziesiąt broszur. Ten sam tani papier, ten sam nierówny druk. Efekt pospiesznej pracy. Tekst sformułował i opatrzył wyjaśnieniami niejaki Marteau. W końcu dziesiątej minuty pojawił się szef służby bezpieczeństwa.

– Znowu... – szepnął pobladły z wściekłości. Nakazał rzucić broszury na stos na dziedzińcu i własnoręcznie oblał je olejem. Niektórzy, między innymi Cernik, w porę ukryli swoje w kieszeniach. Z wyrazem wahania na twarzach stali w blasku płomienia.

– Czy wyście oszaleli?! – pieniał się szef wdrapawszy się na stos rur. – Nie widzicie, nie rozumiecie, co tu się dzieje? Chamski sabotaż! Za tym, do cholery, stoją czerwoni! Zrobią wszystko, żeby ogłupić uczciwych pracowników. A co wy sobie myślicie? Po tym łajdactwie z całą pewnością nastąpi kontrola. Obiema nogami wykopią stąd tego nędznika, który w zeszłą sobotę nasmarował NIECH ŻYJE 1 MAJA na kopule olefinu. Oprzytomnijcie, prędzej czy później wszystko się wyda! Co się zaś tyczy rozbieżności poglądów...

– Prawa dla kobiet! – ryknął ktoś byczym głosem w tylnym szeregu. – Prawa dla kobiet! – Huragan głosów w mgnieniu oka zagłuszył wściekłe okrzyki szefa służby bezpieczeństwa. Cernik wrzeszczał i śmiał się razem z innymi. Nie żałował nawet tego, że później musiał złapać piwo, choć nie znosił nawet jego zapachu. Szaleli do późnej nocy niszcząc wiele ukrytych kamer. Około północy zbudziło się to tym na górze. Głośno zawył syreny; ciśnienie w sieci rurociągów gwałtownie spadło. Gorący olej zniszczył uszczelki zaworów w siedmiu miejscach naraz. Cernik i jego towarzysze przeklinając zerwali się z krzesel, narzucili na siebie płaszcze, maski, buty. Z sykiem sprężonego powietrza dywizja maszkar wybiegła w noc UNO-2.

– Niech skonam, jeśli nie przeciążyli tego celowo... – powiedział o świcie jeden z majstrów kopiąc rzucone na ziemię, zepsute części zaworów. – Oczywiście zrobili to na polecenie z góry. Oto sabotaż! Idziemy, chłopaki!

Gus Cernik pracował stojąc na rozstawionych nogach. W ulewie niebieskich i złotych iskier. We wczesnym mrozie, pośród błyszczących potem twarzy. Pracowaliście kiedyś zimną spawarką w ocieplanej kufajce? Pot z miejsca pokrywa skórę cienką warstwą, utrudniając oddychanie i torując drogę świadomi atakującemu kark i skórę głowy. Cernik spojrział w górę – gwiazdne pole przesunęło się z hipnotycznym spokojem, UNO-3 skrył się w półcieniu – i odetchnął.



Ludzkie oko nie mogło dostrzec, że w swej pracy pozostaje za towarzyszymi w tyle o tysięczne części sekundy. W ciągu tygodnia – pomyślał – mogę opanować do perfekcji tę metodę. Być może czterysta dziesięć i trochę drobnych jest nawet wygórowaną zapłatą za to drobne oszustwo.

Pierwszy blask świtu zastał go samotnego w hali montażowej. Brygada odeszła, technicy rozbiegli się, by łyknąć piwa. Cernik zwinął kable, wyjął przegrzane rurki i wsunął je do pokrowca. Usiadł na ziemi i wpatrywał się przed siebie zmęczonym wzrokiem. W czasie pulsował mu ból. Męczyła go wizja. W jego wyobraźni pojawiło się niebieskie morze, szara, zakurzona szosa, odkryty samochód sportowy. Dokładnie naprzeciw niego? Zdawało mu się, że słyszy pisk hamulców. Rozpoznał swą żonę siedzącą na przednim siedzeniu w objęciach mężczyzny w okularach przeciwsłonecznych.

Oczywiście, Claire na ogół dotrzymuje obietnic.

Gus Cernik zerwał z twarzy maskę i splunął. Niech i tak będzie!

– Dzień dobry, Sarge!

W górze, na wysokości dobrych trzydziestu metrów, oparty o barierkę stał psycholog, dr Teil. W rozpiętej marynarce, kasku, z aktówką. Cernik poznał go nie po twarzy, lecz po głosie – słońce właśnie wschodziło za plecami Teila rzucając niepewne błyski przez chmury sadzy wirujące w atmosferze. Cernik osłonił oczy.

– Na Boga, człowieku! Po to wstał pan dziś tak wcześnie, żeby mnie śmiertelnie wystraszyć? – Podniósł się. – A poza tym nazywam się Cernik. Miałem paskudną noc i nie mam ochoty na żarty. Kim pan u diabła jest? Hej, jeśli weszły pan za związkowcami, to jest pan na złym tropie! – Czekaj. – Miałby pan dla mnie papierosa?

Psycholog kucnął i pogrzał w otwartej aktówce. Cernikowi wydało się, że się uśmiecha. W chwilę później do jego stóp spadła z góry garść papierosów. Rothmans International! – krzyknął dr Teil. – Muszę zmienić zdanie, Sarge! Nikotyna wywiera na pański organizm zdecydowanie korzystny wpływ. Jest pan we wspaniałej formie. Szkoda tylko, że nie jest pan w stanie zmienić swych nawyków. To, że jako Mulgrave nie dopalał pan tych papierosów do końca, mogło jeszcze uchodzić za rozrzutność. To samo jednak w przypadku robotnika jest głupotą i jako taka zdarza się nadzwyczaj rzadko. Naprawdę mógłby pan uważać na te drobiazgi. Śledząc pańskie pety można za panem dotrzeć choćby na Ziemię. To poważny błąd. Ze strony tak zapobiegliwego młodego człowieka...

Szczęknał zamek. Gus Cernik spostrzegł karabin w dłoni psychologa. Z celownikiem optycznym i tłumikiem. Dr Teil zamknął aktówkę czubkiem buta. – Niech pan zostanie tam, gdzie pan stoi, Sarge! Tylko chwilka i zaraz skończymy.

– Terapia wstrząsowa? – spytał Cernik z ciekawością. – To niezbyt oryginalna metoda. Tak poważny specjalista...

Dr Teil uśmiechnął się i strzelił w ramię Cernika.

– Niezbyt mi się podoba sposób, w jaki pan ze mną rozmawia, Sarge. Już wcześniej chciałem to panu powiedzieć. Wstać!

Cernik wstał. Z rękawa płynęła na beton krew, pierś zalała mu fala paraliżującego zimna. Zaciśnął zęby: dosyć! Ból złagodniał.

– Pomijając papierosy – usłyszał głos psychologa – działał pan naprawdę uważnie. Niemal udało się panu mnie zmylić. Nie przypuszczałem, że w ciągu jednej zmiany po-

trafi pan skaptować wszystkich kolegów. Jednogłośnie twierdzili, że tego ranka przed tygodniem widzieli, jak runął pan do roztopionego metalu. Ale pan nie miał najmniejszego zamiaru umierać. Pańska droga wiodła przez halę montażową do szatni, gdzie pan odsapnął i otworzył paczkę papierosów. Następnego peta znalazłem w poczekalni portu promów. Czwartego i piątego w męskiej umywalni. – Pochylił się. Godzina to nawet dla najbardziej wykwalifikowanego chirurga za mało, by znowu uformować mężczyznę z wraku człowieka, Sarge. Człowiek nie jest do tego zdolny. Ale musiał pan przystąpić po południu do pracy na UNO-2 jako Gustav Cernik, więc uczynił pan to. Nie, niech pan nie zaprzecza! Wiem, z kim mam do czynienia. Jeśli już o tym mówimy, to do samego końca miałem nadzieję, że się mylimy. Pan jest potworem!

– Tak pan myśli? Cernikowi kręciło się w głowie.

– Nawet gorzej – ciągnął dr Teil. – Odwaliliśmy kawał roboty, zanim nie przekopaliśmy się przez pański życiorys, Sarge, ale było to warte zachodu. Tak czy inaczej planowaliśmy morderstwo. Ale w obecnej sytuacji jest ono racjonalnym środkiem zaradczym, o którym możemy nawet poinformować rząd. Zwierzchnicy UNO będą mogli legalnie odzyskać zawłaszczony przez pana akcje. Wszyscy będą szczęśliwi i zadowoleni. To lepiej, że tak się to potoczyło. Po morderstwie popełnionym na Ziemi zawsze wszczynają się gruntowne śledztwa. Cień podejrzenia wcześniej czy później padłby na pańskich współudziałowców. A tego za wszelką cenę należy uniknąć.

A więc nastali go na mnie moi współnicy, a nie żona czy siostra – pomyślał Cernik – i poczuł wielką ulgę. Kawalek ołowiu wytoczył się z jego rękawa i upadł na ziemię. – Przez jakiś czas mogę się tak bronić. Dopóki Teil nie zrani mnie śmiertelnie. – Spojrzał na doktora. Cicho spytał: – Nawet tu stoję im na drodze?

– Wszędzie. Dopóki pan oddycha. Jaka jest gwarancja, że już jutro pan nie wróci? Jest pan wyjątkowym zjawiskiem. Nie ma pan ludzkiej twarzy. Tę czy inną nosi pan jedynie z przyzwyczajenia. A jednak w wieku dwudziestu sześciu lat stał się pan jednym z najbajetniejszych ludzi na świecie. W wieku trzydziestu trzech lat wybrano pana do Senatu. W wieku trzydziestu pięciu zaraził się pan wyrotowymi ideami. Być może w wieku lat czterdziestu wróci pan na Ziemię i w dwa lata później wybiorą pana na prezydenta. Wybiorą potwora. Zabójcę Mulgrave'a i Cernika. Ilu pan ich w sumie zabił, Sarge?

– Doktorze, zna pan Jimmy'ego McDonalda?

– Nie, Sarge, nie znam. Kto to, jakiś czerwony?

Cernik krótko się roześmiał. – Żaden czerwony. Był pracownikiem studia filmowego starego Walta Disneya. Prawdziwy cudotwórca. Woził ze sobą w walizce cały świat. Cały świat najróżniejszych dźwięków. Grał, wyglupiał się, a wieczorem szedł do domu i rzucał walizkę na łóżko. I nie otwierał jej do następnego poranka. A jednak nikt go nigdy nie oskarżył o zabójstwo myszki Miki czy stu jeden dalmatyńczyków. Tak jak i ja nie zabiłem Mulgrave'a, Cernika, ani nikogo innego. Jeśli zechcę, mogę znowu być inżynierem hutnikiem. – Ojcem dwojga dzieci – dodał głosem Mulgrave'a. Rozgrywka zaczęła go wciągać, nie czuł już lęku. Ani gniewu. – Jeśli pan sobie życzy, mogę być George'em Washingtonem. Oczywiście jego nędzną kopią. – W lunecie karabinu Teila pojawiło się znane z monet oblicze. – I mam też prawdziwą twarz. Ludzką twarz, taką jak każda inna. Ale jej nie pokażę. Nigdy jej pan nie zobaczy.

– Biedaku – mruknął Teil. Jego rysy stwardniały. – To się musi stać, Sarge. Nie ma dla pana miejsca pośród ludzi. Proszę zostać na miejscu. Schodzę. Ale niech pan uważa! Nawet jedną ręką potrafię nieźle celować... – Chwycił poręcz żelaznych schodów.

– To, co pan właśnie o mnie powiedział – krzyknął Cernik lekko odwracając głowę – jest pańskim własnym poglądem czy moich współników?

## András GÁSPÁR

Urodził się w roku 1965 w Budapeszcie. Jest studentem IV roku historii i współredaktorem pisma młodzieżowego. Debiutował w roku 1983 (a w „Fantastyce” w numerze 4/87), od roku w wydawnictwie czeka na druk jego pierwsza powieść. Opowiadanie zacierpnęliśmy z węgierskiego miesięcznika „Galaktika”.

L.J.

– Ich – odpowiedział dr Teil przesuując do przodu prawą nogę. – Ale cieszę się, że mogę to osobiście zaakcentować. Chwileczkę, Sarge. Już idę...

Słońce zabłysło na stalowej lufie, gdy tracąc równowagę runął w trzydziestometrową otchłań. Bo oczywiście nie było tam żelaznych ani żadnych innych schodów. W ogóle nie tam nie było. Mężczyzna, który nazywał siebie Gusem Cernikiem, z drżeniem podszedł do powykęczonego ciała. Dr Teil powinien był się liczyć z jego hipnotycznymi zdolnościami. To o wiele elegantsze od przekupstwa. I pewniejsze. Wystarczy, że człowiek używa tego w granicach przyzwyczajenia. Oczywiście nie mógł tego powiedzieć na początku, lecz w ostatniej chwili dr Teil także musiał się zorientować. Teraz Cernik obejrzał się za siebie. Krople krwi zmieniły się w olej, dziwnie mieniły się na betonie. Nie może zostawić po sobie śladów. Będzie lepiej, jeśli jego współpracownicy uznają, że najemny morderca wypełnił swą misję. Jak to powiedział doktor? Nie ma takiego chirurga, który w ciągu godziny ponownie uformuje człowieka z wraku. Bo człowiek nie jest do tego zdolny. Zobaczmy więc...

Syknął, opróżnił płuca z powietrza. Zwłoki Teila podniosły się z powykęczonego położenia i skierowały na niego pustym wzrokiem. Cernik podniósł karabin, aktówkę i dał rozkaz wymarszu. Teil zaledwie lekko się chwia, gdy prowadził go do jego statku stojącego przy pobliskim złomowisku. Automat strażniczy zidentyfikował przybysza i nie zwrócił uwagi na plamy krwi. Prawa ręka martwego mężczyzny pewnie ujęła kierownicę: UNO-2 szybko otulił się ulatującymi gazami, zniknął w dole.

\*

Dzienna strona UNO-3 nie drżała już na ekranach, gdy Cernik opuścił statek. Nie oddalił się jeszcze nawet na tysiąc kilometrów, gdy w plecy uderzył go kosmiczny flesz. Benefis doktora Teila, jego ostatni lot osiągnął punkt kulminacyjny w płomieniach w najwyższych warstwach atmosfery. Cernik runął w dół jak kamień, pod nim szarżała szeroko ciągnąca się step planety, dookoła dziko szalała wichura. Z ziemią zetknął się przy blasku błyskawicy, na dnie jakiegoś jaru. Kask pękł, strój ratunkowy otworzył się jak zeschnięta łupina. Cicho jęknął i skulił się. Teraz! Teraz, póki szaleje burza; póki świadkowie jego szaleńczego lotu szukają odpowiednich pojazdów, by przybyć mu na pomoc! Leżąc zaczął rosnąć. Wyciągnął się na sto siedemdziesiąt dziewięć, sto osiemdziesiąt dwa, sto osiemdziesiąt siedem centymetrów, zanim rozkazał tkankom, by się zatrzymały. Wargi zrobiły się cieńsze, po obu stronach w policzkach pojawiły się małe wgłębienia. Oczy wyglądały tak, jakby spryskano je jakimś rozcieńczonym kwasem: na piwnych tęczęwkach pojawiły się małe szare plamki, które zaczęły rosnąć i rozjaśniać się. Płowe włosy najpierw całkiem zbieleły, a później nabrały niebieskawo-czarnej barwy. Jak pod czarodziejską różdżką z jego prawej ręki zniknęły drobne blizny. Na bladej twarzy zakiełkował dwudniowy zarost. Nieźle, pomyślał Esperance. Nieźle... Zanim stracił przytomność, udało mu się jeszcze wdrapać do połowy śliskiego, gliniastego zbocza.

## UNO-3

Był późny wieczór, Sarge Esperance leżał w łóżku z opatrzonymi ranami. W tylnym pomieszczeniu szykowano dlań kolację. Mogło to być gdzieś na skraju jakiegoś większego pola wydobywczego, bo z oddali dobiegały błyski pochodni gazowych.

Przy stole siedział ogolony na tyso stary człowiek, w ciszy porządkował rękopisy.

– Pozbierałeś się już? – zapytał.

– Aha... – Esperance usiadł i potarł czoło. – To taka komuna, prawda? Wiele o nich tam mówią. W istocie...

Stary człowiek uniósł wzrok. Ze swą obwisłą skórą twarzy prezentował się tak, jakby niebiosy pokarały go czterema organami wzroku. Jednakże jego spojrzenie było zaskakująco czyste, czoło miał wysokie, poznaczone małymi piegami. W dłoni trzymał wymiętoszoną, przemoczoną broszurę.

– „Międzynarodowy ruch związkowy”. No, nie gap się tak, synku, znaleźliśmy to w twojej kieszeni, kiedy cię kąpieliśmy. Jesteś związkowcem, co? Ziemia zaczęła ci się tam palić pod nogami? – Uśmiechnął się. – Jeśli o to chodzi, to i tu jest dość gorąco. Trafiliś w najlepsze miejsce. Bóg cię tu sprowadził.

– Ja...

– Czyżbym wyglądał, synku, na cholernego agenta Koncernu? Nie jestem nim. Jestem Marc-Ange Tarasco, inaczej Marteau. Wiedziałaś, że to znaczy „młot”?... Nie? Wszystko jedno. To ja skompilowałem tę pracę, którą nosisz na sercu. Źródła mają dwieście lat, ale ryzyko jest moje. – Odłożył pióro. – Czytałeś to przynajmniej?

– Jeszcze nie miałem na to... czasu.

– Przeznacz na to jeden dzień – powiedział stary człowiek, podszedł do łóżka i przysunął sobie niskie krzeselko. – Co myślisz o pracy? To cholernie ciężka i nędzna praca, ale staramy się sprawić, by była lepsza. Tak się złożyło, że jestem szefem związków zawodowych na UNO-3. W każdym osiedlu znają starego Marca-Ange i dopóki zależy to od niego, nie znajdą cię. Musimy ci, synku, wymyślić jakiś przyzwoity pseudonim. I to jak najszybciej. Jeszcze tylko zjemy kolację. Chodź, jeśli jesteś w stanie...

Esperance zapiął czystą koszulę, zarzucił na ramiona marynarkę i poszedł za starym człowiekiem. Myślał o pracy. Dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo to zapewne nie całkiem to samo, co trzydzieści czy czterdzieści dwie. Ale jednak poradzi sobie. Musi sobie poradzić. Nawet jeśli miałaby się spełnić prognoza doktora Teila i następne Boże Narodzenie zastanie go na Ziemi. Nawet jeśli zdecyduje się, że jeszcze wcześniej wystąpi przeciwko swym współpracownikom. Tak czy siak zwierzchnicy UNO w ciągu roku pożalują wysiłków, jakie obrócili na odizolowanie czarnego serca i zlikwidowanie Sarge Esperance'a. Gdy tam na dole nadejdzie pora wyborów prezydenckich, to związek zawodowy kierowany przez Marca-Ange opanuje sytuację. A Marc-Ange będzie wiedział, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

Tak jak i Sarge Esperance nigdy nie zapomni. Oko za oko, jak powiedział kiedyś jego teść, i każdy mógłby być wdzięczny za poznanie tej prawdy. Zawodowi bandyci są na ogół zręcznymi politykami. I na odwrót.

– Moja żona i młodszy syn! – Marc-Ange z ledwo skrywaną dumą zasiadł przy zastawionym do kolacji stole. – Starszy ma właśnie zmianę. Gdy wróci, pomoże przygotować papiery dla ciebie i przydzieli cię do naszych przy którejś wieży... – Czekał. – Moja córka.

Esperance posłał domownikom zmęczony uśmiech. Gdy rzucił okiem na postawiony przed nim talerz, gdy w blasku strzelających w niebo słupów ognia dostrzegł ciągnące się od horyzontu do horyzontu morze szlamu, gdy pomyślał o Claire i o innych rzeczach, ogarnęła go gorycz. Później jednak, kiedy spojrzał w parę oczu o barwie akwamaryny, które błyszczały naprzeciw, uznał, że nie ma czego żałować.

Przełożył Wojciech Maziarski



Kiedy wreszcie dotarła do miasta, musiała być już niemal zupełnie szalona. Zamieszkała w siedzibie policji, która bez większych uszkodzeń wyładowała na jednym z placów i po wielu godzinach prób udało się jej unieść budynek w powietrze. Kilka razy niewiele brakowało, żeby straciła panowanie nad skomplikowanym systemem sterowniczym.

Działy także generatory pola elektromagnetycznego, służącego do wychwytywania pojazdów, które naruszyły przepisy ruchu zakończył Nessus. Włączyła je. Ma nadzieję znaleźć w ten sposób kogoś, kto tak jak ona przeżył Upadek Miast. Jezeli używa latającego pojazdu, to znaczy, że nie jest barbarzyńcą.

– Więc dlaczego zamyka wszystkich w tym złomowisku?

– Na wszelki wypadek. To znak, że wraca do zdrowych zmysłów.

Louis zmarszczył brwi. Ciało ptaka zjechało w dół na jednym z wraków i Mówiący już nim się zajął.

Moglibyśmy oświetlić ten budynek – powiedział Louis. Moglibyśmy zmniejszyć jego wagę o prawie połowę.

– Jak?

– Wystarczy odciąć całą dolną część. Ale najpierw musielibyśmy wydobyc stąd Mówiącego. Jak my-

ślisz, uda ci się?

– Spróbuję.

## Rozdział XVI

### Komnata map

O ważności tego pomieszczenia świadczył już fakt, że znajdowało się na samym szczycie zamku. Ludzka ciężko, zmęczony wspinaczką. Musiał zdrowo wyciągać nogi, by nie zostać z tyłu. Kzin co prawda nie biegł, ale szedł dużo szybciej, niż zwykle chodził człowiek.

Kiedy Louis wszedł na ostatni stopień, Mówiący-do-Zwierząt otwierał właśnie duże, podwójne drzwi znajdujące się u szczytu schodów.

Przez powstały w ten sposób otwór Louis dostrzegł poziomy, szeroki na około osiem cali atramentowy czarny pas, znajdujący się jakies trzy stopy nad podłogą. Odruchowo unosił nieco wzrok, w poszukiwaniu takiego samego pasa, tyle tylko, że jasnozielonego, z regularnymi, czarnymi cieniami. Zanim Louis stanął w drzwiach i rozejrzał się dookoła. Miniaturowy Pierścień był niemal wielkości samego poszczególnego, które mogło mieć średnicę jakichś stu dwudziestu stóp. Wewnątrz makietę znajdował się prostokątny ekran, zamocowany na obrotowej osi. W tej chwili był zwrócony tyłem do drzwi.

Wzdłuż ściany umieszczono dziesięć obracających się kul. Różniły się między sobą rozmiarami i kolorami. Wzdłuż ściany umieszczono dziesięć obracających się kul. Różniły się między sobą rozmiarami i kolorami. Wzdłuż ściany umieszczono dziesięć obracających się kul. Różniły się między sobą rozmiarami i kolorami.

– Spędziłem tutaj całą noc – powiedział kzin. – Mam ci do pokazania wiele rzeczy. Chodź tutaj ze mną. Louis chciał już przejść na czworakach pod miniaturowym Pierścieniem, ale w ostatniej chwili zajął się, tknięty pewną myślą. Ten człowiek o dumnych rysach, którego wizerunek zdobył salę kietową z pewnością nie zrobiłby tego nawet wtedy, gdyby w tym najświętszym z miejsc był zupełnie sam. Louis ruszył prosto na Pierścień i przeszedł przez niego, nie czując najmniejszego oporu; był tylko projekcją.

Zajął miejsce u boku kżina.

Prostokątny ekran otoczony był urządzeniami sterującymi. Wszystkie pokręta były duże, masywne wykonane ze srebra; wszystkie przedstawiały podobizny głów zwierząt. Wszelkie ścianki i płaszczyzny przenikały w siebie bogatymi, ozdobnymi lukami. Przeładnione, pomyślał Louis. Czyżby dekadencja? Ekran działał. Obraz przypominał widok, jaki rozciągał się na Pierścień z okolic czarnych prostokątów.

– Używałem już tego wcześniej – powiedział kzin. – O ile sobie dobrze przypominam... – dotknął jednego z pokręteł i obraz ruszył im na spotkanie tak szybko, że ręka Louisa odruchowo sięgnęła po istniejący drążek sterowy. – Chcę pokazać ci krawędź Pierścienia. Rrr... trochę w bok... – Musnął ręką, rzeźbioną głowę i obraz przesunął się. Miel przed sobą krawędź olbrzymiej, konstrukcyjnej, ułanę, gdzieś znajdowały się teleskopy, dzięki którym mogli podziwiać ten widok. Ale gdzie? Chybaż czarnych prostokątach?

Spoglądali prostopadle z góry na tysiącimilowej wysokości wznieślenia. Obraz cały czas powiększał się, nie tracąc nic ze swojej jakości. Zaraz za górami otwierała się czarna otchłania Kosmosu. W pewnej chwili Louis dostrzegł szereg srebrnych kropek, biegnących wzdłuż niebotycznych szczytów. To mu wystarczyło.

– Akcelerator liniowy.

– Zgadza się – potwierdził Mówiący-do-Zwierząt. – Przy braku kabin transferowych to jedyny sposób, by przemieszczać się na takie odległości. Z pewnością właśnie na tym opierał się główny system komunikacyjny.

– Ale to jest na wysokości tysiąca mil. Windy?

– Tak. Szyby wzdłuż całej krawędzi. O, na przykład tam. Tymczasem szereg kropek powiększał się do rozmiarów małych pętelek, rozmieszczonych w równych odstępach i z pewnością nie widocznych do dołu, bo zasłoniętych wyniosłymi szczytami. Przy jednej z pętelek można było dostrzec cieniutką szybę windowego niktacza w rozciągającej się poniżej szczytu warstwie chmur.

Zwoje są zdecydowanie gęściejsze w okolicy wind – powiedział kzin. – Najprawdopodobniej potrzebne są tylko do startu, lądowania i nadawania kierunku. Odbywa się to pewnie i tak, że pojazd dojeżdża do sekundy, po czym wyhamowuje się go w następnej spirali.

– W ten sposób dalsze podróże mogłyby trwać i dziesięć dni. Nie licząc przyspieszania i hamowania.

– I co z tego? Na dotarcie do Srebrnokrety, wazszej najbardziej odległej od Ziemi planety, potrzebu-  
esz sześćdziesięciu dni. Przebycie całego poznanego Kosmosu zajęłoby ci cztery razy więcej czasu.

– To prawda. A tutaj jest więcej miejsc niż w całym poznanym Kosmosie. Zbudowali to po to, żeby  
mieć jak najwięcej przestrzeni. Zauważyłeś jakieś ślady aktywności? Używają jeszcze tego akcelera-  
toru?

– To nie ma znaczenia. Patrz uważnie.

Obraz dęgnął przesunął się raptownie, po czym znów zaczął się powiększać. Była noc. Ciemne  
chmury przesunęły się nad pograżonym w ciemności lądem, a potem.

Świała Świała miasta. Louis przetknął głosiło ślinę. Szczegre mówiąc, wcale się tego nie spo-  
dziwał. Więc jednak nie wszystko zginęło. Będziemy mogli uzyskać pomoc.

– Nie byłbym taki pewien. Nie będzie łatwo ich znaleźć, a poza tym...

– Co to? Na czarny umysł finagla!

Zamek najwyraźniej ich zanurk, szybką majestatycznie rad morzem światła. Okna, neony, pe-  
żące we wszystkie strony kolorowe gwiazdki latających pojazdów... Przedziwne budowie wspaniale.

– Niezast! To łasny. Stare łasny. A ja myślałem, że to na żywo. Przez jedną, upojną chwilę wyda-  
ło się, że oto ich poszukiwana zostali uwiecznione powodem. Rozświetlone, kipiące zwiem ma-  
ta obrazu, które widzieli, musiły być bardzo stare. Kto wie, czy nie tak stare, jak nie istniejąca już  
cywilizacja...

– Ja też tak myślałem ostatniej nocy. Zaczęłem się domyślać prawdy dopiero wtedy, kiedy nie udało  
mi się nigdzie znaleźć brzozy wyłobnionej przez „Klamcę”. Ma przecież kilka tysięcy mil długości. Powi-  
nien ją znaleźć, nawet tutaj.

Louis bez słowa poklepał Mówiącego-do-Zwierząt po nagiem, różowym ramieniu. Nawet gdyby chciał,  
nie dałby rady sięgnąć ani o centymetr wyżej.

Kzin nie zwrócił uwagi na tę poufalskość.

Kiedy udało mi się zlokalizować nasz zamek, reszta nie przedstawiała żadnego problemu. Patrz, –  
tutaj obraz zaczął przesuwać się z ogromną szybkością, uniemożliwiając dostrzeżenie jakichkolwiek  
czegółów. Kiedy obraz uspokoił się, na ekranie widzieli ogromny, czarny ocean.

Powiększenie nieco się zmniejszyło.

Widzisz? Na naszej drodze znajduje się zatoka jednego ze słonych oceanów. Sam ocean jest wielo-  
rotnie większy od największych na Kzinie lub Ziemi. Zatoka jest równie duża, jak największe

Moze i damy. Ale i tak czeka nas zwłoka jeszcze większa od tej. – Kzin sięgnął do pokretła.

– Poczekaj. Chciałbym przyrzec że dokładnie tym wyspom.

– Po co? Sądzisz, że moglibyśmy się tam zatrzymać w celu uzupełnienia zapasów?

Nie. Zauważyłeś, że są pokładane w małe archipelagi, oddzielone od siebie oceaniczną głębią?

tu. Palec Louisa zatoczył na ekranie małe kółko. – A teraz spojrz na te mapy.

– Nie rozumiem.

– O, te wyspy w zatoce i ta mapa za tobą, na ścianie. W projekcji stożkowej kształty kontynentów  
trochę zdeformowane, ale... Wiesz już? Działasz już? Działasz archipelagów. Z pewnością nie są  
skłami jeden do jednego, ale zatożę się, że ta wyspa jest co najmniej wielkości Australii. Sądząc po ma-  
pach, w rzeczywistości ten kontynent nie był większy od Eurazji.

– Co za makabryczny żart, Louis, czy to jest typowe dla ludzkiego poczucia humoru?

Nie, nie. To sentyment. Wspomnienia. Tyle tylko, że...

Tak?

Nie pomyślałem o tym, a to przecież oczywiste. Pierwsza generacja musiała opuścić swoje rodzinne  
planety, ale chciała mieć coś, co by im o nich przypominało. Trzy pokolenia później było to już tylko  
nieślad. Tak jest zawsze.

Zapadła cisza. Kiedy Mówiący-do-Zwierząt był już pewien, że Louis skończył, zapytał bez swojej

rykłej pewności w głosie:

– Czy wam, ludziom, wydaje się, że rozumiecie kzinów?

Louis uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– To dobrze – powiedział kzin i zmienił temat – Ostatniej nocy przez dłuższy czas obserwowalem  
blizszy port kosmiczny.

Stał w środku miniaturowego Pierścienia, zaglądając przez prostokątne okno do jego przeszłości.

A przeszłość ta była doprawdy wspaniała. Mówiący-do-Zwierząt powiększył na ekranie obraz portu  
kosmicznego, czegoś w rodzaju listwy wystającej z zewnętrznej strony konstrukcji. Łagodnie zaokrągl-

To wcale nie jest niemożliwe. Louis. Jej cywilizacja znała środek dużo skuteczniejsz od waszego  
„utrwalacza”. Działal nawet najmniejsza jego ilość jest warta dokładne tyle, ile zażąda za niego właści-  
ciel. Jedna pełna dawka oznacza pięćdziesiąt lat młodości.

– Czy może wiesz, ile dawek wzięła?

– Nie, Louis. Ale wiem, że doszła tutaj na piechotę.

Dotarli do klatki schodowej, prowadzącej w dół, do komory więziennej.

– Doszła tutaj, ale skąd?

– Z krawędzi.

– Dwieście tysięcy mil?

– Prawie.

– Musisz mi o tym opowiedzieć. Co się z nimi stało, kiedy przedostali się na tę stronę ścian?

– Zapytam ją. Nie powiedziała mi jeszcze wszystkiego. Wyglądała ona mniej więcej tak.

I łalecznik, krok po kroku, zaczął odtwarzać całą historię.

Pierwsza grupa barbarzyńców, na jaką natrafili, uznała ich za bogów. Miało tak dziać się zawsze, z  
jednym generałym wyjątkiem.

Boskość pozwoliła im na rozwiązanie jednego problemu – nieszczęśnicy, którym źle wyscelowany pro-  
mien osmotyczny uszkodził mózgi, mogli pozostać pod opieką mścicieli poszczególnych wrosc.  
Jako osadili bogowie cieszyli się szacunkiem i uwielbieniem, a ponieważ byli niespełna rozumni, nie mo-  
gli wykorzystywać swej boskości do żadnych niegodziwych celów.

Pozostała przy życiu i zdrowych zmysłach część załogi „Pioniera” podzieliła się na dwie grupy siedem  
osób ruszyło w kierunku obrotu Pierścienia, a reszta, w tym Prill, w przeciwną stronę. Każda grupa mia-  
ła zamier wędrować wzdłuż krawędzi, szukając śladów cywilizacji. Każda przysięgała przysłać pomoc, je-  
żeli taką znajdzie.

Wszyscy brali ich za bogów. Wszyscy, z wyjątkiem innych bogów. Uładek Minist pozostawił po sobie  
trochę niedobitków; część z nich była szalona, zaś wszyscy zazywali przedłużający życie środek o ile mo-  
gli go znaleźć. Wszyscy szukali enklaw cywilizacji. Nikt nie pomyślał o tym, żeby założyć własną

W miarę upływu czasu przylągało się do nich coraz więcej bogów. Tworzyli już cały panteon.

We wszystkich napotkanych po drodze miastach znajdowali roztrąskane reszki napowietrznych  
wiew. Wierze te zbudowano w pierwszej fazie zasiedlania Pierścienia, tysiące lat przed powstaniem eli-  
siru młodości. Pokolenia, które już korzystały z jego dobrodziejstw, stały się bardziej ostrożne. Ci, któ-  
rych stać było na to, żeby z niego korzystać, utrzymali się z dala od latających budowli, chyba że zostali  
wybrani na jakieś oficjalne stanowiska. Wtedy instalowali niezliczone urządzenia zabezpieczające lub  
niezależne generatory mocy.

Część latających budynków unosiła się jeszcze w powietrzu, ale większość tuneła na kipiące życiem  
miast w tej samej chwili, kiedy urwały się dostawy energii z termoelektrycznych ogniw czarnych proso-  
ków.

Pewnego razu wędrowny panteon natrafił na zamieszkałe jedynie na obrzeżach miasto, w którym tli-  
ły się jeszcze iskierki dawnej cywilizacji. Tutaj nie mogli rozegrać gambitu boga Droga wymiany za nie-  
prawdopodobną ilość eliksiru uzyskał duży, sprawny pojazd.

Po pewnym czasie pojazd odwrócił posłuszeństwa. Nie mieli już sił, a może i nie widzieli sensu w kon-  
tinuowaniu podróży. Pielgrzymka bogów zakończyła się w jednym ze zrujnowanych, opuszczonych  
miast.

Ale Prill miała mapę. Jej rodzinne miasto leżało już niedaleko stamtąd. Przekonała jednego z męż-  
czyzn, żeby jej towarzyszył i razem ruszyli w drogę.

\*

Wszędzie występowali jako bogowie. Po pewnym czasie Prill znużono się towarzystwo mężczyzny i  
dalej szła już sama. Gdzie nie wystarczyła jej boskość, sprzedawała niewielkie ilości eliksiru. Gdzie i to  
okazywało się za mało...

Jest jeszcze jeden sposób, w jaki podporządkowywała sobie ludzi. Próbowała im to wyjaśnić, ale  
nie sądziła, żebym zrozumiał.

– Ja rozumiem – uspokoił go Louis. – To coś w rodzaju taspu.





- Treba zlapać słupkę balustrady i pchnąć do przodu. Działają tylko wtedy kiedy tego chcesz. Tak jest dużo bezpieczniejsze. Odkryłem na to zupełnie przypadkowo.

- Ja myślę. Rano przeszedłem na piechotę dziesięć kilometrów.

- Zadowolony. Szłam właśnie na śniadanie. Kiedy potknęłam się na pierwszym stopniu, zlapałam za słupkę...

- Wystarczy. Wszystko się zgadza.

- Tecla zrobiła obrażoną minę.

- To nie moja wina, że ty...

- Przepraszam. I co, jesteś już po śniadaniu?

- Nie. Obserwowałam ludzi. Czy wiecie, że pod tym budynkiem jest coś w rodzaju rynku albo głównego placu?

- Uszy kszyna stały na baczność.

- Naprawdę? I jest tam ktoś?

- Tak. Od rana ścigają ze wszystkich stron. Jest ich już tam pewnie z kilkuset. Jej twarz rozjaśnił ośmienny uśmiech. - I wszyscy śpiewają.

\*

We wszystkich korytarzach zamku znajdowały się obszerne misy, czy raczej albowy, wyłożone miękkimi dywanami, wyposażone w wygodne kanapy i stoły, oferujące miejsce do spożycia posiłku każdemu, kto by tylko miał na to ochotę. Jedną z takich albow na najniższym piętrze zamku miała wypukłe Louis, zajmując nie tylko ścianę, ale i część podłogi.

Louis zjadł się trochę po drugim w ciągu kilku godzin, dziesięć pięćdziesiąt spacerze. Zafascynowany go stół, jego blat był rzeźbiony w kształty mające wyobrazić talerze z zupą, miseczki z salatkami, czynniki do napojów. Dziesiątki, czy może nawet setki lat intensywnego użytkowania pozostawiły na ardej, białej powierzchni dość wyraźne ślady.

- Widocznie nie używali naczyń - myślał na głos Louis - Kładił potrawy w te zagłębienia, a potem cały stół - Wydawało się to niezbyt higieniczne, ale... Nie zabrali ze sobą much, moskitów, ani albow. Czemu mieliby zabierać bakterie?

- Do trawienia - odpowiadał sam sobie - Są przecież niezbędne do trawienia. Wystarczyłoby, żeby sposób zginania cywilizacja Pierścienia? Każda cywilizacja potrzebuje dla swego przetrwania pewnej minimalnej ilości żywych osobników.

Tecla i Mówiący nie zwracali na niego żadnej uwagi. Kleczeli w zagłębieniu okna i patrzyli w dół. Louis łączył do nich.

- Ciągłe tam są - powiedziała Tecla. I rzeczywiście, byli. Louis ocenił, że patrzy na niego jakieś tysiąc lat. Już nie śpiewali.

- Przecież nie mogą wiedzieć, że tu jesteśmy - powiedział.

- Może czasem budynki - zasugerował Mówiący-do-Zwierząt.

- Jeśli nawet, to nie mogą tego robić codziennie. Jesteśmy zbyt daleko od skraju miasta. Nie zdążyli dotrzeć na pola.

- Więc może trafiliśmy tuż jakurata na jakieś ich święto.

- Albo coś zdarzyło się w nocy - odezwała się Tecla - Coś niezwykłego. Na przykład nasze przybyły, jeżeli ktoś zdołał to zauważyć. Albo to - wskazała palcem.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział kszin. - Jak długo to spada?

- Co najmniej do rana. Zupełnie jak deszcz albo jakiś nowy rodzaj śniegu. To nie łączyła czarne promienie. Ale dlaczego opada właśnie tutaj?

- Louis pomyślał o sześciu milionach mil, dzielących od siebie czarne prostokąty... o czarnej nici dokładającej długości zerwanej przez „Kłancę”, spadającej wraz z nim ku powierzchni Pierścienia... Nic innego, że w końcu trafił na nią.

- Nie był w zbyt gadalimym nastroju.

- Przypadek - mruknął tylko.

Tak czy tak, zaczęła pewnie spadać tej nocy i jest jej coraz więcej. Co do zamku, to tubylcy z pewnością już wcześniej uważali go za święte miejsce chociażby dlatego, że wciąż lata.

Pomyślcie - powiedział nieśpiesznie kszin. - Gdyby akurat dzisiaj pojawili się mityczni Inżynierowie, przyszło by to jako logiczne następstwo niezwykłych wydarzeń. Louis, czy spróbujemy rozegrać grę boga?

Louis chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Z zaciśniętymi rękami walczył o to, by zachować niezmienną wyraz twarzy. Może nawet by mu się udało, gdyby nie to, że kszin mówił dalej do Tecli:

- Możemy mieć coś lepszego. Jestem pewien, że potrafię sklonić Hatriopillalar, żeby pokazała nam maszynownię tej budowli. Może moglibyśmy wykorzystać go jako środek lokomocji.
- Spróbuj - skinął głową Louis
- A ty?
- Potrzebuję czasu

\*

Wnętrze budynku nie miało w całości było wypelnione maszynami. Część z nich utrzymywała budowla w powietrzu, część napędzała urządzenia wentylacyjne, chłodzące i kondensatory wody. Osobny blok sterował generatorem pola elektromagnetycznego, które wciągnęło ich w pułapkę. Nessus pracował Louis i Prill stali tuż przy sobie, udając niezadane, że nie zwracają na siebie żadnej uwagi.

Mówiący znajdował się ciągle w więzieniu. Prill stanowczo odmówił wypuszczenia go na wolność. Bo się ciebie - powiedział al Nessus. - Oczywiście, mógłbym to przełomować, kładąc jej uniesie w górę skuter, w którym byś siedział i doprowadzić go do platformy.

- A ona pewnie w połowie drogi wyłączyłaby pole. Nie, dziękuję.

Nie zgłaszała natomiast żadnego sprzeciwu co do Louisa.

Przeglądał jej się, udając, że jej w ogóle nie dostrzega. Miała wąskie, niemal bezwargie usta, mały prosty nos i ani śladu brwi.

Nie dziwnego, że jej twarz nigdy nie miała żadnego określonego wyrazu. Przypominała niewykończoną twarz bezdusznej lalki.

\*

Po dwóch godzinach nieprzerwanej pracy Nessus uniósł wreszcie głowę.

- Nie dam rady przestawić zespołu napędowego tak, żeby działał w poziomie, ale udało mi się zlikwidować zabezpieczenie, utrzymujące nas stale w jednym miejscu. Budynki jest teraz na łasce wiatrów.

Louis uśmiechnął się.

- Albo liny holowniczej. Przywiązemy linę do twojego skutera i będziesz ciągnął nas za sobą.

- Nie ma takiej potrzeby. Skuter jest wyposażony w silnik działający bezodrutowo, więc może zostać wewnątrz.

- Wszystko już obmyśliłeś, co? Ale to jest ogromna moc. Gdyby udało mu się uwolnić...

- Taak... - wycedził lalcznik i powiedział coś do Prill w świętym języku Inżynierów, po czym zwrócił się do Louisa. - Mają tutaj zapas ultratwardego plastiku. Zabezpieczymy nim skuter, zostawiając na zewnątrz tylko ster i tablicę przyrządów.

- Czy to aby nie nazbyt drastyczny środek?

- Louis, gdyby skuter się wyrwał, mogłaby mi się stać krzywdą!

- Hmm... Być może. Będziesz mógł w razie czego wyładować?

- Tak.

- Więc dobrze. Bierzmy się do roboty.

■

Louis odpoczywał nie śpiąc. Leżał na wznak w olbrzymim łożu, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w zajmujące cały sufit i znaczną część ścian wypukłe okno.

Zza krawędzi czarnej prostokąta wydobywał się wyraźny blask. Świat był już niedaleko, ale Łuk Nieba ciągle świecił łagodnym błękitem.

- Chyba zwartowałem - powiedział Louis Wu.

- Ale czy mieliś jakiś wybór?

Sypialnia naprawdę podobniej wchodziła w skład apartamentu gubernatora. Teraz znajdowała się tutaj sterownia. Wraz z Nessusem umieszcili w jednej z szaf skuter lalcznika, po czym obalili go szybko stygmatycznym plastikiem. Szafa była akurat odpowiednich rozmiarów.

Kłósko pachniało starością. I skrzypiało.

Preś Boga - powiedział w ciemności Louis. Wiedziałem ją. Tysiąc mil wysokości. To bez sensu, żeby budować taką górę, kiedy...

Nagle usiadł, jakby ukuła go jakaś wiekowa sprężyna.



Odbiorniki strumieni energetycznych wybuchały nie wiadomo dlaczego po rozniesieniu go po całej konstrukcji przez promy utrzymujące komunikację między portami.

– Odbiorniki strumieni energetycznych?

– Energia była wytwarzana na czarnych prostokątach przez ogniwa termoelektryczne, a następnie kierowana skupionym strumieniem na Pierścienie. Zdaje się, że to też było jedno z tych niezawodnych i absolutnie bezpiecznych urządzeń. Emisja strumienia została z pewnością automatycznie przerwana wtedy, gdy uległy zniszczeniu odbiorniki.

– Przecież można było wyprodukować inny nadprzewodnik – odezwał się kzin – Znamy przecież dwie podstawowe struktury molekularne, z których każda ma rozmaite odmiany o zmieniających się w zależności od temperatury właściwościach.

– Tych struktur jest co najmniej cztery – poprawił go Nessus – Masz rację, Pierścienie powinien przetrwać Upadek Miast. Młodsze, bardziej prężne społeczeństwo z pewnością by przetrwało. Zastanów się jednak nad sytuacją, wobec której się znaleźli

Znacza część rządzących zginęła w gruzach spadających na ziemię budynków.

Bez dopływu energii nie mogło być mowy o przeprowadzeniu eksperymentów, mających doprowadzić do powstania nowego nadprzewodnika. Zgromadzone zapasy energii zostały albo skonfigurowane przez tych o największych wpływach, albo służyły małym enklawom cywilizacji, których mieszkańcy żyli złudną nadzieją, że tymczasem ktoś inny pracuje nad zezagowaniem niebezpieczeństwa. Został odcięty dostęp do statków kosmicznych, bo przecież nie działała żadna *człiring brone*. Ci, którzy mogliby coś zrobić, nie byli w stanie do siebie dotrzeć, komputer sterujący elektromagnetycznym akceleratorem był tylko stertą złomu, a do samego akceleratora nie dopływał nawet jeden erg energii.

– Z powodu braku gwoździ upadło królestwo – mruknął Louis.

– Znam tę historię, ale to niezupełnie to samo – powiedział Lalecznik. – Tutaj mimo wszystko można było coś zrobić. Zgromadzona energia wystarczyłaby w zupełności do skroplenia helu. Naprawa odbiorników strumieni energetycznych nie miałaby żadnego sensu, ale można było uruchomić *człiring brone*, używając jako nadprzewodnika schłodzonego w płynnym helu metalu. Dzięki temu otworzyłby się dostęp do portów, statki poleciałyby do czarnych prostokątów, żeby wznowić dostawy energii, dzięki której skroplono by jeszcze więcej helu i sporządzono kolejne nadprzewodniki, które wmontowano by do kolejnych odbiorników...

Ale żeby zacząć, potrzebna była zmagazynowana energia, a tę zużyto do oświetlania ulic, utrzymywania w powietrzu nielicznych latających budowl i do przygotowywania żywności. I w ten sposób zginęła cywilizacja Pierścienia.

– A przy okazji i my – dodał Louis.

– Właśnie. Mielśmy szczęście, że trafiliśmy na Haltrprillalar. Oszczędziła nam zupełnie zbędnej podróży. Nie ma sensu lecieć dalej do krawędzi.

Louis poczuł pulsowanie krwi w skroniach. Zanosilo się na to, że będzie go bolała głowa – Szczęście... – powtórzył za Lalecznikiem Mówiący-do-Zwierząt. – Rzeczywiście. Jeżeli mieliśmy szczęście, to dlaczego nie jest mi wesoło? Utraciliśmy nasz cel, ostatnią, nikłą szansę ratunku. Nasze porządki nie nadają się do użytku, a jeden z członków wyprawy zaginął.

– Nie żyje – powiedział głucho Louis. Kiedy spojrzeli na niego ze zdumieniem, wskazał im skuter Te-eli.

– Teraz możemy już liczyć tylko na nasze własne szczęście – dodał.

– Tak. Jej szczęście działało tylko sporadycznie. Gdyby było inaczej, nigdy nie trafiłaby na pokład „Kłamec”. Nigdy byśmy się nie rozbili na Pierścieniu. – Lalecznik zamilkł, żeby po chwili dodać – Współczuję ci, Louis.

– Będzie nam jej brakowało – zadudnił kzin.

Louis skinął głową. Powinien właściwie czuć coś więcej, ale to, co nastąpiło w Oku, zmieniło w znaczny sposób jego stosunek do Teeli. Od tamtej chwili wydawała się mniej ludzka niż Nessus czy Mówiący-do-Zwierząt. Była mitem. Oni byli prawdziwi.

– Musimy znaleźć nowy cel – powiedział Mówiący. – Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby wypchnąć „Kłamec” w przestrzeń kosmiczną. Przyznam, że nie mam żadnych pomysłów.

– A ja mam – oznajmił Louis.

– Już? – zapytał ze zdumieniem kzin.

– Muszę to jeszcze przemysleć. Nie jestem pewien, czy to w ogóle ma jakikolwiek sens, ani czy może się udać. Tak czy tak, będziemy potrzebowali jakiegoś pojazdu. Zastanówmy się.

– Może samie. Duże samie, na przykład z całej ściany jakiegoś budynku. Może skuter Lalecznika dałby radę je pociągnąć.

– Louis uważa, że w kontaktach z tubylcami powinniśmy odgrywać rolę budowniczych Pierścienia. Ty i Louis byłbyście akolitami, a Nessus schwytanym demonem, ale damy sobie jakoś radę bez niego. Ja byłbym raczej bogiem, niż budowniczym, groźnym bogiem wojny, który...

Teela wybuchnęła niepokonanym śmiechem. Louis nie wytrzymał i poszedł w jej ślady.

Wysoki na osiem stóp, niezwykłe szeroki w barkach i biodrach, był kzin stworzeniem zbyt wielkim, zbyt zępatym na to, by się go nie bać. Może najmniej imponującym elementem jego postury był szereg stym gśnieniami gojących się blizn. Uszy na jego pozbawionej sierści głowie sterzały nieczym z mlecznymi, tłuściołymi pasmami. Zachowane pomarańczowe futro na oczach kłajało się z maską złodziejaską, a poniżej pleców – z noszoną dla wygody wielką, puchatą poduszką.

Fakt, że śmianie się z kziną było równie niebezpieczne, jak chodzenie po linie, czynił całą sytuację jeszcze zabawniejszą. Louis, zgity w pół, trzymając się za brzuch i śmiejąc się bezgłośnie, niezdolny do zacerpięcia tchu w piersi, cofał się po omacku, mając nadzieję trafić na krzesło.

Nieludsko wielka dłoń zacisnęła się na jego ramieniu i uniosła go w górę. Załawione ze śmiechu oczy Louisa po raz pierwszy w jego życiu znalazły się na równym poziomie z oczami kzinia.

– Doprawdy, Louis, musisz wyjaśnić to zachowanie – usłyszał.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli udało mu się na moment opanować.

– G...g...gro...groźny bóg woj... wojny... – wyksztusił, po czym znowu ryknął śmiechem. Teela wy-

dawała słabe, piskliwe odgłosy.

Kzin postawił go na podłodze i czekał spokojnie, aż obydwoje dojdą do siebie.

– Jesteś teraz zbyt mało dostojny, by grać rolę boga – wyjaśnił mu Louis kilka minut później. – Będziesz musiał dać rady.

– Może nabrałbyś respektu, gdybym rozdarł kilku na strzepy?

– W ehlubli cię wiedzy z daleka i z ukrycia. Nic by to nam nie dało. Nic, musimy poczekać, aż wyrośnie ci nowe futro. A nawet wtedy przydałby nam się tasp Nessusa.

– Lalecznik jest nieosiągalny.

– Ale...

– Powiedziałem, że jest nieosiągalny. W jaki sposób nawiąaliśmy kontakt z tubylcami?

– Będziesz musiał tu zostać. Przecież czas rozetrzyj się jeszcze po komnacie map. Może coś znajdziesz. Teela i ja. – Louis spojrzął na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. – Teela, przecież ty nie byłaś w komnacie map!

– A co to jest?

– W takim razie zostaniesz z Mówiącym. Polecę sam. Będziecie słyszeć mnie przez komunikatory; razie czego przyjdziecie mi z odsieczą. Mówiący, oddaj mi swój laser.

Kzin wymamrotał coś pod nosem, ale nie sprzeciwił się życzeniu Louisa. Miał przecież jeszcze „nieznacznie udoskonalony” dezintegrator Slavera.

\*

Na wysokości tysiąca stóp nad ich głowami usłyszał, jak nabożna cisza ustępuje miejsca zdumionemu pomrukowi. Zobaczyli go – błyszczący punkt, który oderwał się od jednego z okien. Zaczął spadać k-

Przemuk nie umilkł, tylko nieco przycichł. Cały czas mógł go dokładnie słyszeć.

A potem zaczęli śpiewać.

– Strasznie fałszują – uprzedziła go wcześniejszej Teela. – Zawodzą każdy sobie.

Nic dziwnego, że po takim przygotowaniu trochę się zdziwił. Śpiewali dużo lepiej, niż się spodziewał. Śpiewali w skali dwunastodźwiękowej „Oktawowa” skala używana na większości zamieszkałych przez ludzi światów również, w gruncie rzeczy, była skalą dwunastodźwiękową, ale nikt jej jako takiej nie odbierał. Nic dziwnego, że Teeli wydawało się, że fałszują.

Z tym, że zawodził, trzeba było się zgodzić. Była to muzyka kościelna – powolna, dostojna, o powtarzających się motywach, pozbawiona harmonii. Ale nie pozbawiona świętości.

Plac był olbrzymi. Tysiąc osób wydawało się po trzech tygodniach samotności nieprawdopodobnym tłumem, ale mogło ich się tutaj pomieścić nawet dziesięć razy więcej. Dzięki głośnikom śpiewałby wszyscy razem, ale tu nie było głośników. Samotny mężczyzna wymachiwał ramionami ze stojącego na środku podwyższenia. Ale nikt nie patrzył na niego – każdy patrzył na Louisa Wu.

Biorąc to wszystko pod uwagę, muzyka była wręcz cudowna.

Teela nie mogła jej docenić. Muzyka, którą znała pochodziła z nagrań i odbiorników stereowizji.

była przetworzona przez cały system mikrofonów, mikserów, urządzeń rejestrujących oraz wzmacniacza.





był Pierścien, nie mogła uciec przed powodu braku konserwacji. Potomkowie Inżynierów mogli zapomnieć, jak obsługiwać służby zewnętrzne i elektromagnetyczne działa, jak przesuwać planety i budować latające pojazdy – cywilizacja mogła przestać istnieć, Pierścien – nie.

Na przykład laserowe działa służące do obrony przed meteoritami były do tego stopnia niezawodne, że Hadloprillalar...

– Mów na nią Prill – zaproponował Louis.

– ... – że Prill i cała załoga ani przez moment nie podejrzewała, że mogłyby nie działać.

Ale co z portem kosmicznym? Na co by się przydała jego niezawodność, gdyby jakiś idioty stworzył jednocześnie wszystkie drzwi służby?

Odpowiedź była prosta: żadnych służ! Zamiast nich była właśnie *człitang brone*. Maszyna ta wytwarzała pole, w którym materiał konstrukcyjny Pierścienia, a więc zarówno jego spód, jak i boczne ściany, przepuszczały wszelkie ciała stałe, stawiając tylko nieznaczny opór. Kiedy *człitang brone* działała...

– Generator osmotyczny – podpowiedział Louis.

– Być może. Podejrzewam, że „*brone*” jest jakimś obscenicznym określeniem.

Kiedy generator działał, powietrze przesiąkało powoli na drugą stronę, zaś ludzie w skafandrach szli jakby pod silny, wiejący ze stałą prędkością wiatr. Wszelkie większe obiekty mogły być przewożone przez ciągniki.

– A pojeźniki ze sprężonym powietrzem do oddychania? – zapytał kzin.

Niebezpieczne powietrze robili na miejscu, na zewnątrz.

Tak, Pierścien dysponował tanią technologią przetwarzania pierwiastków. Była tania tylko wtedy, jeżeli stosowano ją na wielką skalę. Istniały także inne ograniczenia. Na przykład samo urządzenie – było wręcz gigantyczne. W porcie znajdowały się dwa, przetwarzające ołów w tlen i azot. Ołów, bo łatwo go było transportować i przechowywać.

Generatory osmotyczne były urządzeniem niezwykle bezpiecznym w działaniu. W razie awarii służył groźna utrata dużej ilości pędzącego z prędkością huraganu powietrza, jeżeli zaś zawiodła *człitang brone*, oznaczało to tylko, że przejście jest zamknięte.

Także dla powracających kosmonautów.

✱

– I dla nas – dodał Mówiący-do-Zwierząt.

– Nie tak szybko – uspokoił go Nessus. – Wygląda na to, że generator osmotyczny jest właśnie tym, czego nam trzeba. Nie potrzebowalibyśmy w ogóle ruszać „Klamcy” z miejsca. Wystarczyłoby skierować *człitang brone*. – wymówił te nazwę tak, jakby zaczynała się od kichnięcia – w podłogę Pierścienia bezpośrednio pod „Klamcą”. Statek po prostu przesłabłby bezpośrednio na drugą stronę.

– I uwzględni w tej przeciwmeteorystowej gąbce – dokończył kzin. I w chwilę potem – poprawka. Tam moglibyśmy użyć dezintegratora.

– Ożó io. Niestety, nie mamy dostępu do żadnej *człitang brone*.

– Ale on a jest tutaj! Jakoś przecież musiała się przedostać.

– Tak...

Znajdujący się wśród załogi specjaliści od magnetohydrodynamiki musieli nauczyć się właściwie nowego zawodu, zanim mogli przystąpić do naprawy *człitang brone*. Zajął im to kilka lat. Awaria nastąpiła w trakcie działania. Urządzenie częściowo stopiło się, a częściowo rozsypało. Musieli wykonać zupełnie nowe części, w tym także takie, o których wiedzieli, że również zawiodą – ale może będą działać wystarczająco długo, żeby...

W trakcie prac wydarzył się wypadek. Żle wycelowany promień osmotyczny przeszedł przez kadłub „Pioniera”. Dwaj członkowie załogi zgnęli, wtopieni w metalowe grodzie, zaś siedemnastu innych doznało trwałych uszkodzeń mózgu.

Pozostałej szesnastce udało się przeżyć. Zabrali ze sobą siedemnastu kretynów. Zabrali również samą *człitang brone*, na wypadek, gdyby nowy Pierścien okazał się mniej przyjazny, niż był megdys.

Znaleźli się w dzikim, prymitywnym kraju.

W kilka lat później część z nich postanowiła wrócić do „Pioniera”.

*Człitang brone* odmówiła posłuszeństwa, zamykając czterech z nich w zewnętrznej ścianie. I to był koniec. Wiedzieli już, że nigdzie na Pierścieniu nie znajdą potrzebnych części.

– Nie rozumiem. Jak upadek mógł nastąpić aż tak szybko – powiedział Louis. – Jeden kurs „Pioniera” trwał dwadzieścia cztery lata, tak?

– Dwadzieścia cztery lata według czasu pokładowego.

– Widzą nas rozmawiających jak równy z równym w języku Inżynierów. Chciałbym, żeby tak dalej było, jeśli ci to odpowiada – Zachowanie kapłana zmieniło się z niemal wrogości w konspiracyjne.

– Czy dzięki temu umocnisz swoją pozycję? Tak, chyba tak. – Kapłan najbardziej obawiał się tego, że utraci swoich wiernych. Każdy kapłan, którego bóg zsiadłby na ziemię i próbował bezpośrednio komunikować się z ludem, żywiłby podobne obawy. – Czy oni nas rozumieją?

– Może jedno słowo na dziś.

Sprawność autopilota jako tłumacza okazała się nawet zbyt wysoka. Louis nie miał pojęcia, czy kapłan posługuje się tym samym językiem, którym mówiono w Zignamuelickchok. Gdyby to wiedział, gdyby wiedział, czym i jak bardzo różniły się oba te języki, mógłby chociaż w przybliżeniu określić, kiedy zaczął się upadek cywilizacji Pierścienia.

– Dlaczego ten zamek nazywa się Niebem? – zapytał. – Wiesz coś na ten temat?

– Legendy mówią o Zrillrze – odparł kapłan. – I o tym, jak rządził ziemiami leżącymi pod Niebem.

Na tym cokole stał bowiem jego pomnik naturalnej wielkości. Ziemia dawała Niebu smakołyki, które mógł ci wymienić, bowiem ich nazwy przetrwały do dziś w rytualnych tekstach, ale ich samych już nie uswiadczysz. Czy mam...

– Nie, dziękuję. I co dalej?

W głosie kapłana pojawił się uduchowiony, religijny zaśpiew. Z pewnością wiele razy słyszał tę historię. I wiele razy ją opowiadał.

– Niebo powstało wtedy, gdy Inżynierowie stworzyli cały świat i Łuk Nieba. Ten, kto panuje w Niebie, rządzi ziemią od krawędzi do krawędzi. Zrillir panował przez wiele pokoleń, rzucając w chwałę gniewu ogniste gromy. Aż kiedyś pojawiła się pogłoska, że już nie potrafi ich rzucać.

Lud przestał go słuchać. Przestał oddawać żywność. Zburzył pomnik. Gdy anioły Zrillira zaczęli rzucać z góry kamieniami, ludzie tylko śmiali się i chowali.

Przyszedł dzień, w którym lud postanowił wdrzeć się do Nieba. Zrillir jednak zniszczył poruszając się schody, zaś jego anioły opuściły Niebo na latających maszynach.

Później zaczęto żałować, że nie ma już Zrillira. Niebo było wiecznie zasnuwane chmurami, plony niszczyły padający bezustannie deszcz. Modliliśmy się o powrót Zrillira...

– Jak myślisz, na ile to wszystko odpowiada prawdzie?

– Powiedziałbym, że to wszystko nieprawda, dopóki nie zobaczyłem ciebie, przybywającego z Nieba na latającej maszynie. Bardzo się przestraszyłem, o Inżynierze. Być może Zrillir rzeczywiście ma zamiar wrócić i wysła naprzód swego bękartą, by ten usunął mu z drogi fałszywych kapłanów.

– Mogłem ogolić sobie głowę. Zmieniłoby to coś?

– Nie Zreszta, nieważne. Miałeś jakieś pytania?

– Co możesz mi powiedzieć o upadku cywilizacji Pierścienia?

Kapłan poruszył się niespokojnie.

– Czyby cywilizacja miała upaść?

– Louis westchnął ciężko i odwrócił się, by przyrzeć się ołtarzowi.

Zajmował centralną część potężnego cokołu i wykonany był z ciemnego drewna. Na prostokątnej powierzchni wierzchni, o brzegach, ekko zadartych ku górze, wyrzeźbiono wzgórza, rzeki i duże jezioro. Na owoce uniesionych, krótszych krawędziach, wspierał się złoty, paraboidalny łuk. Złoto było miejscami wytarte, a miejscami zaśmiedziało, ale wisząca na cienkim, umocowanym w najwyższym punkcie łuku drukulka była wypolerowana do połysku.

– Czy cywilizacja znajduje się w niebezpieczeństwie? Tak wiele się zdarzyło, słoneczny drut, twoje przybycie... Czy to naprawdę słoneczny drut? Czy słońce też ma zamiar na nas spaść?

– Nie sądzę. Czy mówisz o tym drucie, który spada od rana?

– Tak. Nasza religia uczy nas, że słońce jest umocowane do łuku niezwykle mocnym drutem. Ten drut jest mocny, wiemy o tym. Dziewczynka próbowała go podnieść, a on obciął jej palec.

Louis skinął głową.

Nic na was nie spadnie – powiedział. – Nawet czarne prostokąty, dodał w myśli. Nawet gdy by próbowały przecinać wszystkie nici, i tak nie uderzyłyby w Pierścien. Oddałaby się tylko od słońca, ustawiając na wyznaczonej im przez ich prędkość orbicie. Budowniczości Pierścienia z pewnością tak to obmyślił, by orbita ta wypadła wewnątrz ich drogocennej konstrukcji.

– A może wiesz coś o systemie transportowym na krawędzi? zapytał bez większej nadziei. I w tej chwili poczuł, że coś jest nie tak. Wyczuł jakiś sygnał, znak zbliżającej się katastrofy – ale co to było?

– Czy mógłbyś to powtórzyć? – zapytał kapłan.

Louis powtórzył.

– Ta rzecz, która mówi za ciebie – wyjaśnił kapitan – za pierwszym razem powiedziała coś innego. Coś jakakolwiek... czyniś.

– To zabawne, mruknął Louis. Tym razem już to usłyszał. Komunikator odezwał się w zupełnie innym języku, w dodatku dużo głośniejszy, niż do tej pory.

Korzystasz z zastrzeżonej częstotliwości i jamię, nie pamiętam reszty, powiedział kapitan – Najmiej będzie, jeżeli skoczysz tę rozmowę. Obudziłeś coś przastarego, coś złego... – Kapitan przewiał, machając się w słowa płynące z komunikatora, który znowu przemówił w miejscowym języku.

... Jamię rozporządzenie dwunaste, dotyczące.

... To, co kapitan powiedział potem, nie zostało już nigdy przetłumaczone.

Komunikator rozpał się nagle do czerności. Louis rzucił go momentalnie przed siebie, mały, ogólnie biały dysk spadł na nawierzchnię placu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Dopiero wtedy Louis poczuł i oczy zasłzyły mu łzami.

Z trudem doszł, że kapitan skinął mu dostojnie głową.

Odpowiedział mu tym samym gestem, ponieważ podczas całej rozmowy siedział w fotelu skutera, i dotknął tylko lekko sterów i wzniósł się ku Niebu.

Kiedy był już sam, wykrzywił twarz w parokrotne bólu i użył słowa, które usłyszał po raz pierwszy w Wunderlandzie z ust człowieka, który właśnie upuścił liczący sobie tysiąc lat kryształ Steubena

## Rozdział XVII

### Oko cyklonu

który opuścił. Niebo lejące poniżej stałowszary, kłębiastej powłoki. Ocalili im życie nad polem naczyników, ale teraz jej widok działał przygnębiająco.

Louis ustawił na tablicy przyrządów blokadę ich obecnej wysokości. Robił to bardzo ostrożnie, ponieważ jego prawa dłoń, pokryta grubą warstwą środka leczniczego, a uprzednio, oczywiście, znieczulona, wzięciem precyzji ruchów bardzo przypominała kawałek drewna. Przyglądał się jej przez chwilę, nawiązując się, o ile gorzej mogłoby się to skończyć, gdyby...

Na tablicy pojawiła się pomarańczowa głowa Mówiącego-do-Zwierząt.

Louis, czy nie wznieśliśmy się nad chmury?

Moglibyśmy coś przecoczyć. Stamtąd nie nie widać.

Mamy przecież mapy.

Czy są na nich zaznaczone pola słoneczników?

Masz rację – przyznał kzin i wyłączył swój interkom.

Odczas gdy Louis konwersował z wygolonym kapitanem, Mówiacy i Teela nie marnowali czasu w koniecznej map. Sporządzili konturowe mapki trasy ich lotu, nanosząc na nie kipiące niegdyś życiem maki, które mogli podziwiać na dużym ekranie.

wiec komus – lub czemuś – nie spodobało się, że używają zastrzeżonej częstotliwości. Zastrzeżonej kogo? Kiedy? Dlaczego? Czemu powiedziano im o tym dopiero teraz? Louis podejrzewał, że może chodzić o jakąś maszynę, coś w rodzaju laserowego strażnika, który zestrzelił „Kłameę”. Być może działała tylko okresowo.

głównie komunikator kżina rozpał się do czerności w jego dłoni. Minie dobrych kilka dni, zanim mógł znowu nią władać, nawet przy zastosowaniu najlepszych leków z „wojskowego” wyposażenia. Spalona tkanka musi mieć czas na regenerację.

teraz, kiedy dysponował mapami, nie leciech już na ślepo. Jeżeli cywilizacja miała gdziekolwiek się rozciągnąć, to najbardziej prawdopodobnym miejscem były właśnie wielkie metropolie. Wiedząc, gdzie znaleźć, badaliby je dokładnie z powietrza, wypatrując światła lub dymu.

a tablicy kontrolnej płonęło jeszcze jedno światło. Nessus chciał rozmawiać. Louis włączył inter-

kom i zmierną grzywe łalecznika i jego pokryty delikatną skórą grzbiet, wznoszący się i opadający równym rytmem oddychu. Przez moment myślał, że łalecznik jeszcze nie wyszedł z poprzedniego katastronu, albo że wpadł w następny, ale w tej chwili pojawiła się trójkątna, jednooka głowa. Witaj, Louis! – zaspiewał Nessus. – Co nowego?

## Rozdział XXI

### Dziewczyna zza krawędzi

Nazywała się Hailtoprillalar Horrutan i od dwustu lat wchodziła w skład załogi statku „Pionier”, jak po chwili wahania przetłumaczył jego nazwę Nessus.

„Pionier” obsługiwał okrężną linię, obejmującą cztery systemy słoneczne, pięć planet z atmosferą tlenową i Piersień. Jeden pełny kurs trwał dwadzieścia cztery lata, przy czym „rok” nie miał nic wspólnego z Piersieniem. Była to tradycyjna miera czasu, przeniesiona z jednej z opuszczonych planet.

Przed powstaniem Piersienia dwa z pięciu odwiedzanych przez „Pioniera” światów były nadzwyczaj gęsto zaludnione. Teraz, podobnie jak na pozostałych, nikt już na nich nie mieszkał. Znajdowały się tam tylko miny miast, skryte częściowo pod ziłą roślinnością.

Hailtoprillalar miała za sobą osiem kursów. Na opuszczonych planetach rosły rośliny i żyły zwierzęta, które nie mogły zaadaptować się do warunków Piersienia z powodu braku cyklu zimna. Niektóre z tych roślin były używane jak o przyprawy. Niektóre ze zwierząt stanowiły źródło mięsa. Co do innych, Hailtoprillalar nie nie wiedziała i mało ją to obchodziło.

Nie miała nic wspólnego z obsługą ładunku.

– Nie zajmowała się też ani sterowaniem, ani konserwacją urządzeń. Nie mam pojęcia, co właściwie tam robiła – przyznał Nessus. Załoga „Pioniera” składała się z trzydziestu sześciu osób. Z całą pewnością było to za dużo w stosunku do potrzeb. Raczej na pewno nie miała do czynienia z mezym, co mogło mieć bezpośredni wpływ na las statku i załogi. Jesli na to zbyt mało inteligentna

– Czy zapomniałaś o to, jaki był skład pod względem płci?

– Wśród tych trzydziestu sześciu osób znajdowały się trzy kobiety.

– Wiele możesz przestać zadreżać się tym, co robiła.

Dwieście lat podróży i przygody. Nagle, pod koniec jej ósmego kursu, Piersień nie odpowiedział na wezwanie „Pioniera”.

Akcelerator nie działał.

Przy użyciu teleskopów nie udało im się stwierdzić aktywności w żadnym z portów pięć planet, które statek odwiedzał podczas każdego kursu, nie mało dział elektromagnetycznych, służących do wyhamowania statku. „Pionier” miał przeznaczone do tego celu paliwo. Statek mógł lądować, pytanie brzmiało tylko: gdzie?

Na pewno nie na powierzchni Piersienia. Sterowane przez automaty działa laserowe rozbiłyby ich w pył.

Nie otrzymali zezwolenia na lądowanie w żadnym z portów. Poza tym, coś tam było nie w porządku.

Wracac na jedną z opuszczonych planet? Równałoby to się założeniu nowej kolonii przez trzydziestu trzech mężczyzn i trzy kobiety.

– Byli niewolnikami nuiyny, niezdolnymi do podjęcia takiej decyzji. Wpadli w panikę – relacjonował Nessus – Wybuchł bunt. Pilot zdołał zabarykadować się w sterowni i przy użyciu silników posadził statek w jednym z portów. Zablił go za to, że naraził statek i ich na niebezpieczeństwo. Zastanawiam się, czy nie zablił go raczej za złamanie tradycji, za samowolne lądowanie na siłkach, a nie w bezpiecznej, elektromagnetycznej kołysce.

Louis poczuł na sobie czyis wzrok. Spojrzał w górę.

Dziewczyna cały czas im się przyglądała. Jedną z głów Nessusa, dokładnie lewa, również nie spuszczała z niej ani na moment oczu.

A więc w niej znajdował się tasp. I dlatego właśnie Nessus ciągle patrzył w górę. Dziewczyna nie chciała nawet na moment stracić go z pola widzenia, a on bał się choćby na chwilę wypuścić ją poza zasięg działania swego czaru.

Po zabiciu pilota opuścił statek – kontynuował Nessus. – Dopiero wtedy przekonali się, jak wielką wyrządził im krzywdę. *Cziliang brone* była nieczynna, zepsuta. Znajdowali się po niewłaściwej stronie wysokości na tyśiąc mil ściany.

Nie znam żadnego ekwiwalentu dla tej nazwy ani w interworldzie, ani w języku Bohaterów. Wiem tylko, jak działa. Jej działanie ma dla nas ogromne znaczenie.

– Więc mów – przyznał go Louis.

Budownicowie Piersienia wyposażyli go w odpowiednie zabezpieczenia. Mogłoby się wydawać, że przewidzieli upadek cywilizacji, jakby następujące po sobie okresy rozkwitu i powrotu do barbarzyństwa były na stałe wpisane do przeszłości i przyszłości człowieka. Skomplikowana konstrukcja, jaką

Po lewej unosił się wąski, długi budynek, przypominający trochę kształtem pasażerski statek kosmiczny. Louis popuścił na moment wodze fantazji, marząc, że to rzeczywiście ukryty przemysłny statek i że wystarczy tylko...

Była to marna rozrywka i szybko mu się znudziła. Staral się zapamiętać topografię miasta. Mogło to im się jeszcze przydać. Było to pierwsze miejsce, na jakie natrafili podczas wędrówki, w którym można było dostrzec ślady funkcjonującej jeszcze cywilizacji.

Jakąś godzinę później siedział na owalnym łóżku, patrząc w przyglądające mu się spokojnie Oko, kiedy obok niego, w jakiejś nieprawdopodobnej oddali, zobaczył mały, zielonobrazowy trójkąt.

— Mmm... — powiedział z namysłem. Trójkąt miał minimalne rozmiary, jednak można było określić jego kształt. Sterczał z szarobiałego chaosu nieskończonego horyzontu, a to oznaczało, że tam był jeszcze dzień.

Louis poszedł po lornetkę.

Patrząc przez nią widział wszystkie szczegóły równie wyraźnie, jak krateru na Księżycu. Nieregularny trójkąt, zielonobrazowy w podstawie, brudnobiału u szczytu. Pięść Boga. Znacznie większa, niż mógł przypuszczać. Fakt, że widział ją z takiej odległości wskazywał na to, że znaczna część góry sterczała ponad atmosferę.

Od momentu przymusowego lądowania na Pierścieniu skutery przeleciały ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mi. Pięść Boga musiała mieć co najmniej tysiąc mil wysokości.

Louis gwizdnął przeciągle i ponownie uniósł lornetkę do oczu.

\*

Siedząc w półmroku usłyszał dochodzące z góry hałasy. Wystawił głowę z celi

— Witaj, Louis! ryknął Mówiacy-do-Zwierząt, machając mu zakrwawioną, na pół zjedzoną tuszą czegoś przypominającego rozmiarami sporą kozę. Odgrzył kawał wielkości ludzkiej głowy, w chwilę potem następną, i jeszcze następną. Jego zęby były stworzone do cięcia, nie do żucia.

Mówiacy pokazał mu oderwaną tylną nogę ofiary, jeszcze ze skórą i kopytem.

— To dla ciebie, Louis. Nie jest najświeższe, ale to nie ma znaczenia. Musimy się pośpieszyć. Pożeracz

liści wołał nie patrzeć, jak jemy. Podziwiał widok z mojej celi.

— Dźwiz się, jak zająz do mojej — powiedział Louis. — Mylił się, co do Pięści Boga. Ma co najmniej tysiąc mil wysokości. To na szczycie to nie śnieg, tylko...

— Louis, jedź!

Louis poczuł, że do ust napływa mu ślina.

— Chyba można to jakoś upiec...

Rzeczywiście, było można. Mówiacy zdarł za niego skórę z udźca, po czym Louis położył mięso na schodach i upiekł je rozszerzonym promienniem lasera.

— Mięso rzeczywiście nie jest świeże — przyznał przyglądający mu się podejrzliwie kzin — ale czy musisz je od razu paść?

— Co z Nessusem? Jest więźniem, czy kontroluje sytuację?

— Powiedziałbym, że częściowo kontroluje. Spójrz w górę.

Mała figurka dziewczyny siedziała na krawędzi platformy obserwacyjnej.

— Widzisz? Boi się stracić go z oczu.

Louis uznał, że mięso jest już gotowe. Jedząc czuł na sobie niecierpliwy wzrok kżina, przyglądającego się, jak człowiek przeżuwa w nieskończoność każdy kęs. Louisowi jednak zdawało się, że je jak zarłoczne zwierzę. Był głodny.

\*

Przez wzgląd na lalecznika wyrzucili resztki przez wybite okno, po czym wszyscy zbrali się przy jego skuterze.

— Jest już częściowo uzależniona — powiedział Nessus. Miał kłopoty z oddychaniem — albo z zapachem surowego i palonego mięsa. — Udało mi się od niej dużo dowiedzieć.

— Wiesz, dlaczego nas złapała?

— Tak. Wiem też coś więcej. Miciłmy szczęście. Należała do załogi statku kosmicznego

— Cała pula dla nas — powiedział Louis Wu.

— Odkryliśmy latający budynek — odparł Louis — Z komnatą map. — Opowiedział lalecznikowi o zamku zwanym Niebem, o komnacie map, o ekranie, mapach i globusach, o kapłanie i jego opowieści oraz modelu wszechświata. Odpowiadał właśnie na kolejne pytanie, kiedy pomyślał o zadaniu własnego.

— A, właśnie. Czy twój komunikator działa?

Nie, Louis. Jakis czas temu rozszarpał się do białości, niezwykle mnie przestraszając. Gdybym tak bardzo się nie bał, na pewno bym na chwilę odszedł.

— No, tak. Inne też nie działają. Mówiacy i ja mamy poparzone dłonie, a Teela dziurę w bagażniku. Wiesz co? Musimy nauczyć się miejscowego języka.

— Oczywiście.

— Szkoda, że ten kapłan nie wiedział nic o upadku starożytnej cywilizacji Pierścienia. Miałem pewien pomysł... I przedstawił lalecznikowi swoją teorię zmutowanych bakterii trawicznych.

— To całkiem możliwe — powiedział Nessus — Jeżeli raz stracili umiejętność przetwarzania pierwiastków, nigdy się już nie podniosą.

— A to dlaczego?

— Rozejrzyj się dokoła, Louis. Co widzisz?

Louis rozejrzał się. Zobaczył formujący się przed nimi front burzowy: zobaczył wzgórza, doliny, odległe miasto, podwójny szczyt błyszczący półprzezroczystą szarością materiału konstrukcyjnego Pierścienia...

— Wyląduj w dowolnym miejscu i zacznij kopać. Co znajdziesz?

— Głębę — odpowiedział Louis. — I co z tego?

— A głębiej?

— Też głębie. Skąły. Konstrukcję. — I w tej samej chwili krajobraz diametralnie się zmienił. Burzowe chmury, góry, miasta, jedno po prawej, drugie z tyłu, tajemniczy blask za nie istniejącym horyzontem, który mógł okazać się morzem lub kolejnym polem słoneczników — wszystko to zrobiło się nagle sztuczne i płaskie. Rożnica między tym a prawdziwą planetą była taka sama jak między gumową maską, a ludzką twarzą.

— Gdybyś zaczął kopać na jakiejkolwiek prawdziwej planecie — podjął lalecznik — prędzej czy później trafilibyś na jakąś rudę metalu. Tutaj, po przekopaniu się przez czterdzieści stop ziemi irafiasz na spód Pierścienia. I koniec. Nie możesz się przez niego przebrać, a nawet gdybyś mógł, po drugiej stronie znalazłbyś tylko próżnię.

Jeżeli cywilizacja, która zbudowała Pierścien chce na nim żyć i rozkwitać, musi dysponować taną technologią przetwarzania pierwiastków. Jeżeli ją utraci — co jej pozostaje? Na Pierścieniu nie ma żadnych bogactw naturalnych. Choćby nie wiem jak szukali, nic by nie znaleźli. Cywilizacja musiałaby upaść. Na zawsze.

— Kiedy na to wpadłeś? — zapytał Louis.

— Dostę dawno temu. Nie było to nic takiego, co by w bezpośredni sposób wpływało na nasze bezpieczeństwo.

— Więc po prostu siedziałeś cicho. Jasne — Ileż czasu Louis łamał sobie nad tym głowę! A teraz wydało się to takie jasne i oczywiste. Cóż za pułapka, cóż za nieprawdopodobna pułapka dla myślących istot!

Louis spojrział przed siebie (kątem oka dostrzegł, że głowa lalecznika zniknęła za nad tablicy przyrządów), Burza zbliżała się coraz bardziej, była potężnych rozmiarów. Baterie dźwiękochłonne z pewnością dadzą sobie z nią radę, ale...

Lepiej ominąć ją, wznosząc się na większą wysokość. Louis przyciągnął do siebie drążek i skutery zaczęły wspinać się w górę, ku nieprzeniknionej warstwie szarych chmur, która wisiała nad nimi od chwili, kiedy dotarli do zamku zwanego Niebem.

Louis myślał leniwie o tym i o owym.

Opanowanie miejscowego języka zajmie im trochę czasu. Uczenie się nowego języka po każdym łapaniu będzie niemożliwe. W tej chwili ta własna sprawa urwała do rangi najważniejszego problemu. Od jak dawna mieszkający Pierścienia żyli jak dzicy? Jak dawno temu w jednolitym języku zaczęli wytwarzać się narzecza i dialekty? Jak bardzo różniły się od oryginału?

Roztaczający się dokoła widok ściemniał, po czym zupełnie zniknął. Był w chmurach. Macki szarej lepkiej mgły głąkały otaczającą skuter Louisa niewidzialną bankę. Po chwili ziemia zleża się nad jednolicie szarą powierzchnią.

Z uciekającego w nieskończoność horyzontu spoglądało na Louisa Wu olbrzymie, mebieskie oko. Gdyby Bóg miał głowę wielkości Księżycu, to oko byłoby akurat właściwych rozmiarów.

Zrozumienie tego, co widzi, zajęło Louisowi dobrych parę sekund. Przez następnych kilka chwil jego



st kategorię odmawiał przyjęcia tego do wiadomości. Niesamowity widok przyblakł jak złe heliony hologram.

W końcu delikatne brzęczenie w uszach usłyszał/wyczuł czyjs krzyk.

„Czy już nie żyję? – pomyślał. „Czy to Nessus?” Ale przecież lalecznik przerwał połączenie.

była Teela Teela, która jeszcze nigdy w życiu nie czuła się nie bała. Zakryła sobie twarz rękami, mając się przed tym monstrualnym, błękitnym spojrzaniem.

„Czy ja umarłem? Czy to Stwórca, który ma mnie sądzić? Który Stwórca?”

Adamska chwila, w której Louis Wu miał zdecydować, w jakiego Stwórcę wierzy, o ile w ogóle wie.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

„Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.

nowo i luksusowy i raczej mało spodziewany element wyposażenia celi. Szybko były wybite; zostało tylko kilka wyszczerbionych, ostrych zębów.

„Czy umieszczono je tu po to, żeby zadawać więźniowi dodatkowy ból, pokazując mu utracę wciśnięć?”

Na zewnątrz panował polmrok, niczym czarna kurtyna zbliżała się linia terminatora. Przed nim otwierał się widok na port szczytany, które musiały być kiedyś magazynami, rozpadające się doki, dźwięki o eleganckich kształtach. Wszystkie przedziwiałe niemal na wyłot.

W lewo i w prawo ciągnął się powymagany, urozmaicony brzeg. Kawałek plaży, doki, znowu kawałek plaży, głęboka, znakomicie nadająca się na założenie portu. I tak na przemian.

A dalej – ocean. Bezkrzesny, mknący za nie istniejącym horyzontem. Zupełnie, jakby patrzył przez prześwit grodu?

„Louis cicho wyszedł z celi.

W panującym we wnętrzu więzienia mroku odszukiwał skuter Nessusa. Był już tak wygołodził, że po klął przeznaczoną dla lalecznika cegielkę, nie zwracając uwagi na jej dziwny smak. Nie czuł się zbliżony pewnie w ciemnościach, więc włączył światła pojazdu Nessusa, a następnie uczył to samo w pozostałych skuterach. Kiedy skończył, olbrzymie pomieszczenie było już zupełnie dobrze oświetlone, cieni zaś rozproszone i niegroźne.

„Co zatrzymało Nessusa?”

W starym, napowietrznym więzieniu raczej trudno było o rozrywkę. Spać można było tylko określonej ilości czasu, a Louis wykorzystał już swój przydział z nawiązką. Można było zastanawiać się nad tym, co czerwone oczy finalnie, robi tak długo Nessus, dopóki nie pojawiła się myśl, że być może po prostu postanowił ratować swoją skórę.

Nessus nie był przecież jak mój karm, zwykłym obcym. Był lalecznikiem Piersona o przeszłości składającej się głównie z mniejszych lub bardziej udanych prób manipulowania ludźmi. Gdyby zaistniała szansa do gadania się z (hipotetycznym) Inżynierem, z pewnością bez wahania pozostawiłby na pastwę losu zaręczyć Louisa, jak i Mówiącego-do-Zwierząt.

Nie miałby żadnego powodu, żeby tak nie postąpić. Miał natomiast przynajmniej dwa powody przemawiające za tym, żeby tak właśnie uczynić.

Mówiący-do-Zwierząt niemal na pewno pokusił się o jeszcze jedną próbę zawładnięcia „Szczęśliwym Trafem”, chcąc uniemożliwić ludzicom zdobyć napęd hiperprzestrzennego Kwantum II. Podczas tej próby lalecznik mógłby zostać zraniony, albo i gorzej. Lepiej rozwiązać ten problem już teraz, zostawiając kłama na Pierścieniu. A przy okazji także i Louisa, który raczej nie przyłożyłby ręki do podobnej niegodziwości.

Poza tym, obydwa zbyli dużo wiedzieli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczące ingerencji laleczników w rozwój obywateli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli.

„Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli.

„Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli.

„Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli.

„Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli.

„Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli.

„Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt, dotyczący ingerencji laleczników w rozwój obywateli.

Zaniósł Mówiącemu wody w butce - pierwszym pojemniku. Jaki przyszedł mu na myśl. Właż ją ostrożnie do półotwartych ust kżina. Mówiący przełknął ją i usmiechnął się, nie odryskując przytomności. Louis ruszył po następny ładunek, ale zanim zdolał dotrzeć do skutera lalecznika, opuścił go i tak słuchając mu nadzwyczaj długi sili.

Zwinał się w kłębek na dachu którejś celi i zamknął oczy.

Bezpieczny. Wreszcie bezpieczny.

Powinien zasnąć od razu kamiennym snem. Coś jednak nie dawało mu spokoju.

Obolałe mięśnie, odrisk. Na dloniach i wewnętrznej powierzchni ud, strach przed upadkiem, który nie opuszczał go nawet teraz... I coś jeszcze.

- Niezas... - wymamrotał, siadając ze skrzyżowanymi nogami.

Mówiący?

Kżin spał ze stulonymi uszami, zwinęty w kłębek wokół dezintegratora Slavera. Oddychał szybko i bardzo płytko. To dobrze, czy źle?

Nessus będzie wiedział. Na razie niech śpi.

- Niezas - powtórzył pod nosem Louis.

Był sam, ale ta samotność nie miała nic z radośnej samotności Oderwań. Ciążyła na nim odpowiedzialność za życie innych. Z kolei jego życie zależało od tego, czy Nessusowi uda się omdlać tę szaloną kobietę, która ich uwięziła. Nic dziwnego, że Louis nie mógł zasnąć.

A jednak...

Wzrok Louisa spoczął na jego skuterze i już tam pozostał.

Jego skuter, z przedziurawionymi, sflaczalnymi balonami. Obok skuter kżina i sam kżin. Niżej skuter lalecznika. I czwarty, bez balonów. Cztery skutery.

Za pierwszym razem, szukając gorączkowo wody, nie zwrócił na to uwagi. Skuter Teeli. Wcześniej schował się pewnie za jednym z większych wraków. Bez balonów. Bez balonów...

Musiła wypaść, kiedy skuter odwrócił się do góry dnem.

Albo wyrzucił ją pęd powietrza, kiedy przy szybkości 2 Macha przestała działać bariera dźwiękochłonna.

Jak to powiedział Nessus? „Jest oczywiste, że jej szczęście nie jest niezawodne” A Mówiący „Gdyby jej szczęście zawiodło ją chociaż raz, już by nie żyła”.

Już nie żyła. Z całą pewnością już nie żyła.

„Przyleciałam tu z tobą, bo cię kocham”.

- Miałas pecha - powiedział Louis Wu. - Miałas pecha, że mnie w ogóle spotkałaś.

Po czym zwinął się w kłębek i zasnął.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał pochyloną nad sobą twarz Mówiącego-do-Zwierząt. To dzikie, wyglądniale spojrzenie...

- Czy możesz jeść żywność pozeracza liści? - zapytał kżin. - Zdaje się, że tylko ja nie mam żadnego źródła pożywienia.

To wydźwięk spojrzenia.. Louisowi włosy zjeżyły się na karku.

- Wiesz przecież, że masz - powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił - Pytanie tylko, czy z niego skorzystasz.

- Oczywiście, że nie. Jeżeli honor będzie ode mnie wymagał, zeby umarł z głodu, z pewnością tak uczynię.

- To dobrze. - Louis odwrócił się na drugi bok i udał, że zasypia.

Kiedy obudził się kilka godzin później, wiedział, że jednak naprawdę zasnął. Widocznie jego podświadomość miała do kżina pełne zaufanie. Skoro powiedział, że umrze z głodu, to umrze.

Czuł parcie na pęcherz. Czuł nieznosny smród. Czuł ból nadwężonych mięśni. Lejowała studnia po mogła rozwiązać pierwszy problem. Następnie wodę ze skutera lalecznika zmżył ze swego kombinezonu zaszkiełce wymiociny, po czym pokuśtykał do swego pojazdu po zestaw pierwszej pomocy.

Nie było to ot, takie sobie pudełeczko z lekarstwami. Zestaw potrafił sam przygotowywać niektóre leki, a nawet diagnozować choroby. Został z niego tylko szczerbiak, bezużyteczny pakunek.

Światło ciemniało coraz bardziej.

Cele z kłapami w suficie i małymi, przezroczystymi wizjerami. Louis położył się na brzuchu i zajął przez jeden z nich: łózko, dość niezwykłe urządzenia toaletowe... i światło dzienne, wpadające przez okno.

- Mówiący! - zawołał Louis.

Dostali się do środka przez boczną ścianę przy użyciu dezintegratora. Okno, duże i prostokątne, sta-

- Wydaje mi się, że moja teona jest znacznie bardziej prawdopodobna od twojej. Przypadkowy układ chmur! No wiesz, Louis!

Mózg Louisa powoli zaczynał znów funkcjonować.

- Wykreśl słowo „przypadkowy”. Może budownicowie Pierścienia umieścili je tutaj celowo, na przykład dla ozdoby albo jako jakąś wskazówkę?

- Co miałyby, według ciebie, wskazywać?

- Nie wiem. Coś dużego. Wesołe miasteczko, albo archikatedrę. Może kwatę Głównego Okulistę. Biorąc pod uwagę technikę, jaką dysponowali, no i przestrzeń, to może być cokolwiek.

- Na przykład wzięcie dla podglądaczy! - wtrącił Teela, niespodziewanie przychodząc Louisowi z pomocą. Unwiersytet dla prywatnych detektywów! Obraz kontrolny największego odbiornika stereowizji we Wszechświecie! Bałam się przynajmniej tak samo, jak ty, Mówiący - powiedział już normalnym tonem - Myślałam, że to... Sama nie wiem, co myślałam. Ale nie zostawię cię. Przeciętny przeciętny to razem.

- Znakomicie, Teelo.

- Jeżeli akurat wtedy mrugniesz, zginiemy.

- Normę ustala zawsze większość -acytował niezbyt dokładnie Louis. - Wezwę Nessusa.

- Na finagla, oczywiście! Przecież on już przez to przeleciał, albo dokoła tego.

Louis roześmiał się nieco głośniejszym niż zwykle. Bał się jak diabli.

- Chyba nie myślisz, że Nessus przeciera nam szlak?

- Hę?

- Przecież to lalecznik. Zatoczył olbrzymi łuk, zachodząc nas od tyłu, po czym prawdopodobnie przeleciał sterowanie na skuter Mówiącego. W ten sposób Mówiący z pewnością go nie złapie, a jednocześnie ze wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie mogłyby go spotkać, najpierw m y musimy dać sobie radę.

- Zdumiewa mnie twoja zdolność myślenia jak tchórz - powiedział kżin.

- Nie lekceważ tego. Znajdujemy się na obcym terenie. Nigdy nie wiadomo, kto ostatecznie będzie miał rację.

- W porządku. Porozmawiaj z nim, skoro łączysz takie pokrewieństwo charakterów. Ja w każdym razie lecę prosto w Oko. Muszę wiedzieć, co jest za nim. Albo w nim.

Louis połączył się z lalecznikiem.

\*  
Lalecznik znów spał.

- Nessus - powiedział Louis - Nessus! - powtórzył głośnie.

Skóra na grzbiecie lalecznika zadrażała nerwowo i pojawiła się zdziwiona, trójkątna głowa.

- Już myślałem, że będę musiał włączyć syrenę.

- Czy coś się stało? - Do pierwszej dołączyła druga głowa i obie rozjeżdżały się niespokojnie dokoła.

Louis nie był w stanie patrzeć w przyglądające mu się spokojnie błękitne oko. Odwrócił wzrok.

- Jeszcze nie, ale się stanie. Moi szaleni kompani mają zamiar popełnić samobójstwo. Nie jestem pewien, czy możemy im na to pozwolić.

- Wyjaśnij, proszę.

- Spójrz prosto przed siebie i powiedz mi, czy widzisz skupisko chmur w kształcie udzińskiego oka.

- Widzę.

- Czy wiesz, co to może być?

- Najprawdopodobniej jakaś burza. Coś w rodzaju cyklonu. Chyba domyślasz się, że na Pierścieniu mogą występować spiralne wiatry.

- Hę? - Louis nawet się nad tym nie zastanawiał.

- Wiatry spiralne, iakie jak cyklony, powstają dzięki działaniu siły Coriolisa i różnicom w prędkości przemieszczania się masy powietrza na różnych wysokościach. Każda planeta jest obracającą się sferą.

idem. Kiedy dwie masy powietrza dążą do miejsca, w którym powstała częściowa próżnia, ich sily czałkowe niosą je niejako na siebie i powstaje zjawisko wiru.

- Nessus, ja w i e m, jak powstają cyklony.

- A więc musisz też wiedzieć, że na Pierścieniu wszystkie masy powietrza poruszają się z dokładną takimi samymi prędkościami. Zagnych wirów.

Louis spojrział w kierunku przypominającej oko burzy.

No, a wiatr? W ten sposób nie powstanie nawet najłżejszy podmuch. Nie będzie żadnego przepływu masy powietrza.

## Pierścien

Nieprawa Ciepłe powietrze będzie wznosić się w górę, a zimne opadać na dół. Ale takie zjawiska nie mogą być powodem tego, co widać przed nami.

- Słusznie.

- Co ma zamiar zrobić Mówiący?

- Przelecieć przez sam środek. A Teela chce lojalnie podążyć jego śladem.

Lalecznik zagwizdał tak cudowne czysto, jak czyste jest światło lasera rubinowego.

To wydaje się niebezpieczne. Pola słowe skuterów ochronią ich przed działaniem każdego zyj-azajnego wiatru. Ale ten wiatr nie jest zwyczajny...

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest to coś sztucznego.

Tak. Inżynierowie musieli obmyśleć jakiś sposób na to, by wymusić cyrkulację powietrza. Ale taki system powinien przestać działać w momencie, gdy urwały się dostawy energii. Nie rozumiem. Alha już mam, Louis.

- Co takiego?

Wyobraź sobie znajdujące się gdzieś w centrum burzy miejsce, w którym powietrze po prostu znika, pozostawiając po sobie niezwykłą próżnię. Cała reszta jest już oczywista.

Masy powietrza suną do tego miejsca z przodu i z tyłu, patrząc w kierunku obrotów Pierścienia, dzie-

- I z boków.

- To nieważne - zbył jego uwagę lalecznik. Powietrze płynące „pod prąd” będzie odrobinę lżejsze, płynące „z prądem” cięższe.

Louis wysłał swoją wyobraźnię, ale bezskutecznie.

- Dlaczego?

- Powietrze obracające się wraz z Pierścieniem porusza się odrobinę szybciej przez co ulega działaniu minimalne większej siły odśrodkowej. Jest po prostu cięższe. Opada.

To dołna powieka oka. Górna tworzy powietrze napływające „pod prąd”. Oczywiście, tutaj także po-

- Tutaj to jest właściwy efekt uboczny.

- Uboczny i jedyny zarazem. Nie ma nic, co by go mogło powstrzymać. Zjawisko, które widzisz przed

- Może i tak. - Oko wydawało się teraz jakby trochę mniej przerażające. Rzeczywiście, lalecznik

- Iai rację: musiało być to coś w rodzaju cyklonu. „Powieki” były oświetlonymi przez słońce chmurami,

„żmiewa” - jego centrum.

Jedyny problem to owo tajemnicze miejsce, w którym znika powietrze. Dlaczego tak się dzieje?

- Może pracuje tam cały czas jakiś pompa?

- Wątpię, Louis. Gdyby tak mało było w istocie, wszystkie rudy powietrza w tej okolicy byłyby sta-

- Więc?

- Czy zwróciłeś uwagę na miejsca, w których materiał konstrukcyjny Pierścienia wyrzwał na światło

planowane. Zauważyłeś, że takie miejsca spotykamy coraz częściej? Oddziaływanie Oka musiało za-

- Czuchnia mojej czy twojej planety.

Tym razem to Louis gwizdał przeciągle.

- Niezasi! No tak, rozumiem. W centrum tego cyklonu musi być krater po meteorycie.

- Właśnie. Rozumiesz, jakie to ma znaczenie - materiał konstrukcyjny Pierścienia nie jest jednak

- zniszczalny.

Dla nas, biorąc pod uwagę to, czym dysponujemy, jednak jest.

- Rzeczywiście. Tak czy tak, musimy sprawdzić, czy rzeczywiście jest tam otwór wybity przez meteo-

- Niedawna panika wydawała się Louisowi już tylko na pół zapomnianym snem. Analizyczny chłód wy-

- du lalecznika podziałał krzepiąco i uspokajająco. Louis Wu spojrział odważnie w olbrzymie oko i po-

- W tej częściowej próżni powinno być po prostu czyste, spokojne powietrze. W porządku; przekażę

- dobrą wiadomość. Wszyscy przeleciemy przez oko cyklonu.

\* Kiedy byli już blisko żreńcy, niebo nad nimi pociemniało. Czyżby zbliżała się noc? Trudno było to

- rozróżnić. Gruba warstwa chmur czyniła ciemnym i ponurym nawet jasny, słoneczny dzień.

- Musimy zaszekać.

- Mam już dosyć tego czekania.

Niespodziewanie skuter lalecznika ruszył do przodu i w górę, żeby po chwili stuknąć w krawędź plat-

- formy obserwacyjnej niczym przybijająca do nabrzeża łódka.

Nessus zgrabił zeskoczył na brzeg.



Dziwczyną wysłała mu na spotkanie. To, co trzymała w lewej dłoni musiało być bronią, ale drugą

ręką dotknęła jednej z jego głów i po chwili wahanie położyła go delikatnie po karku

Nessus wydał odgłos rozkozy i zachwytu

Odwrociła się i zaczęła wchodzić po schodach. Nie spojrzęła za siebie ani razu. Przyjęła pewnie, że

Nessus ruszy za nią jak pies. Tak też uczynił.

Dobrze, pomyślał Louis. Bądź przemyślny. Bądź grzeczny. Zdobać jej zaufanie.

Kiedy odgłosy ich nieskończonego stąpania znikły w oddali, w komorze wewnętrznej zrobiło się

ciicho jak w opustoszałym grobowcu

Skuter Mówiącego unosił się w odległości jakichś trzydziestu stóp. Spod zielonych balonów wyglądała

zabandażowana dłoń i pomarańczowa twarz o zamkniętych oczach. Louis nie miał żadnej możliwości,

żeby się do niego zbliżyć. Kzin mógł już od dawna nie żyć.

Wśród zalegających podłogę kości znajdował się przynajmniej tużn czaszek. Kości, niema! namaca-

lna starość, przedzierały metal i cisza. Louis trzymał się kurczowo swego skutera, czekając, kiedy opu-

- szcza go siły.

\* Był pogrążony w płytkiej drzemce, kiedy poczuł, że coś się dzieje. Skuter zakotłował się.

Życie Louisa zależało od tego, czy uda mu się zachować równowagę. Jej chwilowe zachwianie wywo-

- łało u niego panikę. Rozczepił się w popłochu dookoła, poruszając tylko oczami.

Nieruchome wraki otaczały go nadal ze wszystkich stron. Coś się jednak poruszało...

Jakiś pojazd zakotłował się, zaczął i poleciał w górę.

Hę? Nie. Wyglądał na dachu jednej z cel. Jeden po drugim czyniły to kolejne wraki.

Skuter Louisa przekręcił się w jakimś zawróceniu pola elektromagnetycznego i ciężko uderzył bo-

- kiem w twardą powierzchnię. Louis momentalnie zwołał uchwyt zaciskający dłoń i odoczył się o kilka

- stóp.

Próbował wstać na nogi, ale nie mógł. Nie potrafił zachować równowagi. Jego ręce były wykręconymi

przez ból, bezużytecznymi szponami. Dysząc ciężko leżał na boku, myśląc, że i tak jest już pewnie za

- późno. Skuter kżina musiał przy lądowaniu zmasakrować wiszącego pod nim Mówiącego.

Leżał nawet niedaleko od niego, przewrócony na bok.

Dopełnienie do niego zajęło Louisowi sporo czasu. Kzin oddychał, ale był nieprzytomny. Ciężar

skutera nie złażał mu karku, prawdopodobnie dlatego, że Mówiący nie miał niczego w tym rodzaju.

Louis z trudem wyciągnął zza paska laser i przekuł więzące kżina balony.

I co teraz?

Przypominał sobie, że umiera z pragnienia.

Jednocześnie, jakby przestało mu się kręcić w głowie. Wstał i na glinianych nogach ruszył w poszuki-

- waniu jednego pewnego źródła wody, jakie przychodziło mu w tej chwili na myśl.

Okazało się, że opadający w dół lej podłogi był utworzony przez koncentryczne, tworzące potężne

- schody kręgi cel. Mówiący i Louis wyładowali na czwartym kręgu, licząc od środka. Dwa pozostałe sku-

- tery leżały stopień niżej.

Czuł, jak przy każdym kroku drżą mu nogi. Louis schodził po łączących sąsiadujące poziomy schod-

- ach. Jego mniemom daleko było jeszcze do odzyskania zwykłej elastyczności.

Na wlok tablicy przyrządów potrzebował głowę. Napisał w ogóle jej wygląd był tak tajemniczy, że z

- pewnością nikt nie pokusiłby się o to, żeby ukraść lalecznikowi jego skuter. Jedyną oczywistą rzeczą

- była przetrzeźnia, gęłka norka.

Woda była destylowana, ciepła i miała jakiś dziwny smak. Przede wszystkim była ciekła.

Kiedy Louis ugasił już pragnienie, spróbował cegielki z podajnika. Jej smak był już bardzo dziwny.

Na wszelki wypadek postanowił jednak jej nie jeść. Mogła zawierać składniki zabójcze dla ludzkiego

- metabolizmu. Lepiej zapytać Nessusa.



może oznaczać. W pewnej chwili dziewczyna rzuciła Nessusowi pomarańczowy owoc; ustalił, że nazywa się „thrumb”. Nessus zatrzymał go.

Nagle jego rozmówczyni wstała i wyszła.

- I co? - zapytał Louis.
- Pewnie znużilo jej się - powiedział Nessus. W każdym razie, nie na ten temat nie powiedziała.
- Umieram z pragnienia. Czy mógłbyś skosztować tego thrumba?
- „Thrumb” oznacza tylko kolor jego skóry, Louis.
- Lalecznik skierował swój pojazd z powrotem do Louisa i wręczył mu owoc.
- Louis odważył się na oswobodzenie tylko jednej ręki. Oznaczało to, że grubą skórę będzie musiał odczłapać niemal wyłącznie przy użyciu zębów. Zrobił to, a potem wgrzął się w soczysty miąższ. Była to najsmaczniejsza rzecz, jaką od dwustu lat miał w ustach.
- Wróci? - zapytał, kiedy już prawie skończył.
- Miejmy nadzieję. Działaniem tępem bardzo delikatnie, żeby uwarunkować ją na poziomie podświadomości. Będzie jej tego brakowało. I zaleczenie będzie się pogłębiało za każdym razem, kiedy mnie zobaczy. Louis, czy nie powinniśmy raczej skierować jej uwagę na ciebie?
- Nie ma nawet mowy. Ona myśli, że jestem tubylem, dzikusiem. Przy okazji nasuwa się pytanie, kim jest ona?
- Nie wiem. Nie starała się tego ukryć, ale i tak nie na ten temat nie mówiła. Zresztą, jeszcze za słabo znam język. Przynajmniej na razie.

## Rozdział XX

### Mięso

Nessus wylądował, żeby zbadać dolną część pomieszczenia. Odciepy od interkomu Louis próbował zerknąć w dół i zobaczyć, co robi lalecznik, ale po pewnym czasie zrezygnował.

Dużo później usłyszał kroki. Tym razem bez dzwoneczków.

Dźwięki - krzyknął, przysłuchując się do ust złożone dłonie.

Dźwięki odbił się kilkakrotnie od ścian, żeby skoncentrować się w dnie lejowatej studni. Lalecznik podskoczył, jednym suszem zajął miejsce w swoim skuterze i wystartował, a właściwie poleciał w górę nieczym banku powietrza. Widocznie zostawił pracujący silnik, żeby przeciwstawić się działaniu pola, a teraz po prostu go wyłączył.

Kiedy kroki zatrzymały się nad nim, unosił się, jakby nigdy nie, wśród metalowego śmiecia.

- Niezła! Co ona robi? - wyszeptał Louis.
- Cierpliwości. Trudno, żeby uzależniła się całkowicie od jednego razu.
- Niechże wreszcie dojdzie do tych twoich pustych, beznógłych głów, że nie dam racy utrzymywać równowagi w nieskończoności!
- Musisz. Jak mogę ci pomóc?
- Wody - Louis nie był pewien, czy ma jeszcze w ustach język, czy raczej dwujęzyczny, zwinęty pas flaneli.
- Chce ci się pić? Ale jak mam ci podać wodę? Jeżeli odwrócisz głowę, możesz stracić równowagę.
- Wiem. Nie musisz mi przypominać. Ciałem Louisa wstrząsnął dreszcz. To śmieszne, żeby stary wyga kosmiczny tak bardzo bał się wysokości. - Co z Mówiącym?
- Niepokoję się o niego. Już od dawna jest nieprzytomny.

- Niezłas...

Kroki.

Chyba cierpi na manię przebiegania się, pomyślał Louis. Tym razem miała na sobie jakąś bogato zdobioną szatę w zielone i pomarańczowe plamy. Podobnie jak jej poprzednie stroje, tak i ten nie pozwalał nawet domyśleć się kształtu jej ciała.

Ukłębia na skraju platformy obserwacyjnej, przysłuchując się im z chłodną uwagą. Louis bez najmniejszego poruszenia czekał na dalszy rozwój wypadków.

Jej twarz złagodniała, oczy rozmarzyły się, a kąciki ust powędrowały do góry.

Nessus odczekał się jako pierwszy.

Zdawała się zastanawiać. Potem powiedziała coś, co można było uznać za odpowiedź.

Po czym wyszła.

- I co?

Oko od kątka do kątka czytało sobie co najmniej sto mil długości, zaś jego wysokość wynosiła około czterdziestu mil. Teraz jego kontury wydawały się barczystej błękitne, niż bracie. Mogli dostrzec pasma i zgrubienia rozciągające się wokół. Żrenica była w istocie tunielem utworzonym przez kłębiące się wiatry, niemniej jednak całość ciągle jeszcze wyglądała jak gigantyczne oko.

Leceli prosto w oko Boga. Widok był wstrząsający, przerażający, niemal humorystycznie przerysowany. Louis był gotów jednocześnie śmiać się i krzywić z przerażenia. I lub zawrócić. Wystarczyłaby przecież jedna osoba, żeby sprawdzić, czy w podłodze Pietrosienia rzeczywiście nieje czarny otwór. Louis mógłby okrzyknąć Oko dookoła!

Byli już w środku.

Wlecieli w czarny korytarz rozświetlony uderzającymi właściwie bez przerwy błyskawicami. Dokoła nich powietrze było doskonale spokojne. Poza obszarem zrenicy kłębiły się spienione miznym fale chmur, wirując szybko, niż najpotężniejszy cyklon.

- Pożeracz liści miał rację - ryknął Mówiący-do-Zwierząt. - To po prostu burza.

- Najzabawniejsze, że jako jedyny nie wpadł w panikę, kiedy to zobaczył! - odwrzasnął Louis. - W dołach laleczników nie są przesądne.

- Widzę coś! Z przodu! - krzyknęła Teela.

Dziura w podłodze tunelu. Louis wyszczerzył zęby w nerwowym uśmiechu i delikatnie położył dłonie na sterach. Nad tą dziurą mogło nieźle rzucić.

Był teraz zdecydowanie mniej spięty i zdenerwowany niż w chwili, kiedy wlatywali do Oka. Co mogło mu grozić w miejscu, którego nie bał się nawet lalecznik?

Chimury i błyskawice otaczały ich coraz ciasniejszymi kręgami.

Wyłmowali i zawisli nad otworem, ciągiem silników przecierających się wysysającej ich wen sile.

Situmiony dźwiękochłonnymi barierami ryk cyklonu zelaną obrotową schwał im głowy.

Zupełnie, jakby zagłuszał w otwór komina. Oczywiście, niknął w nim powietrze, ale czy było po prostu wypompowywane, czy też może wysysane i wyrzucane w czyhającej po drugiej stronie cienkiej warstwie Pietrosienia proznie? Niewiele mogło zobaczyć.

Louis nie zauważył, kiedy Teela skłoniła swój skuter w dół. Znajdowała się zbyt daleko od niego, niegłosząc, upierne swądło było zbyt niezwykłe, a on patrzył akurat przeto w czarny otwór komina. Dostrzegł co prawda niknącą w nim, srebrzystą iskierkę, ale nie zwrócił na to żadnej uwagi.

Dopiero później usłyszał przytłumiony, przeraźliwy krzyk Teeli.

Obraz jej twarzy przekazywany przez interkom był czysty i wyraźny. Teela patrzyła w dół i była przerażona.

- Co się stało? - ryknął.

- Z trudem dosłyszał jej odpowiedź:

- ... na mnie!

Spojrzał ponownie w dół.

W wypielęgnowanej otwór komina pustce panował zupełny spokój. Wściekle wiodły tylko jej krąg. W tym momencie światła jej dzwiny blask, mający swe źródło nie w układach aniach elektrycznych, ale w kłopotach, w których efektach powstających dzięki różnicom potencjałów w niemal zupełnie próżni. Naszymi dźwiękami, które go otaczały, jakby iskra, która mogła być skądś, gdyby znalazł się ktoś na tyle głupi, żeby dać namierzyć w tym miejscu małym tylko po to, by przyjąć się z bliska dziurze, za którą przecież mogła znajdować się tylko pustka.

Louis poczuł, że ogarnia go jakiś nieprawdopodobny bezwład. Nie już nie można było zrobić. Nie odwrócił wzroku.

Nad tańszą przysiadów zobaczył twarz Teeli. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w coś potwornego. Z nosa ciekła krew.

Przerażenie powoli ustępowało z twarzy dziewczyny, pozostawiając po sobie trapiących, spokojnych. I w tym momencie mogła zemdlać. Anoksją? Bariera dźwiękochłonna nie wypuszczała ze swojej go wnętrza, ale najpierw trzeba ją było włączyć.

Półprzytomne oczy Teeli patrzyły prosto w Louisa Wu. Zrobił coś, błagały. Zrobił coś.

Jej głowa opadła bezwładnie na tablicę przysiadów.

Louis czuł w uszach smak krwi. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że niemal oderwał sobie dolną warstwę Pietrosienia. W oświetlonej neonowymi blaskiem gardziel komina, przypominającej powiększony dysk monitorem, rozmarow wir powstał, jakby w wannie podczas spuszczenia wody. Dostrzegł siebie i kłódkę, która musiała być skutkiem Teeli.

skracającą nagle w bok i wbijającą się z ogromną siłą w wirującą ścianę komina.

Kilka sekund później daleko przed nim, już poza Oknem, pojawiła się przeuwająca się z obrzygnią przedkością smuga kondensacyjna. Ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że jest to skuter Teeli.

– Co się stało? – doszedł go głos kżna.

Nie widziałeś jej. Była zimna jak lodowe jaskinie Plutona, przynajmniej, jeśli chodzi o moją osobę. Szczerze mówiąc, wcale jej się nie widwie. – Widziałaś przecież, jak zwracam swój ostatni posiłek. Taki widok trudno uznać za romantyczny.

– Będzie szczęśliwa za każdym razem, kiedy na nas spojrzy – powiedział Nessus. Przebywając gdzieś indziej będzie czuła, że czegoś jej brak. Jeżeli zbliży się do któregoś z nas, jej szczęście wzrośnie...

Nie zaś – wykrzyknął Louis – Oczywiście!

Rozumiecie? To dobrze. A tak przy okazji: w międzyczasie uczyłem się trochę miejscowego języka. Zdaje się, że moja wymowa i gramatyka są prawie bez zarzutu. Gdybym tylko wiedział, co znaczą słowa, ktorimi się posługuję...

Obraz nad jego tablicą przyrządów pokazywał jedne nie opuszczoną głowę i czarne włosy Teeli. Była nieprzytomna w śpiączce na oślep z dwukrotną predkością czwiku skuterze. Coś trzeba zrobić, ale co?

■

Przecież ona miała umrzeć, Louis. Czyżby Nessus uruchomił jakieś ukryte urządzenie sterownicze?

Mówiący już nawet przestał się skarżyć. Przez pewen czas mniotł na Louisa i Nessusa obelgi za to, że nie mogą mu pomóc. Ale od dosyć dawna zachowywał się zupełnie cicho.

– Nie. Chciałbym, żeby tak było, ale... Nie.

Louis znów drzemał.

– A ja uważam, że właśnie tak się stało – oznajmił Mówiący-do-Zwierząt.

Przez sen usłyszał jakies dzwonki i momentalnie się obudził. Schodziła po schodach, brzęcząc zawieszonymi u sandałów dzwoneczkami. Tym razem miała na sobie długą suknię z kilkoma odsłajacym, dużymi kieszeniami. Drugie, czarne włosy zwieszały się na jedno ramię.

Widzicie się nad tym zastanawiam.

Tylko spokojne dostojęństwo jej twarzy nie zmieniło się ani trochę. Usiadła na platformie, zwieszając nogi nad przepaścią i spojrzała na Louisa Wu. Nie poruszała się, podobnie Louis. Przez kilka nie kończących się minut patrzył sobie prosto w oczy.

– Aha... – powtórzył Louis.

Potem sięgnęła do jednej z kieszeni i wyjęła coś wielkości zaciśniętej pięści koloru pomarańczy. Rzuciła to w kierunku Louisa, tak, żeby przeleciała kilka cali poza zasięgiem jego ramię.

Przecież nie byłaby tu z nami. Nessusowi nigdy nie udałoby się jej odnaleźć. Zostałaby na Ziemi.

Louis poznał, co to było: soczysty owoc, taki sam, jakich kilka znalazł dwa dni temu na jakimś krzaku. Zaledwo był do pojemnika regeneratora żywności, nie sprawdzając nawet, jak smakuje.

Uderzyła kolejna błyskawica, oświetlając długą, wirtujący tunel. Cienka, prosta linia wskazywała ślad przeleotu skutera Teeli. Sam skuter zniknął już w oddali.

Owoc rozbił się o czerwony płam na dachu jednej z cel. W tej samej chwili Louis utopił się we własnej ślinie i poczuł nieprawdopodobne, obezwładniające pragnienie.

– A przed wszystkim, nigdy nie spotkałaby nas ta katastrofa!

Rzuciła mu następny. Tym razem przeleciał bliżej, tak, że mógłby go dosięgnąć. Ale przewróciłby przy tym skuter. A ona doskonale o tym wiedziała.

– Może lepiej zaczni się zastanawiać nad tym, jak ocalać jej życie.

Trzeci owoc pchnął go prosto w plecy. Przywarł mocniej do skutera, zastanawiając się ponuro, co też go jeszcze czeka.

– Louis sknął głową. Bez specjalnego pośpiechu wcisnął przycisk wzywający Nessusa – kżin, gdyby tego nie zrobił.

W polu widzenia pojawił się skuter lealcznika.

– Lealcznik odpowiadał niemal od razu, jakby cały czas czekał na sygnał. Louis ze zdziwieniem zauważył, że kżin nie wyłączył swojego interkomu. W skrócie opowiadał Nessusowi, co się stało.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Wygląda na to, że obydwa nie mieliśmy racji co do Teeli – stwierdził lealcznik.

Nessus ukrywał się do tej pory za potężnym wrakiem powietrznej ciężarówki. Teraz, odwrócony znowu do góry nogami, podpełznął do Louisa, jakby przyniesiony przypadkowym prądem powietrza.

– Właśnie.

– Możesz ją uwieść? – zapytał szeptem.

– Leal na dopalacz. Niemożliwe, żeby włączyła go uderzeniem głową. Właściwie, w ogóle nie można go przypadkowo włączyć.

Louis przychmął z wściekłością, ale w porę zdął sobie sprawę, że lealcznik nie kpi, tylko pyta zupełnie serio.

– A gdzie go się włącza? – zapytał Louis. Kiedy lealcznik pokazał mu, mruknął – Mogła wsadzić tam palec po prostu z ciekawości, żeby zobaczyć, co się stanie.

– Nie ma mowy – odpowiedział. – Ona myśli, że jestem jakimś zwierzęciem.

– Naprawdę?

– W takim razie musimy spróbować odmienniej taktyki.

– Co możemy teraz zrobić? – wtrącił się Mówiący-do-Zwierząt.

Louis oparł czoło o chłodny metal. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie podle.

– Dajcie mi znać, kiedy odzyska przytomność – powiedział Nessus. – Pokażę jej, jak ma zmniejszyć predkość i wrócić do nas.

– Spróbuj ty – powiedział. – Mnie na pewno nie uzna za równego sobie, może z tobą będzie inaczej.

– A tymczasem?

Skuter lealcznika był już kilka stóp od niego. Nessus powiedział coś głośno w języku, w którym mówił ogolony dyrygent chóru: w świętym języku Inżynierów.

– Tymczasem możemy tylko czekać. Istnieje niebezpieczeństwo, że może przeciążyć silnik. Dopóki jednak leal, skuter sam będzie omijał przeszkody, z pewnością nigdzie się nie rozbije. Oddala się od nas.

– Nie będzie się z tobą porównywać, za bardzo się od niej różni.

– Dajcie mi znać, kiedy odzyska przytomność – powiedział Nessus. – Pokażę jej, jak ma zmniejszyć predkość i wrócić do nas.

– Skuter lealcznika był już kilka stóp od niego. Nessus powiedział coś głośno w języku, w którym mówił ogolony dyrygent chóru: w świętym języku Inżynierów.

– Teela ma na to zbyt wiele szczegółów – odparł lealcznik.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale... No, trudno to było nazwać uśmiechem, w każdym razie kąciki jej ust unosiły się lekko ku górze, zaś w oczach pojawiła się iskra ożywienia.

– A tymczasem?

Nessus zaczął od małej mocy. Od bardzo małej mocy.

– Tymczasem możemy tylko czekać. Istnieje niebezpieczeństwo, że może przeciążyć silnik. Dopóki jednak leal, skuter sam będzie omijał przeszkody, z pewnością nigdzie się nie rozbije. Oddala się od nas.

Oderwał się ponownie i tym razem uzyskał odpowiedź. Jej głos był chłodny i melodyjny, zaś jeśli dla Louisa brzmiał zimno i władczo, to nie stanowiło to dla niego zaskoczenia, bo właśnie czegoś takiego się spodziewał.

– Dajcie mi znać, kiedy odzyska przytomność – powiedział Nessus. – Pokażę jej, jak ma zmniejszyć predkość i wrócić do nas.

Po czym nastąpiła lekcja języka.

– Zmienieniem zdanie oznajmił Mówiący-do-Zwierząt. – Jeżeli chcesz, Nessus, możesz do nas wrócić.

Nie było szans, żeby dla Louisa, balansującego niepewnie nad koszmarną przepaścią, ta lekcja nie była po prostu nudna. Od czasu do czasu wychwytywał jakies słowo, nie mając oczywiście pojęcia, co

## Rozdział XVIII

### Przypadki Teeli Brown

Była głęboka noc, kiedy wreszcie znaleźli się po drugiej stronie Oka. Nie mogli dostrzeć nawet jednej wierzby, ale przez nieliczne dziury w pokrywie ciemur docierał do nich od czasu do czasu błękitny pokask tuku Nieba.

– Zmienieniem zdanie oznajmił Mówiący-do-Zwierząt. – Jeżeli chcesz, Nessus, możesz do nas wrócić.

Ma na sobie. Nie powiem, żeby mi się podobało. Na dole do kolan, na górze do łokci, balonaste...  
- Ale to chyba niezbyt interesujące dla kżna i lalcznika. - Maternal z całą pewnością sztuczny. Albo iowy, albo niezwykle trwały i wytrzymały. - Lousis przerwał, bowiem dziewczyna coś powiedziała. Czekaj. Powtórzyła, cokolwiek to było - niezbyt długie zdanie.

Po czym wstała z wdziękiem i wyszła.

- Poszła sobie. Pewnie zaczęło jej się nudzić.

- Albo wróciła do swoich urządzeń podsłuchowych.

Mozhwe. - Jeżeli ów podsłuchiwacz znajdował się w tym budynku, to brzytwa Ockhama kazała

przyjąć, że była nim właśnie ona.

Nessus mówi, żebyś ustawił laser na małą moc i szeroki zasięg i użył go jako reflektora, kiedy ta kobieta wróci. Ja mam nie pokazywać dezintegratora. Kobieta najprawdopodobniej może nas zabić jedynym ruchem palca. Nie może zobaczyć u nas żadnej broni.

- Więc jak mamy pozbyć się tych automatycznych czujników?

Odpowiedź kżna nadeszła z kilkusekundowym opóźnieniem

- Nie będziemy się ich pozbywać. Nessus mówi, że spróbujemy czegoś innego. Ma zamiar tu się zjawić.

Louis pozwolił swojej głowie opaść swobodnie na chłodną, metalową powierzchnię, Ulga, jaką poczuł była tak wielka, że nie był w stanie się odezwać, dopóki nie doszły go słowa kżna:

- Wszyscy trzej znajdujemy się w jednej pułapce. Louis, jak mam go od tego odwieść?

- Powiedz mu to. Albo nie, nie rób tego. Gdyby nie był pewien, że to bezpieczne, nigdy by tak nie postąpił.

- Ale jak to może być bezpieczne?

- Nie wiem. Daj mi odpocząć.

Lalcznik z pewnością wie, co robi. Nie pozostało im nic innego, jak zaufać jego tchórzostwu. Louis oparł policzek na gładkiej powierzchni...

\*

Zapadł w drzemkę.

Jego podświadomość cały czas pamiętała, gdzie jest i w jakim położeniu. Przy najbliższym poruszeniu skutera natychmiast szeroko otwierał oczy. Jego sen bardziej przypominał jakiś nieprawdopodobny kosmar, niż cokolwiek innego.

Kiedy rozbił się światło, od razu się obudził.

Światło wpadało przez szeroki, poziomy otwór, służący tutaj za drzwi. W rażącym oczy blasku do wnętrza majestatycznie wpłynął odwrócony do góry nogami skuter lalcznika. Jego właściciel wisiał głowami na dół, utrzymując się w fotelu bardziej przytrzymywany przez specjalną uprząż, niż dzięki balonowi.

Drzwi zamknęły się.

- Witamy - wycedził Mówiący-do-Zwierząt. - Możesz odwrócić mnie głową do góry?

- Na razie nie. Czy dziewczyna pojawiła się po raz drugi?

- Nie.

- Przyjdzie. Ludzie są bardzo ciekawscy, Mówiący. Z pewnością nigdy przedtem nie widziała ani mnie, ani ciebie.

- I co z tego? Już mam dosyć tego wiszenia! - jęknął kżin.

Lalcznik dotknął jakiegoś przycisku na tablicy przyrządów swojego skutera i stał się cud: maszyna ustawiła się w normalnym położeniu.

- Jak? - zapytał tylko Louis.

- Kiedy tylko przejęli kontrolę nad skuterem, wyłączyłem wszystko, co dało się wyłączyć. Nawet gdyby pole elektromagnetyczne nie zlapało mnie, zawsze zdążyłbym w ostatniej chwili wyłączyć silniki. Teraz wszystko powinno się udać. Kiedy dziewczyna znowu tutaj przyjdzie, zachowujcie się przyjaźnie. Louis, mozesz mieć z nią stosunek seksualny, jeśli sądzisz, że mogłoby to nam w czymś pomóc. Mówiący, Louis jest naszym panem, a my jego służącymi - kobieta może cierpieć na ksenofobię. Jeżeli zobaczy, że te niezwykle istoty słuchają jednak rozkazów człowieka, może być bardziej przychylna.

Louis zupełnie szczerze roześmiał się. Koszmarny półsen dał mu jednak odrobinkę niezbędnego wypoczynku.

- Nie sądzę, żeby miała okazać się w jakikolwiek sposób przychylna, nie mówiąc już o czymś więcej.

- Chcę - powiedział lalcznik.

- Potrzebujemy twojego sposobu myślenia. Musisz jednak wiedzieć, że nigdy nie zapomnę tego, co twoja rasa uczyniła mojej.

- Nie mam najmniejszego zamiaru ingerować w twoją pamięć.

Lous ledwie zwrócił uwagę na to zwycięstwo praktycznego podejścia do życia nad pocuciem dumy nad ksenofobią. Wpatrywał oczy w poszukiwaniu smugi kondensacyjnej pozostawionej przez skuter Teeli, ale nie mógł jej już nigdzie dostrzec.

Teela ciągle była nieprzytomna. Jej głowa poruszyła się lekko, ale Lousowi, mimo ponawianych ci

gle prób, nie udało się uzyskać nic więcej.

Myliliśmy się co do niej - powiedział Nessus. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego. Dlaczego nie

szła wyprawa zakończyła się katastrofą, jeżeli jej szczęście jest aż tak potężne?

- To samo mówiłem Louisowi!

- Gdyby jednak jej szczęście nie miało żadnej mocy kontynuował lalcznik - to jak wyjaśnić w

czenie dopalacza? Uważam, że od samego początku miałem rację: Teela Brown ma szczęście, które

leży rozpatrywać w kategoriach dziedzicznych zdolności psychicznych.

- W takim razie, dlaczego udało ci się ją zwetbować? Dlaczego „Kłamca” uległ katastrofie? Odpowiedź!

- Uspokójcie się - próbował przerwać im Louis. Nie zwróćli na jego słowa żadnej uwagi.

- Najwidoczniej jej szczęście nie jest całkowicie niezawodne - odparł Nessus.

- Gdyby zawiodło ją choć raz, byłaby już martwa.

- Gdyby była martwa lub ranna, nie wziąłbym jej na wyprawę. Musimy pozostawić trochę miejsc

przypadkowi. Nie zapominał, Mówiący, że rachunek prawdopodobieństwa uznaje istnienie czegoś

kiego, jak przypadek.

- Ale nie czegoś takiego, jak czary. Nigdy nie uwierzę w dziedziczenie szczęścia.

- Będziesz musiał - stwierdził po prostu Louis. Tym razem usłyszeli, mógł więc mówić dalej - Powiniennem być domyślać się tego dużo wcześniej. Nie dlatego, że omijali ją wszelkie nieszcześcia. Choć o różne drobności w jej osobowości. Ona naprawdę ma szczęście, Mówiący. Uwierz w to.

- Louis, jak możesz opowiadać takie bzdury?

- Nigdy nie stała się jej żadna krzywda. Nigdy.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Wiedziała wszystko o przyjemności, nic o bólu. Pamiętasz, co powiedziała, kiedy zaatakowały cię słoneczniki? Zapytała, czy widzisz. „Jestem ślepy”, odpowiedziałeś. A ona na to: „Tak, ale ci widzi się?” Nie uwierzyła ci.

Albo zaraz po katastrofie. Próbowła wejść na bosaka na zbocze dymiącej lawy.

- Po prostu nie jest zbyt inteligentna, Louis.

- Niezasm, właśnie, że jest! Po prostu nie wie, co to ból! Kiedy oparzyła sobie stopy, zbiegła na dół powierzoną tysiąc razy bardziej śliskiej od lodu i nie upadła!

Zresztą, nie trzeba aż takich szczegółów. Wystarczy, że popatrzysz, jak chodzą. Niezgrabnie. Sprawy ani nie rozlewa. Nigdy tego nie robiła. Po prostu nie wiedziała, że tak można, rozumiesz? Nie potrzebuję więcej wcale być zgrabną i delikatną.

- U stworzeń innych, niż ludzie to, co mówisz nie byłoby wcale takie oczywiste - powiedział z pow

tpiewaniem Mówiący-do-Zwierząt. - Wierzę ci na słowo, Louis. Ale jak mam uwierzyć w dziedziczenie szczęścia?

- Ja wierzę. Muszę.

- Gdyby jej szczęście było niezawodne - wtrącił Nessus - to przede wszystkim nigdy nie próbowała nawet chodzić po gorącej lawie. A jednak od czasu do czasu jej szczęście bierze nas pod swoje skrzydła. Potęszając, nieprawdaz? Już dawno me żyłbyście, gdyby akurat nad polem słoneczników nie roz

gała się gęsta pokrywa chmur.

- Właśnie - potwierdził Louis. Ale chmury rozstąpiły się na tyle, by słoneczniki zdążyły dotkliwie parzyć kżna. W Niebie Teela jechała sobie wygodnie ruchomymi schodami, podczas gdy Louis musiał iść na piechotę. Jego dłoń, podobnie jak dłoń kżna, była jeszcze zabandażowana. natomiast jed

szkodą, jakiej doznała Teela była dziura w bagażniku jej skutera.

- Jej szczęście chyba jednak lepiej chroni ją, niż nas - powiedział.

- To chyba oczywiste. Wydajesz się czymś zmartwiony, Louis.

- Może i jestem. - przyjaciele Teeli dawno już przestali opowiadać jej o swych kłopotach. Teela



rozumiała, co to w ogóle jest. Wy tłumacz jej, czym jest ból, byłoby równie trudno, co wyjaśnić niewiedzę, co to jest kolor.

Nagłobieg serca? Teela nigdy nie przeżywała rozterek miłości. Mężczyzna, którego chciała, przychodził do niej, był, aż się nim znudziła, potem odcodził.

Od czasu do czasu dzięki swym nadzwyczajnym zdolnościom Teela stawiała się... trochę mna od reszty ludzi. Była ciągle kobietą, rzecz jasna, ale dysponującą niezwykłą siłą, odmiennymi zdolnościami i siłami. Ona też mnie kochała – mrugnął Louis. – Bardzo dziwne. Nie jestem przecież w jej typie. A jeśli mnie nie kochała, to...

– Słucham? Louis, mówisz do mnie?

Nie. Nessus. Mówię do siebie. – Jaka była prawdziwa przyczyna, dla której zdecydowała się przyłączyć do Louisa Wu i jego pistrkaty załogi? Zagadka gmatwała się coraz bardziej. Czy aby jej niespokojne serce nie kazało jej zakochać się w nieodpowiednim mężczyźnie, wziąć udział w męczącej i niebezpiecznej wyprawie, podczas której w każdej chwili groziła jej śmierć? To nie miało żadnego sensu. Nad tablicą przyrządów dostrzegł jakiegoś poruszonego Teela ockniętą się i umościła głowę. Spojrzała, nic nie rozumiejąc... i jej oczy wypełniły się przerażeniem. Patrzyła w dół. Na jej ślicznej twarzy pojawiło się obydnie znajome zaleśnienie.

Spokojnie – powiedział uspokajającym tonem Louis. – Tylko spokojnie. Odpusz się. Wszystkie w orzadku.

– Ale... – wyskrzeszała nie swoim, wysokim głosem.

– Wyszliśmy już z tego. Zostało daleko za nami. Obejrzyj się

Odwrociła głowę. Przez długą chwilę Louis widział tylko zmierzwiłone, czarne włosy. Kiedy pojawiła się znowu, jej twarz była już znacznie bardziej opłanowana.

– Nessus, powiedz jej.

Od ponad pół godziny lecieli z ciele. Okrotną prędkością dźwięku – odczuwał się lalecznik swoim łagłym głosem – Musisz wyhamować. Włóż palec wskazujący do otworu oznaczającego kolorem zielonym.

Chociaż ciągle przerażona, mogła przynajmniej wykonywać polecenia.

Teraz musisz wrócić do nas. Oddaliłeś się po obrzycim tuku. Ponieważ nie masz odpowiednich przyrządów, będziesz musiała stosować się cały czas do moich wskazówek. Na razie wykręć w kierunku przeciwnym do ruchu obrotowego Pierścienia.

– To znaczy, w którą stronę?

– Skręcaj w lewo tak długo, aż zobaczysz przed sobą podstawę Łuku.

– Nie widzę go. Muszę wznieść się nad chmury. – Sprawiała wrażenie, jakby już całkiem wróciła do normalności.

A jednocześnie bardzo się bała! Louis nigdy w życiu nie widział kogoś aż tak przerażonego. A już szczególnie Teeli.

Czy w ogóle widział kiedyś przerażoną Teelę?

Rzucił krótkie spojrzenie przez ramię. Ziemia była niewidoczna w ciemności, ale Oko, błękitne w skutnej poszwacie Łuku Nieba spoglądało na nich w skupieniu, lecz bez najmniejszego nawet śladu

\*

Louis był głęboko pogrążony w myślach, kiedy jakiś głos wypowiedział jego imię.

Tak? – ocknął się.

Nie jesteś żywy?

Zły? – powtórzył z zaskowaniem. Właściwie to, co zrobiła według normalnych kryteriów należałoby ocenić jako szaleństwo i monstrualną głupotę. Spróbował wywołać w sobie gniew, tak jak próbuje wywołać stary, zapomniany ból zęba. Nic z tego.

Postępowała Teel Brown nie można było ocenić według normalnych kryteriów.

Zabójczy mawy.

– Chyba nie. A właściwie, co tam zobaczyłaś?

Mogłam zginąć – powiedziała z narastającym gniewem Teela – Nie potrzebuję nade mną głową, Lo. Mogłam zginąć! Nie cę to nie obchodzi.

A cębiec?

Odrzuciła głowę, jakby właśnie ją spoliczkował. Dostrzegł jeszcze ruch jej dłoni i zniknęła. W chwili później zjawiała się z powrotem.

pchał go do przodu, zajmując zwalniającą się przestrzeń. Louis schował pośpiesznie laser za pas i chwycił mocno dłońmi flaczającą powłokę.

Poczuł, że wysiłkuje się z fotela... zaciśnął kurczowo palce... a w chwili później wisiał już na rękach pod skuternem, nad otwierającą się pod nim dźwięczniejszą stopową przepaścią.

– Mówiący!

– Jestem, Louis. Mam dezintegrator. Przekutę drugi balon?

– Tak! – Inaczej nigdy nie uda mu się przedostać na wieżę, a właściwie na spód skutera.

Balon nie zapadał się, jak pierwszy, lecz po prostu zamienił się w obłok nieważkiego pyłu. Kzin nie pozostawił mu żadnego.

– Na tapy finagla! – mrugnął Louis. – Dobrze, że wcelowałeś. – I zaczął się wspinać.

Po powrocie balonu szło mu nawet nie najgorzej. Czytał mimo spękania kilku godzin w pozycji głowej na dół. Louisowi udało się nie spaść. Prawdziwie kłopoty zaczęły się wtedy, kiedy dotarł do samego skutera. Nic bardzo miał jak na niego wejść, tym bardziej że maszyna przechyliła się wyraźnie w jego stronę.

Przycisnął się do skutera najbliższej, jak mógł, obejmując jego konstrukcję rękami i nogami, po czym zaczął nim kołysać.

Mówiący-do-Zwierząt wydawał jakieś zdumione odgłosy.

Skuter zabijał się w przód i w tył, więcej, jeszcze więcej. Louis przyjął założenie, że większość metalowych części znajdowała się w spodniej stronie pojazdu. Gdyby było inaczej, skuter przekreślałby się tylko bezustannie z boku na bok, nie zajmując na dużej zadnej ustabilizowanej pozycji. Poza tym, Nessus chyba nie zaproponowałby wtedy swego ryzykownego planu...

Skuter kołysał się niczym pełnomorskiej łodzi podczas sztormu. Louis czuł wzbraniającą nudności. Gdyby teraz zaczął wymiotować i zakrzusiłby się raz czy drugi, byłoby po nim.

Jeszcze jedno wahnięcie i maszyna wykonała wreszcie pełny obrót, potem zatoczyła się na bok, jeszcze raz, znowu obróci, jeszcze jeden. Louis, rozplaszczony niczym zaba zakrzusił się i stracił – co? Wczorajszego śniadanie? Nieprawie. Wymiotował z twarzy przyściśniętą do gładkiej, metalowej powierzchni. Nie przesunął się nawet o jeden cal.

Skuter kołysał się jeszcze trochę, ale znajdował się już w normalnym położeniu. Louis odważył się spojrzeć w górę.

Przeglądała mu się kobieta.

Wydawała się zupełnie tysa. Rysy jej twarzy przypominały Louisowi ową drucianą rzeczbę wiszącą w sali bankietowej Nieba. Rysy twarzy, a także jej wyraz. Była spokojna jak bogini lub meboszyk. A on marzył tylko o tym, żeby się gdzieś schować.

– Mówiący, jesteśmy obserwowani – powiedział zamiast tego. – Przekaz Nessusowi.

– Chwileczkę, Louis. Muszę dojść do siebie. Popelnieniem błęd! Przeglądał się swojej wspinaczce.

– W porządku. Ona jest. Myślałem, że jest zupełnie tysa, ale nie. Ma wąski pasek długich włosów, sięgających prawie do ramion – Nie powiedział, że te włosy są gęste i kruczoczarne i że opadają jej na jedno ramię, kiedy pochylała głowę, przysiadając mu się z zainteresowaniem. Nie powiedział też, że ma delikataną, pięknie ukształtowaną czaszkę, ani że jej oczy przeszysują go niczym oliwkę zanurzoną w martwinie.

Myśle, że jest Inżynierem. Albo należy do tej rasy, albo łąduje tym samym zwyczajom. Masz to wszystko?

– Tak. Gdzie nauczyłeś się tak wspinąć? Zupełnie, jakby przesiadała działać siła ciężkości. Kim jesteś, Louis?

Louis, przyścinęły kurczowo do wraku swego skutera, zaśmiał się na głos. Pochłonęło to resztę jego sił.

– Jesteś wyznawcą religii Kdaptia-kaznodziel – powiedział. – Przyszłaś się

– Wychoywano mnie w tej wierze, ale nauki nie trafiły mi do przekonania

– Jasne. Masz łączność z Nessusem?

– Tak. Użyłem syreny.

– Więc przekaz mu jest jakiegoś dwadzieścia sióp nade mną. Przegląda mi się, jakbym był węzłem. Nie twierdę, że jest mną zainteresowana, twierdę, że nie interesuje jej nic poza mną. Mruęga, ale nawet na moment nie odwraca wzroku.

Siedzi w czymś w rodzaju przekłonej budki. To znaczy, kiedyś przekłonej. Teraz to po prostu ogrodzona platforma. Siedzi na podłodze z przewieszonymi nogami. Pewnie stamtąd zawsze obserwowało więźniów.

- Znam tylko kuternek. Źródło zakłóceń znajduje się w waszym najbliższym sąsiedztwie. Niewyklucone, że bezpośrednio nad wami.  
Louis próbował spojrzeć w górę. Bez powodzenia. Między nim a sufitem znajdowały się dwa nadmuchane balony i podwoje skutera.  
- A więc jednak znaleźliśmy cywilizację Pierścienia - powiedział na głos.  
- Cywilizowana istota naprawiłaby trzeci automat, ten w waszym pomieszczeniu. Najważniejsze więc będzie... Muszę się zastanowić.

I lalecznik rozspiewał się Beethovenem a może Beatlesami - w każdym razie czymś klasycznym O ile Louis mógł się zorientować, potem zaczęły się już jego własne wariacje.  
Kiedy Nessus powiedział „muszę się zastanowić”, rozumiał to jak najbardziej dosłownie. Muzyka rozbzmiewała, zdawałoby się, bez końca. Louisowi chciało się pić i jeść. I bolała go głowa.  
Już kilka razy zdawałoby się, że lalecznik stracił nadzieję, kiedy lalecznik wreszcie przemówił:  
- Wolalbym co prawda użyć dezintegratora Slavera, ale trudno. Louis, to będzie zadanie dla ciebie. Jesteś potomkiem naczelników i lepiej od kina dasz sobie radę ze wspinaczką. Weź...

- Ze wspinaczką?  
- Będziesz zadawał pytania, jak skończyć. Weź laser i przekuj jego promieniem balon znajdujący się przed tobą. Kiedy poczujesz, że spadasz, chwyć się mocno jego powierzchni i wejdź po niej na wieżach skutera. Potem...

- Zwartowałeś, Nessus.  
- I lalecznik skończył. Chodzi o unieszkodliwienie wszelkich działających automatycznie urządzeń, które mogłyby zareagować na użycie broni. Najprawdopodobniej są dwa: jedno pod lub nad drzwiami, drugie gdziekolwiek indziej. Jedyną wskazówką dla ciebie będzie to, że z pewnością niczym się nie różni od pierwszego.

- Chyba, żeby się różniło. Jasne. Nie przejmuj się. Może mi tylko wyjaśnisz, jak, twoim zdaniem, mam chwycić się powłoki eksplodującego balonu, żeby... Nie, to niemożliwe.

- A jak ja mam dotrzeć do was wiedząc o tym, że znajduję się w zasięgu urządzenia mogącego zniszczyć także i mój skuter?

- Nie wiem.  
- Może oczekujesz, że Mówiacy zrobi to za ciebie?

- A czy koty nie potrafią się wspinąć?  
- Ja pochodzę od kotów niższych. Louis - odezwał się kzin - Nie zagoiła mi się jeszcze dłoń. Nie potrafię się szybko wspinąć. Zresztą, i tak propozycja pożerała łaci jest czystym szaleństwem. Nie rozumiesz, że on szuka po prostu pretekstu, żeby nas opuścić?

Louis doskonale to rozumiał. Zdaje się, że na jego twarzy odbiła się przynajmniej część strachu, który odczuwał, bowiem Nessus powiedział:

- Nie opuszczę was jeszcze. Poczekał. Może wymyślicie lepszy plan. Może pojawi się ten, który nas podsluchuje. Poczekał.

\*

Trudno się dziwić, że wsłusnęły głową w dół między dwa balony Louis stracił właściwie poczucie czasu. Nic się nie zmieniło. Nic się nie poruszało. Przez interkom słyszał pogwizdywanie lalecznika, i to wszystko.

Wreszcie zaczął liczyć uderzenia swojego serca. Siedemdziesiąt dwa na minutę. Mniej więcej.

Dokładnie dziesięć minut później powiedział:

- Siedemdziesiąt dwa. Minuta. Co ja robię?

- Mówiłś coś do mnie, Louis?

- Niezasł! Mówiacy, mam tego dosyć. Wolę umrzeć, niż zwartować. - Zaczął wyswobadzać ręce

- Przykro mi - Szarpnięcie. odpoczynek. Szarpnięcie, odpoczynek. Jeszcze trochę

- Propozycja lalecznika to pewna śmierć.

- Być może. - Wreszcie miał laser w dłoni. Skierował go w przód zniszczył pewnie tablicę przyrządów, ale to i tak nie miało większego znaczenia.

Naciągnął spust.

Przedzuraniony balon zaczął się powoli zapadać, zaś ten, który znajdował się za plecami Louisa

- Tam była dziura! - parsknęła z wściekłością. - Dziura i mgła.

- Duża?

- Skąd niby mam wiedzieć? - I znowu zniknęła.

Slusnie. Jak mogła ocenić jej wielkość, nie dysponując żadną skalą porównawczą?

Ryzykuje życiem, pomyślał Louis, a potem jest na mnie zła za to, że me jestem na nią zły. Czyżby po prostu próbowała zwrócić na siebie uwagę? Od jak dawna to robi?

Gdyby na jej miejscu znalazł się ktokolwiek inny, już dawno by nie żył.

- Ale nie ona - powiedział na głos. - Nie ona...

Czy boję się o Teelę Brown?

A może zwartowałem? W jego wieku wszystko mogło się zdarzyć. Człowiek tak stary jak Louis Wu widział już niejednokrotnie, jak zdarzają się rzeczy niemożliwe. Dla kogoś takiego granica między fantazją a rzeczywistością mogła się zatrzeć, albo nawet zupełnie zniknąć. Mógł wpaść w ultrakonserwatyzm, odrzucając to, co niemożliwe nawet wtedy, gdy było to już rzeczywistością. Jak Krigen Perel, który nie chciał uwierzyć w istnienie napędu bezprzewodowego, ponieważ było to niezgodne z drugim prawem termodynamiki. Mógł też wierzyć we wszystko, co mu powiedziano, jak Zero Hale, który wędrował po poznanych Kosmosie skupując rzekome pamiątki po Slaverze.

Wszędzie czyhało szaleństwo.

- Nie! - Jeśli Teela Brown unika pewnej śmierci tylko dlatego, że uderza głową w tablicę przyrządów, to jest to coś więcej, niż przypadek.

Dlaczego doszło do katastrofy „Klamcy”?

Między Louisem a skuterm kżina pojawił się nowy obiekt.

- Witamy - powiedział Louis.

- Dziękuję - odparł Nessus. Sądząc po tym, jak szybko się zjawił, musiał korzystać z dopalacza. Mówiący zaprosił go przecież do towarzystwa nie więcej niż dziesięć minut temu.

Znad tablicy wskaźników przyglądały się Louisowi dwie trójkaty, na pół przejryste głowy

- Czuję się teraz bezpieczny. Za pół godziny, kiedy dołączy do nas Teela, będę się czuł jeszcze bezpieczniejszy.

- Dlaczego?

- Szczęście. Teeli Brown oślania także i nas, Louis.

- Nie wydaje mi się. - Louis pokręcił z powątpiewaniem głową.

Kzin w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Tylko Teeli nie było na linii.

- Niepokoi mnie twoja arogancja - powiedział Louis. - Hodowanie ludzi i kzinów świadczy o wręcz szatańskiej arogancji. Słyszalesz kiedyś o Szatanie?

- Czytałem o nim w książkach.

- Słuch. Ale jeszcze większa od twej arogancji jest twoja głupota. Beztrosko uznajesz za oczywiste, że co jest dobre dla ciebie, jest też dobre dla Teeli. Dlaczego tak uważasz?

- No... - zająknął się Nessus. - To chyba naturalne. Jeżeli jesteśmy zamknięci w tej samej kabine, to uderzenie meteorytu jest równie niebezpieczne dla niej, jak i dla mnie.

- Zgadza się. Przypuśćmy jednak, że przelatujące nad miejscem, w którym Teela chce wylądować, ty zaś nie. Jeżeli akurat wtedy nastąpi awaria silnika, to korzyść odnosi wyłącznie Teela, nie ty.

Co za nonsens! Dlaczego Teela chciałaby lądować na Pierścieniu? Przecież nawet nie wiedziała o jego istnieniu, dopóki jej o tym nie powiedziałem!

- Po prostu ma szczęście. Gdyby miała tu przybyć nie wiedząc o jego istnieniu, z pewnością by przy-

była. Wtedy to szczęście trudno by już nazwać sporadycznym i zawodnym. Prawda, Nessus? Działaloby cały czas. To sprawa szczęścia, że jednak ją znalazł. To sprawa szczęścia, że nie udało ci się skontaktować z żadnym innym kandydatem. Te ciągle omyłkowe połączenia, pamiętasz?

- Ale.

- To sprawa szczęścia, że się rozbiłszy Przypominasz sobie, jak kłóciłeś się z Mówiącym o to, kto ma dowodzić ekspedycją? No więc, teraz już wiesz.

- Ale dla czego?

- Nie mam pojęcia. - Louis przejechał dłonią po odrastających mu włosach.

Czy niepokoi cię pytanie, Louis? Mnie bardzo. Co takiego znajduje się na Pierścieniu, co by mogło okazać się dla niej atrakcyjne? Przecież tu jest... tu jest niebezpieczne. Dziwne burze, złe zaprogramowane automaty, pole słoneczników, nieobliczalni tubylcy - wszystko to stanowi zagrożenie dla nasze-

go życia.

- Ha! - wykrzyknął triumfalnie Louis. - Slusnie. To część odpowiedzi. Po prostu dla Teeli nie istnieje

coś takiego, jak niebezpieczeństwo, rozumiesz? Zanim podejmemy jakikolwiek działanie powinniśmy wziąć to pod uwagę.

Lalecznik kilka razy otworzył i zamknął swoje bliźniacze usta.

To trochę komplikuje sytuację, prawda? - zaczęła Loui. Rozważywanie problemów stanowiło dla niego przyjemność samą w sobie. Ale to tylko część odpowiedzi. Jeżeli przyjmemy, że Lalecznik zaczął przerażać krzyk.

Loui był wstrząśnięty. Nie oczekiwał, że Nessus aż tak bardzo się tym przejmie. Lalecznik krzycał jeszcze przez chwilę, po czym bez widocznego pospóchu schował obie głowy pod brzech. Obraz mierz obok pojawiła się twarz Teela.

Rozmawiając o mnie - stwierdziła bez większej emocji w głosie. (Nie potrafili ukryć urazy. Czy niejęność utrzymywania urazy stanowiła jeden z czynników decydujących o zdolności przeżycia?) - Pro- wolałam coś z tego zrozumieć, ale nie mogłam. Co mu się stało?

To przez moją niewypałą gębę. Przestraszyłem go. Nie wiem, jak cię teraz znajdziemy.

Urządziłam lokację nie są tylko na skuterze Lalecznika. Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego zatrzaszczył się o to, żebyśmy nie potrafili uruchomić dopalaczy.

Też tak mi się wydaje.

Chciał mieć pewność, że uda mu się uciec przed rozszczęczonym kzinem. Nie ważne. Jak dużo zro- umiałas?

Niewiele. Pytałeś się nawzajem o to, dlaczego chciałam tutaj przylecieć. Nie chciałam. Louis sknął głową. Jasne. Jeżeli Teela miała tu przybyć, to musiała przecież mieć jakiś motyw. Nie było w tym nic dziwnego.

Kochała go dlatego, że tak kazała jej własne szczęście. A jemu przez moment zdawało się, że kocha o dla niego samego...

Przełączyłam nad miastem - powiedziała nagle Teela. - Widzę trochę światła. Kiedyś musiało tu mie- kać masę ludzi. Mówiący na pewno ma je na swojej mapie.

Warto mu się dokładniej przyjrzeć?

Przecież mówię ci, że tu są światła. Może. Fonia i wizja zniknęły bez żadnego ostrzeżenia, jak się nożem.

Cisza.

Włączył syrenę. Tętniąc na długich sztychach głowy Lalecznika przypominały rodzinne węzy, ewakuującą się z płonące- zo. W innych okolicznościach byłoby to nawet śmieszne: wijące się sztyce, wygięte w dwa znaki zapy- nia.

Co się stało, Louis?

Pojawiła się także twarz kzina. Siedział w pełnej gotowości, czekając na informacje i wyjaśnie- nia.

Coś stało się z Teela.

To dobrze - powiedział Nessus i schował głowy pod brzech. Louis włączył syrenę, odczekał chwilę, po czym włączył ją znowu. Lalecznik zareagował identycz- iak poprzednio. Tym razem Louis odebrał się pierwszy:

Jeżeli nie sprawdzimy, co się z nią stało, zabiję cię - powiedział spokojnie.

Mam tasp, odpali Nessus. - Skonstruowałam go tak, żeby działał zarówno na kzinów, jak i na ludzi. Widziałeś, że działa.

Sądziś, że to mnie powstrzyma?

Tak, Louis. Tak sądzę.

O co się zatoczył? - zapytał powoli Louis.

Lalecznik zastanowił się przez chwilę.

Próba uratowania Teeli będzie z pewnością bezpieczniejsza od takiego zakładu. Zapomniałem, że a jest twoją samicą. Jedną z jego głów spojrziała na wskazania przyrządów - Zniknęła mi z lokatora.

Czy to znaczy, że jej skuter został uszkodzony?

spróbowali. Czy rozumiecie, co to oznacza? Wszystkie elektryczne i elektromagnetyczne obwody wa- szych skuterów uległy przepaleniu w momencie ataku. Powrotny atak na Mówiącego, a być może i na ciebie, nastąpił w chwili, kiedy znaleźliście się we wnętrzu budynku.

Który prawdopodobnie jest po prostu więzieniem - wyskoczył Louis. Odnosi wrażenie, że za- masł głowy ma balon, do którego natłona dwa razy więcej wody, niż wynosi jego maksymalna pojem- ność. Mówił z coraz większym trudem. Ale przecież nie mógł pozwolić, żeby inni wszystko za niego ro- bili, nawet jeżeli to „wszystko” polegało tylko na smutku domysłów.

A jeżeli istotnie jest to więzienie - podjął to skąd wiemy, czy nie ma tu jeszcze jakiegoś sprytnego urządownika zamistalowanego na wypadek, gdyby któryś z więźniów znalazł się tutaj razem ze swoją bro- nią? Tak, jak my, na przykład.

Na pewno jest coś takiego - odpali Lalecznik - Światła twojego skutera dowodzą jednak, że nie działa. Z pewnością musi to być automat, inaczej pilnowałby was jakiś strażnik. Uważam, że Mówiący może spokojnie korzystać z dezintegratora Slavera.

To znakomicie - wyraził swą opinię Louis. - Tyle tylko, że rozglądałem się dookoła i...

On i Mówiący do Zwierząt pływali do gór nogami w napowietrznym Morzu Sargassowym. Jedno z trzech archaicznych, odrzutowych obrotów miało cugle właściciela - skielec był mały, ale z całą pewno- cią należał do człowieka. Na białych kościach nie pozostał nawet jeden strzęp skóry, w przeciwieństwie do korowców resztek ubrania, które musiało być wykonane z jakiegoś niezwykle wytrzymałego maie- riału.

Dwa pozostałe okna były puste, ale przecież kości nie rozplynęły się w powietrzu... Louis odchylił głowę do tyłu... jeszcze bardziej...

Podłoga miała kształt olbrzymiego lejka. Dokoła jego ścian znajdowały się ciele. Na dno, usłane biele- jącymi kośćmi, prowadziły spiralne schody.

Nie dziwnego, że właściciele obrotu nie zdecydowali się na odpięcie paków. Co prawda inni, więźniem podobne jak on, wolli krótki lot ku czekającej na dole śmierci niż powolne konanie z głodu i pragnie- nia.

Nie bardzo wiem do czego miałyby użyć tego dezintegratora - powiedział Louis.

Ja też się nad tym zastanawiam.

Jeżeli zrobi dziurę w ścianie, nie to nam nie da. Tak samo w suficie, do którego zresztą nie moglibys- my dosięgnąć. Gdyby uszkodził generator pola elektromagnetycznego, czekaliby nas upadek z wysoko- ści dziesięćdziesięciu stóp. Jeżeli jednak nie zrobi nic, niebawem zaczniemy powoli umierać. Wtedy jedyną alternatywą będzie upadek.

Zgadza się.

Potrzebuję więcej danych. Czy któryś z was mógłby opisać dokładnie to, co widzi dokoła siebie?

Robił to na zmianę. Mówiący włączył reflektory swojego skutera, dzięki czemu w ich więzieniu zro- biło się niemal zupełnie jasno.

Kiedy jednak Louis zamilkł, prowadzawszy wszystko, co miał do powiedzenia, wisiał bez zmian gło- wą w dół nad groźną przepaścią.

Poczuł wzbierający mu gdzieś głęboko w gardle krzyk, na razie skrzyty jeszcze pod wieloma warstwami opanowania i spokoju, ale niedługo te warstwy zaczęły jedna po drugiej pękać i krzyk będzie przesuwał się coraz bliżej powierzchni...

Czy Nessus zostawił ich na pastwę losu?

Odpowiedź na to pytanie była wręcz oczywista. Wszystko przemawiało za tym, żeby tak zrobił, nie za tym, by uczynił coś innego.

Chyba że Lalecznik cugie miał nadzieję znaleźć tutaj przedstawicieli rozwiniętej cywilizacji.

Wygląd tych pojazdów i wiek szkieletołów świadczy o tym, że od bardzo dawna nikt tutaj nie zaglądał tutaj trafić. Dlatego te urządzenia jeszcze działają - przez cały czas nie były w ogóle używane.

Być może - powiedział Nessus. - Ktoś podsłuchuje naszą rozmowę.

Loui nadstawił uszu. Zauważył, że Mówiący do Zwierząt uczynił to w sensie jak najbardziej dosło- wnym.

Trzeba niezwykle wyrafinowanej techniki, żeby przechwycić kierunkowy sygnał w obwodzie za- mkniętym. Ciekawe, czy nasz podsłuchawca rozumie, o czym mówimy.

Co wiesz o jego położeniu?



-- Spróbuj was wyrwać. Louis, przełącz sterowanie na mnie.

Louis zrobił to.

Skuter szarpnął się pod nim, jakby jakaś olbrzymia stopa kopnęła go mocno w sam dziób, po czym silnik ryknął w agonii i zgasł.

Tuż przed nim i za nim wystrzeliły balony zderzeniowe, ściskając go niczym para troskliwych, złożonych dłoni. Louis ledwie mógł poruszyć głowę.

Spadał

-- Spadam -- oznajmił. Jego dłoń, przyciśnięta do tablicy przyrządów przez naprężoną, pneumatyczną powłokę dotykała ciągle wylęcniaka sterowania. Odczekał jeszcze chwilę, mając nadzieję, że jego skuter podprządkuje się poleceniom łalecznika. Domy w dół rosły jednak zbyt szybko. Louis włączył z powrotem ręczne sterowanie.

Żadnej zmiany. Ciągłe spadał.

Mówiący, nie wylączaj sterowania -- powiedział ze spokojem, który zdumiał jego samego. To nie daje.

Ponieważ widział jego twarz, czekał bez mrugnienia okiem. Cekał na ostatnie spotkanie z Pierścieniem

Hamowanie nastąpiło nagle i z olbrzymią siłą. Skuter odwrócił się do góry dnem, dzięki czemu Louis Wu został potraktowany przeciżeniem 5 g wisząc głową na dół.

Louis Wu zemknął

Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się cały czas w tej samej pozycji, utrzymując się na miejscu jedynie dzięki ściskającemu go balonowi. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu głowa. W jego przetrwonym mózgu pojawił się niewyraźny obraz kłającego na czymś światłostoi Manonickarza usiłującego rozsupłać splecione sznurki, podczas gdy Louis Wu -- manonетка podrygiwał na scenie głową na dół.

\*

Unoszący się w powietrzu budynek był niski, szeroki i bogato zdobiony. Kiedy skutery zbliżyły się do niego, w ścianie otworzyły się szerokie wrota i poświeciły je.

Przesuwali się powoli przez ciemne wnętrza, kiedy skuter kżina bez żadnego ostrzeżenia odwrócił się do góry nogami. Momentalnie strzeliły balony, ratując Mówiącego przed fatalnym upadkiem. Louis usmiechnął się kwasno. Już wystarczająco długo znajdował się w tym niewesołym położeniu, żeby docenić wartość czystego towarzystwa.

-- Wasze położenie zdaje się wskazywać na to, że jesteście utrzymywani w powietrzu przez pole elektromagnetyczne -- mówił Nessus. -- Takie pole może podtrzymywać metale, ale nie protoplazmę, toteż Louis poruszył się, ale nie za mocno. Gdyby wysiłkami się spomiędzy balonów, czekałaby go pewna śmierć. Drzwi za nim zatrzasnęły się zbyt szybko, żeby wzrok Louisa zdążył przyzwyczaić się do ciemności. Nie widział dosłownie nic. Nie miał pojęcia, jak daleko było do podłogi.

Ustyszał, jak Nessus pyta:

-- Możesz sięgnąć tam ręką?

I odpowiedź kżina:

-- Tak, jeśli się wcisnę... Ourrr! Miałeś rację. Obudowa jest gorąca.

-- W takim razie silnik został spalony. Skutery są do puczego.

-- Dobrze, że ten foteł nie przewodzi ciepła.

Trudno się dziwić, że Inżynierowie tak doskonale opanowali władanie polami elektromagnetycznymi. W końcu; nie znali tak wielu innych rzeczy: napędu hiperprzestrzennego, sztucznej grawitacji, pola Slavera...

Louis wytrzeszczał oczy, próbując cokolwiek zobaczyć. Mógł odwrócić głowę, czując, jak szorstka powłoka balonu drapie jego policzek. Nic z tego -- dokoła panowała doskonała ciemność. Przesuwając dłoń cał po całym poczuł wreszcie pod palcami wylęcniak głównych reflektorów. Nie bardzo wiedział, dlaczego miałby działać, ale na wszelki wypadek wcisnął go.

Snopy nitego światła rozciły ciemność, docierając do odległej, wyętej lukrowato ścian Dokoła, na tej samej wysokości unosił się jakiś tużin najróżniejszych pojazdów. Były wśród nich pra wdżwe miniaturki, niewiele większe od odrzutkowych olster, wehikuły zbliżone wielkością do ich skute rów, a nawet coś w rodzaju ciężarówku o przeszkłonej kabine.

Wśród tego latającego smierza znajdował się również odwrócony podwozem do góry skuter Mówiącego-do-Zwierząt. Spod wzdętych balonów wyglądała naga głowa i wyciągnięta z wysiłkiem ręka kżina. Światło powiedział Nessus. -- Znakomicie. Właśnie miałem zamiar zaproponować, żebyście tego

Tak. Nadjnik był umieszczony w pobliżu silnika. Prawdopodobnie dostała się w zasieg działającego automatu podobnego do tego, który zniszczył nasze komunikatory.

-- Him. Ale wiesz, gdzie była, kiedy poprzednio przerwała połączenie?

-- Znam kierunek, ale nie odległość. Możemy jej się tylko domyślać na podstawie niezbyt dokładnych obliczeń.

Skreślił w kierunku, który podał łalecznik. Po dwóch godzinach ciągle jeszcze nie natrafili na żadne światła i Louis zaczął się zastanawiać, czy aby nie zgubili tropu.

Trzy i pół tysiąca mil od Oka powinien znajdować się port, a za nim zatoka wielkości Oceanu Atlantyckiego. Też z pewnością nie dotarła daleko. Port był ich ostatnią szansą.

Niespodziewanie na schodzącym w dół z boku góry pojawiły się światła.

-- Stać! -- szepnął przez zaciśnięte zęby Louis, nie bardzo zdając sobie sprawę, dlaczego to robi. A kżin zdążył już zatrzymać ich w powietrzu.

Wisieli bez ruchu, przyglądając się okolicy.

Miasto. Wszędzie miasto. W dół, w błękitnej poświacie Łuku Nieba widzieli domy o okrągłych naczach, oddzielone od siebie żuilkami zbyt wąskimi, żeby je można było nazwać ulicami. Z przodu domów były coraz większe i większe, aż w końcu wszystkie sięgały kilkudziesięciu pięter. Niektóre ciągle unosiły się w powietrzu.

-- Tutaj inaczej budowali -- szepnął Louis. -- Nie tak, jak w Zignamuclickick. Różne style...

Drapacze chmur -- powiedział Mówiący-do-Zwierząt. Po co je stawiać, kiedy ma się do dyspozycji tyle miejsc?

-- Aby udowodnić, że się potrafi. Nie, to bez sensu. Po zbudowaniu Pierścienia nie musieli niczego komu udowadniać.

-- Może te wysokie domy stawiali później, już w schyłkowej fazie cywilizacji.

Światła: oślepiające białe rzędy okien, kilka olbrzymich wież oświetlonych od parteru po dach. Wsistkie znajdowały się w obrębie czegoś, co musiało kiedyś stanowić centrum miasta, tam bowiem równo zgrupowały się wszystkie latające budowle. Było ich sześć.

I jeszcze jedno: jarząca się pomarańczowym blaskiem plama, w sporej odległości do centrum.

\*

Siedzieli wokół mapy kżina na drugim piętrze jednego z przypominających ule budynków.

Mówiący uparł się, żeby wprowadzić do środka skutery. Względę bezpieczeństwa. Światło pochodzące z reflektorów jego pojazdu, skierowanych na wyęty lukrowato ścianę. Stół o blacie rzeźbionym w kształcie miski rozpadł się w pył, gdy Louis otarł się o niego. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu. Zdobiące niegdyś ścianę malowidło spoczywało u jej podnóża w posłaci kolorowego proszku.

Louis czuł, jak wiek miasta osiada mu na barkach kamiennym ciężarem.

Kiedy powstawały zapisy na taśmach, które widzieliśmy w Niebie, było to jedno z największych miast Pierścienia -- powiedział kżin. Przesunął zakrzywiony pazurek po mapie -- Miasto powstało początkowo według starannie obmyślanej koncepcji, na planie półkola opierającego się o brzeg morza. Niebo zbudowano zapewne dużo później. Kiedy miasto rozrosło się daleko poza początkowe granice -- Szkoda, że nie sporządziłes jego planu -- zauważył Louis. Na mapie kżina widniało jedynie zamalowane półkole.

Mówiący złożył mapę.

-- Taka olbrzymia metropolia kryje z pewnością wiele tajemnic. Musimy być bardzo ostrożni. Jeżeli cywilizacja Pierścienia ma się kiedykolwiek odrodzić, to właśnie tu musi szukać tajników zaginionych technologii.

-- A co z metalami i innymi surowcami? -- zaoponował Nessus. -- Ta cywilizacja już nigdy nie osiągnęła dawnej świetności. Nie ma rud metali, które można by wydobywać, nie ma paliw płynnych. Jedynymi dostępnymi narzędziami pozostają drewno i kość.

-- Widzieliśmy przecież światła.

Rozrzucone bez żadnego ładu i składu. Świecą po prostu tam, gdzie działają jeszcze źródła energii. Ale oczywiście może je mieć rację. Jezeli mieszczą tu ci, którzy zaczęli znowu wytwarzać bardziej skomplikowane narzędzia, musimy się z nimi skontaktować. Ale to m y będziemy ustalać warunki.

-- Skąd wiesz, że już nie zlokalizowano naszych interkomów?

-- Sądzę, że działają w kierunkowym obwodzie zamkniętym.

Louis słuchał tego jednym uchem. Po głowie gonny mu niespokojne myśli. „Może być ranna. Może leżeć gdzieś, bezzadna, czekając na pomoc”.

Ale jakos nie mógł w to uwierzyć.

wszystko wskazywało na to, że Teela wpakowała się na jakiś stary automat, może jakąś broń, która szkodliwie nadaje i system napędowy. Albo i coś więcej...

Skąd więc nie mógł wywołać w sobie potrzeby szybkiego działania? Louis Wu, roztrząsający wszystkie za i przeciw jak nieczuły komputer, podcał gdy jego kobiecie zagraża nieznane niebezpieczeństwo kobiecie... Ale tu chodziło jeszcze o coś innego.

Każ głupota ze strony Nessusa było sądzić, że człowiek, który miał po swojej stronie szczęście bę-miał dokładnie tak samo, jak inni ludzie! Gdyby na miejscu Teeli znalazł się jakiś lalecznik, to myślałby tak samo, jak na przykład Chiron?

byłaby, że lek był już zakodowany w ich genach. że każdy człowiek musiał dopiero nauczyć się bać. Musimy przyjąć, że szczęście Teeli opuściło ją tylko chwilowo – mówił tymczasem lalecznik. – Na-t tego wysnuć wniosek, że nie się jej nie stało.

Co takiego? – zdumiał się Louis. Z pewnością, jakby Nessus podслуchał jego myśli. Awaria skutera musiałaby zakończyć się jej śmiercią. Jeżeli przeżyła, została uratowana naty-jasni, kiedy tylko jej szczęście znowu zaczęło działać.

To śmieszne! Nie oczekujesz chyba, że siła psychiczna podporządkowuje się jakimkolwiek pra-logika jest nieubлагana, Louis. Twierdząc, że Teeli nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeńst-jeżeli żyje, może poczekać. My zaś zaczekamy do rana, żeby rozjeżdżać się po okolicy.

A co potem? Jak ją znajdziemy? Jeżeli sprzyjało jej szczęście, trafiła w dobre ręce. Będziemy musieli je odszukać. Jeśli ich nie znaj-my, nie pozostanie nam nic innego, jak czekać na jakiś sygnał. Istnieje wiele sposobów, z których nie mogła skorzystać.

Oni używają światła – wtrącił Mówiący. Zgadza się. I co z tego? Możliwe, że reflektory jej skutera ciągle działają. Jeżeli tak jest, z pewnością zostawi je włączone. Bo jest!

I nie potrafili wyobrazić sobie niebezpieczeństwa. Będzie chciała, żebyśmy ją znaleźli i nie przyjdzie a myśl, że może ją znaleźć ktoś inny. Jeżeli reflektory również nie działają, ma jeszcze laser. Chcesz powiedzieć, że nie będziemy w stanie znaleźć jej w dzień. Masz rację – przyznał Louis.

Przed wszystkim musimy zbadać miasto przy świetle dziennym – powtórzył Nessus. – Jeżeli znaj-my jakichś mieszkańców, to znakomicie. Jeżeli nie, to jutro wieczorem rozpoczniemy poszukiwania

Pozwoliłbyś leżeć jej gdzieś przez trzydzieści godzin! Ty zimmokrwisty. Nieżal! Ta pomarańczowa a to mogła być właśnie ona! Pionage budynki! Mówiący zerwał się z miejsca.

Słusznie. Musimy to zbadać. Jestem Najlepiej Ukrytym tej floty. Powtarzam, że użyteczność i wartość Teeli Brown nie uspra-żliwa ryzyka nocnego lotu nad obcym miastem.

Znajdujemy się na potencjalnie wrogim Terytorium. Przejmuję dowodzenie. Udagamy się na po-wanie zaginionego członka wyprawy. Zostaje masło.

zostałe skutery znajdowały się na parterze. Louis schodził po schodach możliwie szybko, ale i znie, bowiem wiele stopni rozpadało się pod najlżejszym nawet śpiągnięciem.

Nessus spojrzął w dół zza balustrady. Został tutaj, Louis. Uważam to za bunt. us nie odpowiadał. Jego skuter wzniósł się w górę i dołączył do czekającego na zewnątrz kżma.

była chłodna. Blask Łuku Nieba kapał masło w powodzą granatowych cieni. Dwa skutery po-żyły w kierunku jarzacej się pomarańczowo płamy, w bok od rzęście oświetlonych wiez centrum. masło, masło, masło. Nigdzie nawet skrawka parku czy skweru. Po co budować tak ciasno, kiedy o się do dyspozycji tak ogromną przestrzeń? Nawet na zatłoczonej Ziemi ludzie lubili mieć dostate-duzo miejsca, żeby nie trącać się ciągle lokciami.

– Zostaliśmy nisko – odezwał się głos kżma. – Jeżeli okaże się, że to na przykład oświetlenie ulic, wra-camy do Nessusa. Nie można wykluczyć, że Teela została jednak zestrzelona.

Dobra powiedział Louis. W duchu jednak pomyślał: Patrząc tylko, jaki jest ostrożny w obliczu czyśto hipotetycznego przeciwnika. Słyny z odwagi kżm w porównaniu z brawurą Teeli wydawał się przynajmniej równie tchórzliwy, jak lalecznik.

Gdzie ona teraz była? Ranna, martwa, czy może tylko przestraszona? Poszukiwania cywilizowanych mieszkańców Pięścienia rozpoczęli jeszcze przed przymusowym ląd-waniem „Klamcy”. Czyżby teraz miał zakończyć się powodzeniem? Chyba tylko ta możliwość powstrzymała Nessusa przed tym, żeby zostawić Teelę jej własnemu losowi. Groźby Louisa nie nie zna-czyły i lalecznik doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Jeżeli owi cywilizowani mieszkańcy Pięścienia mieli okazać się ich wrogami... Cóż, nie było to wcale takie niemożliwe. Skuter zaczął zbaczac lekko w lewo. Louis skorygował kurs.

Louis... – odezwał się trochę niepewnie Mówiący. – Zdaje się, że są jakieś zakłócenia... – A potem ostrym, nawiąknym do wydawania rozkazów głosem – Zawracaj! Natychmiast zawracaj!

Głos kżma zdawał się wierać mu bezpośrednio w mózg. Louis momentalnie wykonał polecenie. Skuter dalej leciał naprzód.

Louis naparł całym ciężarem ciała na drążek sterowy. Bez rezultatu. Skuter pędził w kierunku skąpa-nego w światłach centrum.

– Coś nas złapało! krzyknął Louis i w tym momencie dopadło go przerażenie. Byli tylko marionet-kami! Wielki i wszechwładzący Maronelkartz poruszał nim zgodnie z sobie tylko znanym scenariuszem. Louis Wu znał jego imię.

Szczęście Teeli Brown. Bardziej praktyczny i trzeźwo myślący kżm włączył syrenę alarmową. Przeraziłwy dźwięk wznosił się i opadał, zdawałoby się, bez końca. Louis zaczął się zastanawiać, czy lalecznik w ogóle zarcaguje. Przypomniała mu się bajka o chłopcu, który krzyknął „Wilk!” o jeden raz za duzo. W tej samej jednak chwili interkom ożył podeksycowanym głosem Nessusa

– Tak? Tak? Co się stało? Oczywiście. Musiał przecież najpierw zejść na dół. – Zostaliśmy zaatakowani – powiedział z zadziwającym spokojem kżm – Utraciłszy kontrolę nad skuterami. Lecimy w nieznane miejsce. Co proponujesz?

Nie sposób było zgadnąć, o czym myśli lalecznik. Jego szerokie, chwytnie wargi poruszały się bezu-stannie, ale trudno było z tego cokolwiek wywnioskować. Czy będzie mógł im pomóc? A może znowu wpadnie w panikę?

– Obróćcie interkom tak, żebym mógł widzieć, którzy lecicie. Jesteście ranni? – Nie – odparł Louis. – Ale nie możemy zrobić. Nawet wyskoczyć. Lecimy za wysoko i za szybko. Kierujemy się prosto w stronę centrum.

– Dokąd? – To ta grupa jasno oświetlonych budynków. Pamiętajsz? – Tak. Lalecznik zastanawiał się nad czymś przez chwilę. – Jakis silny sygnał zagłusza wasz ślad. Mówiący, podał mi odezwy przyrządów.

Podczas gdy kżm recytował szereg liczb, znaleźli się całkiem blisko oświetlonej części miasta. – Przelatujemy nad tymi pomarańczowymi światłami – przerwał kżmowi Louis.

– Czy to naprawdę światła uliczne? – Tak i nie. Światło wydobywa się ze wszystkich otworów drzwiowych. Jest jakies dziwne. Myślę, że to kiedyś rzeczywistość było oświetlenie ulic, tyle że z czasem trochę przygasało.

– Też tak uważam – odezwał się kżm. – Nie chciałbym cię poganiać. Nessus, ale jesteśmy coraz bliżej. Zdaje się, że prowadzi nas do tego największego budynku w samym środku. – Widzę go. Podwójny stożek z oświetloną górną połową. – Zgadza się.

## Rozdział XIX W pułapce

## Prolog

Onahill położone jest w północnych rejonach Drugiego Kontynentu na płaskim, skalistym wzgórzu, wyrosłym z nieckowatej pustyni zwanej Allone. Jak okiem sięgnąć, widać tu jedynie pomarszczoną powierzchnię jałowego żwiropiasku i nieliczne, suche badyle Anubissu. Od zachodniej strony wzgórza dostrzegalne są mizerne resztki szlaku, wiodącego do dawnej osady Oneman, niegdyś zamieszkiwanej przez piaskarzy. Szlak pochodził z okresu gdy Onahill było małą oazą. Dzisiaj Oneman nazywa się Eghman i znajduje się 60 kilometrów dalej na zachód od pierwotnego miejsca. Piaskarzy zastąpili strażnicy rezerwatu. Onahill jako oaza umarło śmiercią naturalną dawno temu, lecz znów stało się celem pielgrzymek. Funkcjonuje obecnie jako atrakcja turystyczna i naukowa, która poruszyła światem.

Raz na trzy dni z Eghman przylatuje helikopter zaopatrujący Onahill w świeże pieczywo i prasę. Raz na tydzień z Ed-

- Roe, ty zdaje się jesteś dziennikarzem?  
- Dziesięć lat temu mógłbyś tak o mnie powiedzieć. Od tego czasu zarabiam jako królik doświadczalny i z dziennikarstwem niewiele mam wspólnego. Czemu pytasz?  
- Dysponuję dobrym materiałem. W doświadczonych rękach stałby się, przypuszczam, coś wart. Mnie niestety brakuje zdolności i cierpliwości. Szkoda, że ty zerwałeś... może zainteresowałbyś się jednak?

- Cóż to jest? - zapytałem przez grzeczność.  
- Nazwałbym to „Historią Onahillskiego Guida”...  
- Mówisz o Phianie Melbren? Tym niefortunnym przewodniku?

- Tak. Zupełnie przypadkowo wszedłem w posiadanie jego pierwszego monologu dla turystów. I potem - następnych. Wiesz... ja od paru lat kolekcjonuję różne odmiany gwaru. Wszędzie wożę z sobą magnetofon. I jeśli jest odpowiednia liczba osób, podłączam mikrofon i nagrywam. Nie masz pojęcia jakie to zabawne. Jeśli będziesz chciał, puszcę ci kasety z nagraniem gwaru w sali restauracyjnej statku

# Plantator wydm

Maciej Gałaszek

gate, bazy położonej na krawędzi pustyni, przybywa awionetka, pokonując 400 kilometrów dla piętnastu bogatych turystów. Co dwa tygodnie z tejże bazy leci do Onahill niewielki, ale pakowny samolot transportowy spółki Thohar Co. Raz na dwadzieścia lat pada deszcz. Anubiss kwitnie co dwadzieścia trzy lata. Wreszcie raz na półtora wieku nad Allone niebo przeszywa kometa Suwaków. To jeszcze nie wszystko, co dzieje się godnego uwagi w tym wyszukanym zakątku świata. Od czasu do czasu, nieregularnie do Onahill docierają tak zwani ginesmani. Piechotą, psim zaprzęgiem, importowanym wielbłądem, dżipem, przerobionym śniegołazem, koniem z hodowli Onecossac, buldożerem, balonem. Zdarzają się spadochroniarze. Pozostaje jeszcze wspomnieć o firmach hitaskich nagminnie urządzających na pustyni polygon doświadczalny dla swych robotów.

Ginesmani, których eskapady często kończą się śmiertelnie, ścigani są przez strażników rezerwatu, na którego teren muszą wejść, chcąc czy nie, lub którego granice muszą przynajmniej naruszyć, gdy korzystają z drogi powietrznej. Za podobne wykroczenia tropią ich żandarmi piątego korpusu sił bezpieczeństwa stacjonującego w Edgate. To jednak ginesmanów nie odstrasza. Złapani, tłumaczą się chęcią udzielenia pomocy pewnemu facetowi z Onahill. Oczywiście nikt nie podnosi ręki na tę dorabianą ideologię. Tym bardziej że pseudozbawicieli częściowo ośłania ustawa o Prawach Sekt z 58 roku. Płacą więc tylko symboliczną sumę na ochronę Anubissu oraz na leczenie ofiar zatrucia detoxem. Odstawieni do domu szukają o sobie wzmianki w gazetach. I nie znajdują. Cała uwaga zwrócona jest bowiem na miejscowe kuriozum, dzięki któremu Onahill stało się sławne.

Ianus Richard Roe

Niechronologicznie

wybrane

sceny z retrospekcji

Scena I

Po pięciu minutach czekania na jakikolwiek gest ze strony Abby'ego, którego przyszedłem odwiedzić w skwarne południe, usłyszałem przytłumione mruknięcie. Abby Onesty nie wypuszczając z ręki nieodłącznej lornetki odwrócił się.

„Isidorian” - przed, podczas i po godzinnym strajku kelnerów. To moja ulubiona kasetka. No, ale odbiegam od tematu. Tamtego dnia, grupka turystów stała nie opodal mojego okna i zaczął wytwarzać się całkiem interesujący szmer. Postawiłem więc mikrofon na parapecie i włączyłem magnetofon. Ale po chwili przyszedł Melbren, zaczął mówić, a ja zapomniałem wyłączyć nagrywanie. Później, dla zabicia nudy, postanowiłem nagrywać jego kolejne mowy, żeby sprawdzić jak dalece będą się różniły. Miałem nosa. Na tych dwóch kasetach znajduje się cała ewolucja psychiczna nieszczęśnika. Może chociaż posłuchasz? - zerknął na mnie z nadzieją.

- A mam inne wyjście? - rozłożyłem ręce z rezygnacją. Onesty uśmiechnął się i wcisnął klawisz.

- To jego pierwszy monolog - zdążył dodać nim rozległ się głos Melbrena:

No i proszę państwa, jesteśmy w Onahill. Tylko szesnaście metrów dzieli nas od oślawionego drola. Każdy chciałby doń podejść, dotknąć, powiedzieć hallo. Ale niestety, ten zdawałoby się krótki dystans, wprost pestka dla przeciętnego trójścokozka jest dla nas nie do pokonania. A to z powodu dwóch nieznanych do tej pory czynników. Pierwszy to tak zwana strefa zaburzeń psychomotorycznych. Rozciąga się ona od tej barierki, którą dotykam ręką do niezauważalnego punktu odległego o jedenaście metrów. Człowiek kontrolujący częściowo swoje odruchy i panujący nad ciałem w koniecznym stopniu do stawiania kroków, odejduje od tej barierki na co najwyżej siedem metrów. Jest to jak na razie granica ludzkich możliwości. Ustanowił ją pewien medytator z Sian Pho. Musieli go jednakże sciągać stamtąd liną asekuracyjną. Osoba zahipnotyzowana przejdzie, średnio, pięć kroków. Nafaszerowana psychotropami i innymi doświadczalnymi wręcz substancjami, cztery kroki. Chroniona puszką Faradaya, trzy kroki. Reszta po dwóch krokach zwraca w popłochu. Co prawda znalazł się ginesman, który rozpedziwszy się uprzednio, wpadł biegiem w strefę, runął w okolicach dziewiątego metra. Przypadek ten zakończył się jednak śmiercią. Nad strefą pracuje cały sztab specjalistów wielu dziedzin nauki od ponad pół roku, a przybywa im tylko pacjentów. Bowiem każdy mózg, nie osłonięty lekami, bądź wyszukany sposobami medycyny fizycznej, po trzech krokach wymaga paromiesięcznej rehabilitacji. Istota zjawiska nie jest nawet hipotetyczna. To, co dzieje się w głowie po jednym kroczku jest tragedią, od której uginają się nogi. Po dwóch kroczkach jest to koszmarny mógący w ciągu paru sekund pchnąć do samookaleczenia. Zwerżęta reagują podobnie. Znany jest przypadek, kiedy pchnięto na



odległość pięciu metrów klatkę ze szczurem. Po trzech sekundach ściągnięto ją z powrotem. Szczur był skrajnie podniecony, a nazajutrz znaleziono go bez przednich łap. Sam je sobie odgryzł.

Drugim czynnikiem, który chroni drolla jest tak zwane jonowymienne – w tym momencie Melbrenn zrobił teatralny gest rękami – wtrącił Onesty – jonowymienne pole przewencyjne. Jest to coś na wzór książkowego lub filmowego pola siłowego. Ale tej nazwy każdy boi się używać, bo podobno budzi przerażenie. Jeśli nawet rzucony kamień nie dozna wstrząsu emocjonalnego, który zawróciłby go ze strefy, to na pięć metrów od drolla bezgłośnie odbija się od przezroczystej zapy i spada na piach. Próbowano różnych sposobów pokonania czaszy pola przewencyjnego rozwiszonego nad drollem. Począwszy od prymitywnych, typu rozpedzony buldożer, granat ręczny rzucony ręką psychopatycznego ginesmana, czy wieloczynnościowe manipulatory firm hitaskich, skończywszy na nieco ambitniejszych, jak kontrapole elektromagnetyczne, gravidiany, lasery, siatka mikrowybuchów nuklearnych Rotweila, crystalotony, multiimplozatory płaszczyznowe itd., itd. Och, nie jestem w stanie zliczyć tego wszystkiego, co proponują najświatlejsze mózgi naszych czasów. Oczywiście nie powinienem tego dodawać, logicznej hipotezy nie sformulowano.

Wreszcie, pośrodku zakłętego bastionu znajduje się droll. Znaczący się, Człowiek i Drzewo. Androdendron. Homo sapiens et Pinus banksiana. Nie są piękni, ale trwają. Współistnieją na zasadzie swoistej symbiozy, być może mutualistycznej. Niewykluczony jest komensalizm, a nawet pasożytnictwo. Tego nie wiemy. Dwa skrajnie różne organizmy mieszają swe płyny ustrojowe za pomocą systemu naczyń połączonych, różnicy ciśnień. I Bóg wie czego. Oczywiście nie mieszają się dosłownie, tylko wybiórczo. Oddzielone są skomplikowanym układem filtracyjnym. Układ ten przypuszczalnie znajduje się w pojemniku między człowiekiem a drzewem. Widzicie państwo? Tam skąd wychodzą i wchodzi cewniki. Biegają one, jak zaobserwowano za pomocą lornetki, z naczyń żylnych, ze złębnika donosowego i pęcherza moczowego oraz z systemu cewek drewna i komórek miękkiszowych tyka. Tego ostatniego rzecz jasna nie dostrzeżono, są to jedynie domysły. Filtrator można by porównać ze sztuczną nerką. Lecz jest to porównanie raczej niefortunne, niedobre, wręcz złe. A to ze względu na wielofunkcyjność, niewyobrażalny stopień skomplikowania tego ziemskiego cudu. Oni żyją, proszę państwa. Od ponad siedmiu miesięcy. Szczuż kazuistyki. Droll nie pobiera pokarmu z zewnątrz. Żyje z fotosyntezy i innych procesów chemicznych oraz z tego co korzenie sosny wydobędą z kamienistego podłoża. Człowiek odgrywa w tym związku bardziej nieokreśloną rolę. Do wegetacji konieczna mu jest woda, sole mineralne, cukry, białko i wiele różnorodnych związków organicznych i nieorganicznych. Drzewo nieomal daje mu to. Ale czy samo zapewnia pełne zapotrzebowanie? Nie wiadomo. Najpewniej nie jest to układ tak hermetycznie zamknięty. Chociaż... na ten temat możemy jedynie spekulować. Jeśli chodzi o drugi kierunek splotu płynów ustrojowych, no cóż, człowiek nie dostarcza chyba pokarmu, a jednak z tego co widać, drzewo żyje, nie zwiedło, wypuszcza młode pędy i wygląda na to, że ma się lepiej niż wtedy, kiedy musiało radzić sobie solo. Wiąże się to także z parawanem pola przewencyjnego osłaniającego ich od wiatru. Tak. Filtrator jest gigantyczną zagadką, ale nie jedyną. Założmy, że jest on idealny i nie dochodzi do patologicznych zmian w płynach ustrojowych, to następne pytanie, które ciśnie się na usta dotyczy braku zakażeń, odleżyn, zakrzepów itd., itd. To wszystko zadziwia. Zostawie już te naukowe dywagacje. Wywód trochę może przydługi i nudny, ale konieczny. Tak więc drzewo sobie rośnie, a człowiek siedzi, patrzy, nie wiadomo co myśli. Kontakt z nim jest na razie nieosiągalny. To, co powiedziałem o drollu jest tylko niewielką częścią tego, co można byłoby powiedzieć. Lecz to zostawmy na wieczorne godziny, kiedy weźmiemy do ręki naukowe publikacje. Pozostaje jeszcze pytanie, kto to zrobił. Kim jest ten homo faber. Czy stoi przed nim? Czy może nie ujawnia się i czeka na coś. Za co skazał rozumną część drolla na wystawienie publiczne i jednoczesną separa-

cję, zostawiając mu za jedyne go towarzysza sosnę? Nikt nie wyraził przypuszczenia, że człowiek ożeniony z drzewem jest szczęśliwy. Wszyscy raczej skłaniają się do współczucia i chęci udzielenia mu pierwszej pomocy. To tyle na temat drolla. I prawie wszystko o Onahill. W tym parterowym pawilonie ze szkła i stali mieści się placówka doświadczalna. Tam mieszkają i pracują naukowcy wielu dziedzin. Laboratoria, dziesięć łóżek kliniki psychiatrii, zaplecza. Jeszcze tylko ten wóz wagantów jakiegoś ginesmana. Zaadaptował go na mieszkanie po uzyskaniu specjalnej koncesji pan Andree Fabri i jego zabawny pies Furiat. Pan Andree prowadzi tu coś w rodzaju baru i właśnie zaprasza nas na piwo i parówki z wrażeniem.

– Melbrenn dużo mówił tego dnia – zauważył Onesty wyłączając kasety. – Teraz trochę przewinę i zatrzymamy się na jego czwartej wycieczce. Usłyszysz przepowiednię skandalu. Powiem ci jeszcze, że w grupie zwiedzających było paru milionerów, senator Wildner z żoną i minister skarbu Sunlandii wraz z osobami towarzyszącymi. Zaczął w te słowa. – Onesty uśmiechnął się – Uważaj.

Witajcie szacowni... szacowne puszczyki... – Ha, ha, Roe! Oni rzeczywiście tak wyglądali! Otyli, nastroszeni, usta ściągnięte, zasępiiony wzrok. Nigdy nie byłem świadkiem takiej konsternacji. Ale wiesz co się stało? Zanim ktokolwiek zdążył zareagować stosownie do swego społecznego cenzusu, żona Wildnera uśmiechnęła się najpierw nieco z przymusem, a później śmiała się naturalnie, lecz bardzo elegancko, uważając na makijaż. Wiedziała jak zdobywać wyborców dla męża. Rozładowała atmosferę, której nie mógł już popsuć pan minister dopytujący się zaczerwionego tłumacza o co właściwie chodzi. Sądzę, że uratowała Melbrennowi życie. Miał szczęście, że uszło mu to płazem. On jednak brnął w to dalej. Posłuchaj...

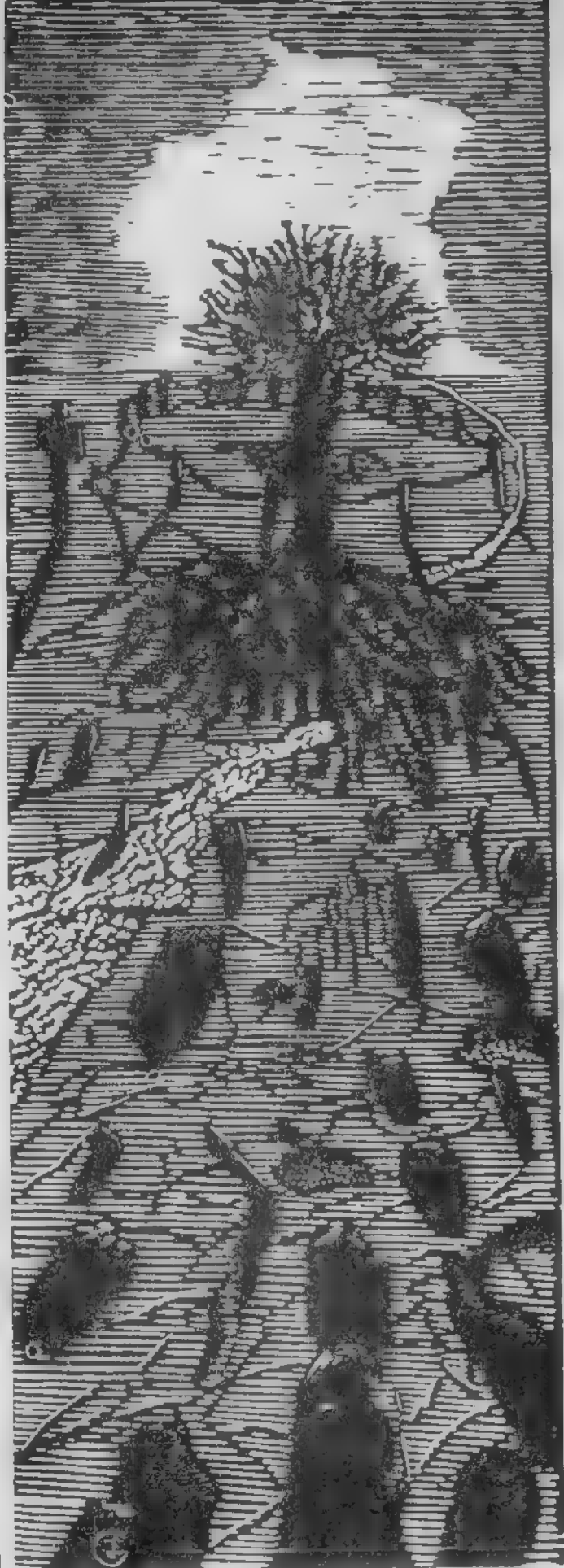
Witajcie zatem na pokładzie wielkiego gumowego balona, targanego niewiedzą i rozterką. Nikt nam w nawigacji nie pomoże. Ja również nie jestem w stanie powiedzieć coś sensownego ponad to co napisano w tygodniku „Researching”. Przyniosłem właśnie szesnaście egzemplarzy... dla wszystkich starczy. Proszę więc wziąć sobie i zapraszam do Andree na lampkę wina Bisquiee, najodpowiedniejszego o tej porze...

– Myśleliśmy, że znajdzie się na bruku z przetrąconym kręgosłupem. Ale nie, poprowadził jeszcze dwie wycieczki:

Najpierw chciałbym opowiedzieć państwu pewną bajkę, a dopiero później powiem do widzenia.

Kiedyś, dawno, dawno temu żył sobie nie istniejący oficjalnie król imieniem Rood. W tamtych czasach żyło na świecie dwunastu królów. Ale wszyscy oni byli władcami nieprawdziwymi i fałszywymi. Zaś Rood był tym jedynym i prawdziwym. Lecz nie miał on swego ludu i nikt w dwunastu królestwach nie wiedział o istnieniu Rooda. Bardzo nad tym ubolewał, więc pewnego dnia zawołał Myddoga, sługę swego. W tych czasach żyło wiele sług i jeszcze raz tyle, nikt ich zresztą nie liczył, ale podobnie jak władcy byli oni sługami fałszywymi. Jedynie Myddog był prawdziwie oddany i wierny swemu panu, tak jak to słudze przystoi. Skoro tylko stanął przed obliczem Rooda i skłonił mu się z szacunkiem, król rzekł: „Myddog, przyjacielu, czuję w niemłodych już kościach, że królowanie nad tobą jeno i sobą do jakiej choroby mnie doprowadzi. Spraw bym miał swój lud choćby na czas lotu polatuchy. Pokochałbym go wtenczas i służył mu wiernie, jeśli by nawet przyszłość moich rządów skwierczącym ogarkiem okazać się miała”.

Myddog pierwsze co zrobił, to udał się do miejscowego maga i za dwie sztuki złota mgła we łbie rozrzedziła mu się nieco. Nazajutrz, skoro świt, wierny sługa siadł na wilgotnej z nocy kępie trawy, na skraju boru, tuż przy rzece Rwódze. Nie bacząc na ślągę siedział tak przez dwanaście dni i nocy nie pijąc, nie jedząc. Patrzył w nurt i medytował. Kiedy trzynastego dnia czerwony rąbek słońca ukazał się na horyzoncie, Myddog wstał i niebawem upolował pasącego się u wodopoju kozła dragijskiego z dwunastoma rudymi pregami na grzbiecie. Przez następnych dwanaście dni, poćwiartowanym kozłem posilał się skrupulatnie od chrap poczynając. Na koniec wsadził za pazuchę dwanaście oskrobanych



z resztek mięsa żeber, które oderwał od szkieletu do cna obgryzionego. Miały go chronić od miecza i złego uroku. Gdy odmówił pacierz, tak jak przewidywał, na niebie ukazały się ciemne, gęste chmury rzucające na ziemię cień i strach. Po trzech obrotach klepsydry, choć był dzień, zrobiło się ciemno, a budzące grozę niebo, poprzytyskane błyskawicami, zamieniło się w wypełniony wodą durszłak. Trwało tak przez dwanaście dni. Czasu tego Myddog nie zmarnował. Kiedy wszystkie żywe i umarłe stworzenia pochowały się w swych

norach, on pracował jak nawiedzony świętym Rodrykiem. W skale sterczącej z niewielkiego obszaru ziemi niczyjej, przez który szedł szlak handlowy łączący dwanaście królestw chciał wyrzeźbić dwanaście podobizn twarzy królów zwróconych w dwanaście kierunków świata. I nim pierwszy kur zapiał trzynastego dnia jasnego i pachnącego, odłożył stępione do cna dłuta, rzucił na ziemię młotek ze złamanym trzonkiem i obejrzał swoje dzieło. I wtedy zmartwił z przerażenia. Pracując w ciemnościach, z oczami zalanymi wodą i potem stworzył karykatury. Wizerunki były podobne, ale ich kaprawe oczy, krzywe nosy, wydęte w dziwacznych grymasach usta zniweczyły przebiegły plan Myddoga. A chytry zamysł miał się następująco: Wiadomość o cudzie z szybkością rozpedzonego wozu sprzedawcy solonych ryb rozchodzi się, by w końcu dotrzeć na dwory władców. Przez dwanaście dni trwa wielkie poruszenie. Jedni królowie abdykują, drudzy sposobią się do wojny, jeszcze inni zamykają się w kaplicach, ale większość myśli o postawieniu bożego daru na zamkowym dziedzińcu po uprzednim odhupaniu jedenastu wizerunków swoich wrogów. Koniec końców dwanaście wrogich watah zbiera się wokół rzeźby i walczy do upadłego o podobiznę swego władcy, niszcząc co się da z portretów królów sąsiednich. Tak też by się stało, bo władcy byli pyszni i głupi – i później lud rozczłony bezsensowną walką, oplakujący trupy mężów, braci i synów odwróciłby się zadkiem na swych panów. A on, Myddog, ukołby ich serca opowieścią o dobrym i mądrym królu, który na nich czeka.

Przeklinając cisnął o ziemię zebrami kozła mającymi chronić go od złego uroku i jął przedzierać się przez tłum rozbawionych gapiów, przybieżających tu co sił w nogach z okolicznych wiosek. Zgnębiony, skierował swoje kroki do Rooda. Nie zauważył, że od cizby odrywają się pojedyncze postacie i podążają za nim. U króla był jeszcze tego dnia. „Panie mój” – wyszeptał błagalnie klękawszy uprzednio. „Przebacz mi. Lot polatuchy jastrzębiem się skończył”.

Król chciał coś odrzec, ale wnet nadstawił ucha. „Co to?” – zapytał podchodząc do okna. Gdy je otworzył do komnaty wdarł się gwar wielotysięcznego tłumy, pokazującego sobie palcem jego sylwetkę. „Twój jastrząb miał bielmo na oczach i chybił” – zdążył powiedzieć i pozdrowił zgromadzonych ludzi uniesioną ręką. Koniec.

Jeśli będziecie szukać sensu w tym co usłyszeliście, przylatując do Onahill i stojąc kilkanaście metrów od drolla, zrobicie błąd. Jeśli nie będziecie szukać, też zrobicie błąd. Najlepiej jak każdy z was wymyśli sobie swoją bajkę. Być może jest to klucz do zrozumienia sensu istnienia Tego Człowieka. Radziłem to naukowcom. Lecz oni wolą inne metody rozszyfrowania zagadki. Efel ty tych metod nazywają hipotezami. Ja nazwałbym je również bajkami. Oba ich rodzaje nie przynoszą rozwiązania, ale czy muszą? Osobiście wolę swoje bajki. Do widzenia.

– No i ostatni jego występ. Dramatyczny. Właściwie nie muszę puszczać kasety. Opowiem ci. – Onesty odłożył magnetofon na bok. – Wycieczka czekała dziesięć minut, gdy zjawił się spóźniony niosąc coś pod pachą. Były to dwa obrazy. Postawił je tak żeby wszyscy widzieli i... wskazał je palcem. Powiedział: „Ten albo ten. Albo gówno”. I popełnił samobójstwo. Wszedł w strefę. Dotarł dalej niż ten medytator. Determinacja rodzi cuda. Stał przed drollem, podał jakiś papier, do tej pory nie wiadomo jaki i upadł.

– Co to były za obrazy? – zapytałem.

– Reprodukcje, Salvador Dali, zdaje się. Tytuł zapisałem sobie gdzieś. Zaraz... „Geopolityczne dziecko obserwujące narodziny nowego człowieka”. Druga reprodukcja, tym razem Jean Miro „Lot ptaków wokół kobiety w księżycowej poświacie”. Zabawne, co?

## Scena II

W jego twarz można wpatrywać się bez końca. Bynajmniej nie z racji interesującej fizjonomii. Nie była z tych, co przyciągają zaniepokojone spojrzenia, przemyskające po skróconej sierści na głowie, skośnych oczach, rzymskim nosie i habsburskiej zuchwie. Brak było oznak uwsteczniczenia czy genialności. Nic z tych rzeczy. Była to maska. Najzupełniej przeciętna. Ktoś, kto ją skonstruował wydrwił poczucie hu-



moru i w pocie czoła, precyzyjnie stworzył Ją, by wreszcie mruknąć: „Oto człowiek”. To coś przyciągające uwagę zwykle kryje się w oczach. W tym przypadku, rozlało się na całą twarz nie omijając szarych, pusto-zwykłych oczu. Przychodziło to i znikало w ułamku sekundy bez najmniejszego drgnienia mimiki. Ale zauważalne było jak rozwrzeszczana kura, pakująca się z trzepotem piór pod maskę rozpędzonego samochodu. Trudno to nazwać czy sformułować, tak jak trudno jest pensjonariuszowi zakładu dla umysłowo chorych nazwać nieokreślony omam, wyswietlający się w chorym umyśle.

Jako pierwszy zauważył to Onesty. Byłoby przesadą, stwierdzenie, że się przeraził. Mimo to spostrzeżenie tego czegoś kazało mu podać lornetkę najbliższemu stojącemu i powiedzieć, że poczuł się nieswojo. Onesty był z wykształcenia geodetą, lecz od dłuższego czasu nie mógł znaleźć pracy. Więc przyleciał do Onahill trochę z ciekawości, trochę w poszukiwaniu płatnego zajęcia. Znalazł je. Jego praca miała polegać na stałym obserwowaniu drolla przez lornetkę. Na zmianę z Conettą. Nie było to pozbawione sensu. Tym bardziej że ktoś z DOPLAN-u (Doświadczalna Placówka Akademii Nauk) wpadł na pomysł porozumiewania się z... obiektem doświadczania. Czyli z Tym Człowiekiem. Później zmieniono nazwę na Tego Roślina, a jeszcze później na Dendrologa. W końcu prof. Freder Abhelius, konsultant z Uniwersytetu w Cronsee, wymyślił neologizm dla niespotykanej do tej pory formy biologicznego współżycia. Wyciął środek z dendrologa, dodał literkę „l” i powstał droll. Abhelius nic nie robił sobie ze słów znanego satyryka Melsa naśmiewającego się z ludów Kontynentu Północno-Wschodniego: „Zweite el w każdym domu. Z zweite el rozmawia się lekko, łatwo i przyjemnie. Dodaj el do el i w gębie miell i żujj, spróbujj! To twoja szansa na długowieczność...” Pamflet dotyczył szczególnie Dominium Nadmorskiego, w którym do języka wprowadzono zweite el podczas 10 etapu Rekonstrukcji. Zabawność zjawiska dostrzegli wszyscy, prócz Abheliusa. Nazwa droll przyjęła się jednak, chociaż zdarzają się złośliwcy nazywający Tego Człowieka morświnem.

Metoda porozumiewania się z drollem była bardzo prosta, przy założeniu, że on widzi, umie czytać i wykonywać proste polecenia. Droll jak zwykle siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym przed siebie. W odległości szesnastu metrów od niego, a więc na granicy strefy zaburzeń psychomotorycznych, ustawiono wielką planszę, na której ktoś dużymi literami napisał: JEŚLI POTRAFISZ CZYTAĆ, MRUGNIJ TRZY RAZY POD RZĄD LUB DAJ JAKI-KOLWIEK INNY ZNAK. Droll mrugnął trzy razy. Widział to Onesty. Salwy radości z nawiązania kontaktu zostały zakłócone przez Abby'ego. Wtedy to właśnie poczuł się nieswojo. Przeżyte doznanie obrazowo porównał do wiru powietrznego, który by go omiółł swoją krawędzią.

Przed oczy drolla powędrowała następnie tablica ze swoim alfabetem. A – jedno mrugnięcie, przerwa. B – dwa mrugnięcia, przerwa. I tak dalej. Roślin pojął to w mig. Oto co powiedział: „Moja mnogość rozpojedyńczona umrze. Rozpojedyńczony z mnogości umrę. Wie to mój geniusz, lecz wy nie wiecie. Spłacie go, żeby wiedzieć. Nadejdzie odpowiedni czas, on zrobi to”.

Tak brzmiał pierwszy i ostatni tekst przekazany przez drolla. Nigdy więcej nie nawiązano z nim kontaktu.

Nazajutrz wszystkie gazety na pierwszych stronach podały ultimatum od pewnego gentlemiana nazywającego się Benedykt Tanheuezer. Dziesięć milionów penarów za tajemnicę drolla i za to co przede wszystkim interesowało potentatów militarnych, tajemnicę strefy i pola prewencyjnego. Jeśli nie wpłyną pieniądze w ciągu najbliższych pięciu miesięcy do Alcomp Bank na zastrzeżone konto, dojdzie do niemiłych incydentów. Jak na przykład pojawienie się strefy zaburzeń psychomotorycznych w węzłach komunikacji miejskiej, na lotniskach itp. Co mogło to oznaczać każdy zdawał sobie sprawę. Od tego dnia policja całego świata tajna, jawna i dwupłciowa uganiała się za Benedyktem Tanheuezerem. Spekulacje na temat wyglądu geniusza

mnożyły się jak króliki. Areszty wypełniły się setkami podejrzanych. Z reguły był to kwiat inteligencji. Wynalazcy, wykładowcy, artyści, studenci i inni. W końcu przyszło komuś na myśl, że domniemany geniusz to może być Ten Człowiek. Ale jego nie było łatwo zamknąć w więzieniu i przesłuchać.

### Scena III

Na widok samolotu, mającego zabrać mnie do Onahill, zdumiałem się. Była to stara, pękata maszyna rolnicza typu „Bigoodworm”, w sam raz do wyrzucania z odwołka środków ochrony roślin. Ale czy dobra do zaopatrywania w precyzyjny i często drogocenny sprzęt odległą o czterysta kilometrów placówkę? No i do przewożenia od czasu do czasu przygodnego pasażera? Wcale nie miałem ochoty zaorać w piach. Czułem się wyśmienicie i miałem nadzieję czuć się tak przez następne kilkadziesiąt lat. Tym bardziej że byłem świadkiem nadchodzącego zjawiska w postaci hostesy, stewardesy i przewodniczki. Wszystkie trzy w jednej osobie podeszły do mnie lekkim krokiem i rozrzucając długie kasztanowe włosy zapytały nym glosem.

– Pan Ianus Richard Roe? Nazywam się Jane Bishin. Mam zapewnić panu bezpieczeństwo i wygodny lot.

Z trudem tylko powstrzymałem się od taksowania jej nęcących wdzięków kobiet Drugiego Kontynentu. Patrzyłem więc w rozchyłone, uśmiechnięte usta zapominając o tym hałaśliwym pudle zbliżającym się do pasa startowego. Trwało tak dobrą chwilę. Lecz w końcu otrząsnąłem się i nie wierząc w cuda podniosłem torbę z rozgrzanego asfaltu i sięgnąłem do kieszeni.

– Nie chce pani obejrzeć dokumentów?

– Nie trzeba. Mamy niezawodne i nie narzucające się urządzenia identyfikacyjne. Pochodzą one z czasów gdy z Edgate do Onahill latały same znakomitości. Pomóc panu? – wyciągnęła smukłą, opaloną dłoń w stronę mojej niewielkiej torby.

– Dziękuję, poradzę sobie. Myśli pani, że tym – wskazałem na samolot – dolecimy wygodnie i bezpiecznie? Szkoda byłoby gdyby moja podróż tuż przed osiągnięciem celu skończyła się... hm... upadkiem. A pani? Nieodżałowana strata. – Uśmiechnąłem się.

– Jest pan pierwszą osobą z Kraju na Mierzei – zaczęła przekrzykiwać kokieteryjnie głowę, a może mi się to tylko wydawało – którego udało mi się spotkać. Proszę wybaczyć, jest to dla mnie nieco egzotyczne. A wracając do pana pytania. Tak. Ten samolot jest zupełnie niezły. Nigdy nie było z nim kłopotów. W przeciwieństwie do nowszych maszyn. Jeśli nie zależy panu na czasie, za trzy dni do Onahill polecą awionetka z turystami. Proszę mi coś opowiedzieć o pańskim kraju. Czy jest tam bardzo zimno? Czy rzeczywiście ziemia, to znaczy Wielka Wydma, usłana jest guanem, a mówić trzeba głośno, bo słowa zagłusza ryk morza? Czy...

– Ma pani baśniowe wyobrażenie o Kraju na Mierzei! – musiałem teraz przekrzykiwać hałas silnika. Wystartowaliśmy już i podejrzewałem, że nadszedł kres mile zapowiadającej się konwersacji.

– Jakże? – zrobiła grymas, jakby nie dosłyszała. Zbliżyłem się do jej skroni. Musnęły mnie puszyste i pachnące włosy.

– Baśniowe – powtórzyłem miękkim głosem.

– Uwielbiam baśnie – wyczytałem z kształtnych ust – dlatego wybiorę się kiedyś w tamte strony... A pan? Po co przemierzył pół świata?

– Moja głowa! – postukałem się w czoło.

– Uderzył się pan? – dotknęła palcem miejsca, w które stukąłem palcem.

– Nie, nie... – pokręciłem głową. Nie dało się jednak rozmawiać. Postanowiłem więc odłożyć wszelkie wyjaśnienia na oczekiwany moment, kiedy zaproszę ją na obiad.

Rzeczywiście leciałem do Onahill głównie z powodu mojej głowy. Nie dlatego, że czaszka kryje pod sobą genialną tkankę zdolną rozszyfrować wszystkie zagadki świata. Powód był zgoła inny.

Moje EEG miało kształt linii izoelektrycznej. Wynikało z tego, że winienem być nieboszczykiem, ale przecież nie



– Co się pan tak zadumał? – poczułem dotknięcie w ramieniu. – Dolatujemy już.

#### Scena IV

Jak zwykle po południu wpadłem do Onesty'ego. Uplýwał miesiąc odkąd stałem się Onahillczykiem. I między innymi z tej okazji miałem przy sobie butelkę wina od Andreego. Gdy wszedłem, Onesty nie oderwał oczu od lornetki, tylko wskazał mi palcem miejsce przy oknie.

– Spójrz na tego psa – powiedział gdy stanąłem obok niego.

– Droll ci się znudził Abby, że obserwujesz psa? – A kobiety? – Powiedz mi coś o nich. Pomiń Froosy. No, opowiadaj. Jaką noszą bieliznę? Hę? – usiłowałem zażartować.

– Spójrz Ianus, spójrz. – W ogóle nie zwrócił uwagi co do niego mówiłem. – Na pewno się nie mylę.

No więc spojrzałem na psa. Był to Furiat. Półkwi blackster.

Uganiał się za jakimś kijem, trochę za własnym ogonem.

– Bawi się. – Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem do kieszeni po korkociąg.

– Właśnie, bawi się. I to jak, ledwie dyszy, a robi parometrowe susy. – Uniósł się. – Słyszysz te piski?

Gdy wkręcałem korkociąg rozległ się przejmujący skowyt i zaraz potem nawoływanie Fabriego, który wypadł z wozu widząc, że dzieje się coś niedobrego.

– Bydlę – Onesty mruknął zawzięcie.

Tym razem zdziwiłem się.

– O kim mówisz do cholery!

– O drollu.

– A co ten biedak ma do tego? – powiedziałem na bezdechu, usiłując wyciągnąć korek.

– Dał mu wreszcie spokój – Abby szepnął do siebie i odwrócił się od okna. – Ma i to wiele. Nie pierwszy raz to zaobserwowałem. – Siegnął po kieliszek. – Mm, niezłe. Z jednej strony trochę mi go żal, a z drugiej, chętnie dałbym mu w gębę.

– Trochę za ciepło – zdecydowałem. – Hm, może najpierw wyjaśnisz mi zachowanie się psa. Lubię wiedzieć za co daje się w gębę.

– Obserwuję drolla od trzech miesięcy. Dzień w dzień. Noc, na podczerwień. I co jakiś czas utwierdzam się w przekonaniu, że ta świnią – od śmierci Melbrenna często mówił w ten sposób o drollu – dysponuje pewną hm... telesitą. Mimo że jest, wydawałoby się, idealnie odizolowany od świata, zdarza się, stwierdzam ponad wszelką wątpliwość, że z niektórymi osobami, a dzisiaj na przykład z psem, dzieją się rzeczy nienaturalne, wręcz narzucone. W tych momentach z twarzy drolla wyklują się kostucha. Zauważalne jest nagle zeszytnienie i spięcie jak drapieżnika do skoku. Może ci się to wydawać śmieszne, ale do diaska nie wmówiłem sobie tego. Jednak muszę przyznać, że szybko się opanowuje. Czasem ta niezwykła moc wymyka mu się spod kontroli i zdarza się, że przeholuje. Ale w zasadzie nie robi nikomu krzywdy. Potrafię kłaść pod jego adresem, a jednocześnie go podziwiać. Wielu mając podobne możliwości i na dodatek siedząc w jego skórze urządziłoby tu prawdziwą jatkę. Ona chyba bardzo cierpi... hm... z tym psem, no cóż... zabawa. Furiat sam zaczął skakać z kawałkiem szmaty. Dostrzegł to Roślin. Patrzyłem mu wtedy prosto w twarz. Urzekła go dynamika psa. I nagle czujesz, że twój organiczny barometr rozbrykał się. Prawdopodobnie droll zapragnął ruchu, pędu powietrza, uczucia pracujących mięśni. Wpełził w zwierzę i spróbował poszaleć. Nie wiem czy mnie rozumiesz. Albo Jane Bishin. Pamiętam jak o niej z rozrzewnieniem mówiłem. Ten Człowiek również ją zauważył. I może to zabrzmiało groteskowo, ale sędzę, że się w niej zakochał. Już parę razy Jane zagapiła się w drolla do tego stopnia, że pilot musiał po nią przychodzić. Tłumaczyła to roztargnieniem. Kiedyś skłoniłem ją, by mi o tym opowiedziała. I nie myliłem się. Mówiła, że to uczucie bardzo przyjemne i jeśli jest w pobliżu, nie może się oprzeć, żeby nie podejść do barierki. Lecz w końcu ogarnął ją strach, i

Jestem Tym nieco wstrząsającym zjawiskiem od czasu ukończenia studiów dziennikarskich zarabiam na całkiem dostatnie życie. Jestem stałym i cennym królikiem doświadczalnym kilku sławniejszych laboratoriów neurologicznych. Naukowcy nie mogą dopuścić do siebie myśli o braku pobudzeń w korze mózgowej u żywego i sprawnego umysłowo człowieka. Wobec czego podejrzewają istnienie hipotetycznej blokady. W przerwie między kolejnymi badaniami wysłali mnie do Onahill z nadzieją, że dziwna właściwość mojej głowy pozwoli mi przejść strefę bez szwanku.

trzyma się od drolla z daleka. To jeszcze nie koniec. Kiedyś jak zwykle byłem z nim w kontakcie wzrokowym i nagle w jego twarzy coś mnie tknęło. Skierowałem lornetkę na pustynię i po dłuższej chwili zauważyłem małą, szarą plamkę stopniowo powiększającą się w okularze. Zaalarmowałem strażnika, bo przyszło mi na myśl, że to ginesman. A z nimi zawsze są kłopoty. Miałem rację. Był to ginesman prowadzący za uzdę osła. Do grzbietu zwierzęcia przytroczony był futerał z kontrabasu. Tyle, że strażnik znalazł w nim ba-zookę. Albo znasz tego faceta... Nie słuchasz mnie Roe?

„Jane Bishin, jestem o ciebie irracjonalnie zazdrosny” – pomyślałem podnosząc ostatni kieliszek do ust.

### Scena V

Powoli zapadał zmierzch. Słychać było przytłumione głosy oddalających się ludzi. Półgłosem opowiadali sobie dyktetyki zakończone niemrawym śmiechem. Każdy z nich ścisnął po pachę materac lub karimat. Onahill stopniowo pustoszało. Gasły światła i zapalano latarki przydatne do wyświeclania sobie legowiska pośród suchych łodyg Anubissu. Odkąd strefa zaburzeń psychomotorycznych zaczęła pulsować, wykazując rytmikę dobową, spać trzeba było sto, może sto pięćdziesiąt metrów od drolla. Rano wszystko wracało do normy, strefa kurczyła się do pozycji wyjściowej, żeby wieczorem rozszerzyć się odpychając ludzi dalej i dalej na pustynię. Pulsacja strefy uczyniła życie w Onahill nieznośnym. Gdyby oczy całego świata nie były zwrócone na to miejsce, każdy miałby ochotę zostawić drolla samemu sobie.

Zgasilem radio i zamykając drzwi za sobą, pstryknąłem światło. Narastający dyskomfort psychiczny kazał mi pospieszyć się na nasz codzienny, miejscowy exodus upływający w rodzinnej atmosferze. Przechodząc koło otwartego okna jednego z pomieszczeń, usłyszałem głosy. Zatrzymałem się.

– Tak. Wybieramy dzisiaj inny wariant – dobiegł mnie głos doktora Calmura. – Dawki jak zwykle, tylko w umówionej kombinacji. Froosy – dwie czerwone i żółta. Johnat – czerwona i biała. Zaraz, zaraz, gdzie podziały się tabletki Miguela? Są, dobrze. Dwukolorowa pod język. Spark tej nocy odpoczywa. Chiya – akupresura. Miss Poak, białą depot. Frank wziewne. Henrys – pół zielonej. Aha, rozdasz ludziom dyktafony. Pamiętać, żeby wszystkie objawy znalazły się na taśmie. EEG, jak zawsze. Teraz stanowiska. Moelby, jak się czujesz? Ty się zawsze dobrze czujesz. Będziesz najbliższemu drolla. Z kapsułką zonoxy i antyfalami powinienś wytrzymać. Jeśli nie, cofniesz się. Reszta w kolejności umówionej. Moelby'ego zastąpi na pięćdziesiątym metrze Henrys. Po dzisiejszych testach zostanie nam jeszcze jedna ewentualność, i jeżeli ona nie chwyci możemy jechać do domu, a leki wyrzucić. No cóż, bezradność matką wynalazków. Trzeba będzie zacząć od nowa z gruntownie zmienionymi założeniami. No dobra. Powodzenia.

Przytrzymałem wysuwający się spod pachy pled i ruszyłem w stronę małych błyskających światełek na pustyni. Byłem wdzięczny losowi, że nie muszę wypróbować na sobie coraz to nowszych leków antystrefowych.

„Dobrej nocy” – pomyślałem i ziewnąłem szeroko.

### Scena VI

Zaczął się i skończył w podobnym stylu. Ten nieoczekiwany moment z czełusci rodem, podbiegł szybko i bezszelstnie, nad ranem. Nie obudził nas nawet, tylko wyrzwał w pień aniołki głoszące nasze uśpione oblicza i umknął w przeszłość. Zostawiając za sobą przerażenie, bezsilność, osłupienie. I przeświadczenie, że wielu rzeczy na tym świecie nie zdołamy zrozumieć. Z ołtarza zniknął Ten Człowiek porzucając prezentującą się teraz nader lichą postawę. Wokół kartowatego, powyginanego od wiatru drzewa panował tylko bałagan. Tam gdzie jeszcze wczoraj królował droll były jedynie śmiecie rozrzucone w nieładzie. Śmiecie, ponieważ przyrzady; dzięki którym był niedostępny i nieodgadniony, zaprogramowane zostały na samozniszczenie. Znalaziono go po kilku godzinach w głębi pustyni. Przytroczony był do konia, jednego z dwóch, należących do Andreego. Siedział na siodle, zwieszając się nieco, z nogami

związanymi pod brzuchem wałacha. Na piersi miał przypiętą kartkę z napisem „koniokrad”. Nie żył już. Znalazł go pilot helikoptera. Zidentyfikował również wóz fabrygo podążający za martwym jeźdźcą w niewielkiej odległości. Podejrzenie zbrodnicygo czynu padło na niego. Ale to nie zrobił on. Andree smagający batem osamotnionego konia, pogwizdujący na psa nie był mordercą. On spieszył za chlebem wraz ze swym barem na kółkach. Wydedukował poprawnie, że tam gdzie droll, choćby nieżywy, tam zawsze ktoś będzie chciał napić się piwa lub zjeść flaki. Zrobił to Onesty. Wiem to na pewno. Wisi na pasku w swoim pokoju, a pod obrzękniętymi stopami, na podłodze spoczywa aparat mający w sobie stygmat drolla. Nie wiedziałem co to jest. Na razie nie zaprządałem sobie tym głowy. Gdy spojrziałem na plamy opadowe, które zdążyły pojawić się tuż nad skarpetkami i na twarz wykrzywioną upiornym grymasem, pomyślałem, że to nie Melbrenn zasługuje na biograficzne opowiadanie tylko on – Onesty.

### Scena VII

Wysłannik z tygodnika „Researching” zaproponował mi napisanie wstępnego artykułu o zajęciach w Onahill. Zdziwiłem się. Nie występowałem tu w roli dziennikarza, poza tym byłem obcy. Spośród wielu dziennikarzy wybrano mnie motywując wybór tym, że jako jedyny przebywałem tu tak długo i jednocześnie byłem świadkiem końcowego dramatu. Ja przypuszczałem, że chodziło im o większą poczytność artykułu napisanego przez egzotycznego przybysza z dalekiego kraju. Zgodziłem się więc, chociaż od dłuższego czasu nie uprawiałem swego zawodu. Po zebraniu dokumentacji raz jeszcze przemyślałem sobie wszystko i zacząłem pisać:

Kim lub czym był droll nikomu nie trzeba przypominać. Pojawił się znikąd i tylko przypadek sprawił, że trafił na niego przygodny botanik pan Alger Onet. W ciągu paru tygodni zmontowano kilkudziesięciuosobową grupę naukowców i ludzi różnych profesji. Związali się oni z Onahill na wiele długich miesięcy. Pochłonięci byli jednym problemem, przysparzającym wszelkich odmian frustracji. Zano-towano wśród nich próby samobójstwa. Ale tylko Phial Melbrenn zakończył próbę pełnym sukcesem. Był typem poszukiwacza-amatora. Bo nie profesjonalista, lecz amator ucieka w niebyt po wielu chybionych dociekaniach i niezadowolających próbach wythumaczenia sobie trawiącego umysł problemu. Szukał, nie znalazł, a że gźizerniej był kondycji wszedł w strefę, z której wyciągnięto go za nogi. Szukali inni, lecz droll nie pozwolił uchylić rąbka tajemnicy. Tymczasem rąbek sam się uchylił przez pewne biuro usługowe zajmujące się wszystkim. Między innymi odległoterminowym doręczaniem przesyłek. Nie wiedzieli o tym, że list, który wedle zamówienia zanieśli do redakcji gazety „Continent”, pochodzi od domniemanego genialnego superszantażysty lub jak kto woli, superchytrego geniusza. Ultimatum jak pamiętamy wstrząsnęło całym światem. Na trzy godziny przed upływem ostatecznego terminu wpłacenia żądanej sumy pieniędzy, rządy państw i władze organizacji międzynarodowych przyciśnięte do muru przez pomrukujące tłumy, podjęły decyzję. Płacą. Dziesięć milionów penarów zgubiło się w w pełni skomputeryzowanym, przepastnym Alcomp Bank. Ta machina przyjmująca i wydająca pieniądze zapewnia stuprocentową dyskrecję. Numer sejfu z dorobkiem superszantażysty bank poda po

## Maciej GAŁASZEK

Urodził się w Białym Białej w roku 1963. Student Śląskiej Akademii Medycznej. Jeden z laureatów I Konkursu „Fantastyki”; jego wyróżnione opowiadanie „Manual skazanego” znalazło się w tomie „Trzecia brama” (Wydawnictwo Literackie, 1987). Inne, „Nościele”, publikowane poza konkursem („Fantastyka” nr 3/85) przedrukowano w zeszycie „Bliźnie spotkanie 2” (lekry, 1987).

Prezentowane obecnie najnowsze opowiadanie Gałasza „Plantator wydm” stanowi brawurową obronę tezy, że laureaci naszego pierwszego konkursu nie powiedzieli w science fiction ostatniego słowa. Podobny wniosek można było wyciągnąć po lekturze tekstu innego z laureatów, Grzegorza Stefaniakiego, „Spleen nad miastem” („Fantastyka” nr 6/87). (mp)

x 3

Jerzy Kurczak

GAL





W zidentyfikowaniu określonego dźwięku. Tak zażyczył sobie klient. W najbliższej okolicy banku kręca się setki superagentów wysłanych z zadaniem ujęcia przestępcy, najlepiej dzierżącego pod pachą dokumentację swych genialnych wynalazków. Tymczasem jest on jeszcze nieuchwytny, a droll już jest nieuchwytny. Nie wiadomo w jaki sposób wyłączyła się aparatura izolująca go od otoczenia. Być może wiązać to należy z facetem z zielonym goździkiem wpiętym w klapę różowej marynarki? Być może był to pozorowany włóczęga z nadajnikiem w kieszeni przetłuszczonego prochowca? Albo zwykły, nie rzucający się w oczy turysta w Onahill przyciskający palcem klawisz kolejnego rewelacyjnego wynalazku? A może komputer bankowy zadzwonił do pola przewencyjnego ze słowami: „O'key, forsa jest, drolla można puścić, pozdrów strefę”. Nie, nie, to wszystko bzdury. Najprawdopodobniej robimy błąd szukając geniusza, podczas gdy wykonano na nim wyrok śmierci. Niedługo tak karano na tych terenach koniokraków.

Z jedyne go bełkotliwego kontaktu z drollem dowiedzieliśmy się o możliwości śmierci Tego Człowieka po zerwaniu więzi biologicznej z drzewem. Nie wiemy dlaczego miałoby się tak stać. A przepowiednia dokonała się. Trochę wszakże inaczej aniżeli można było się spodziewać. Umarł, a raczej został zgładzony. Czy tak ma wyglądać śmierć osieroczonego symbionta lub komensala, który wplątał się w enigmatyczne uzależnienie? Czy to rodzaj ananke?

Jesteśmy przyzwyczajeni do niesamowitości, dlatego mord na Tym Człowieku wykonany przez Onesty'ego, pracownika DOPIAN-u przyjęty został ze wzruszeniem ramion znakomującym pełne zrozumienie. Czy Onesty złapał złodzieja na gorącym uczynku? Czy raczej inne pobudki kierowały nieskazitelnym dotąd Onahillczykiem? Pytania, pytania. Nie kończące się pytania. Naukowcy bezradnie patrzą na boga ducha winne drzewo, gmerają patykami w piasku. Nie wiedzą co z sobą zrobić. Od samego początku nie wiedzieli co z sobą zrobić. Lecz teraz przechodzą samych siebie. Droll przestał istnieć. Po domniemanym geniuszu ani śladu. Onesty i Melbrenn, dość kontrwersyjne postacie, wyeliminowane z gry. Ginesmani chwilowo syci rekordów. Turwaci wracają do zwiedzania starożytnych makiet. Badacze do swych przerwanych prac bardziej klarownych i jakże naukowych. Onahill opustoszało jak knajpa, z której nad ranem wychodzą po całonocnym balu goście. Nie pijani już i jeszcze nie skacowani, za to spragnieni łózką mleka i świeżego powietrza. Oni nie zapomną zacytować bletki od bólu głowy. My też nie zapomnimy. Tak na wszelki wypadek.

\*

Artykułu nie przyjęto. Za dużo żółci, a zbyt mało obiektywnej prawdy. W pełni popieram tę decyzję. Tak naprawdę było trochę inaczej. Ale tylko trochę.

#### Scena VIII

Usunąłem aparat spod nóg wisielca i położyłem go na stole. Próbuje nie patrzeć w martwą twarz przyjaciela, stanąłem na krześle i przeciąłem nożem pasek, na którym wisiał. Nie zdążyłem go przytrzymać i rozlecił się głuchy łomot padającego ciała na podłogę. Ułożyłem je w miarę naturalnie i przykryłem kocem. Po wykonaniu tej przykłej czynności odetchnąłem. Ale czas naglił, więc nie poświęciłem tej czynności zbyt wiele drogich sekund. Podeszedłem do drzwi, przekręciłem klucz w zamku. Chciałem spokojnie, bez przeszkód dociec przyczyny samobójstwa Onesty'ego. Wziąłem do ręki aparat. Nie rozmyślając nad tym co to jest, po co, jak działa i dlaczego, wcisnąłem jeden jedyny klawisz. Po chwili ciszy i bez ruchu przyszło mi na myśl, że aparat nieco podobny do odtwarzacza albo na coś jeszcze czeka, albo szuka dla mnie pozdrowień z zaświatów od swego konstruktora. Nie trzeba było być bardzo bystrym, by dojść do wniosku, że to produkt drollotwórcy. Z założonymi rękami czekałem na rozwój wydarzeń, aż moje rosnące obawy zostały rozwiane przez głos nieznanego mi brzmienia. Towarzyszyły mu nieznaczne zakłócenia, dlatego odruchowo wyciągnąłem dłoń chcąc go wyregulować. Umknęły mi przez to uwadze pierwsze słowa, następnych słuchałem już z rosnącym zaintrygowaniem:

## ...eny z retrospekcji

### Scena I

Po pięciu minutach czekania na jakikolwiek gest ze strony Abby'ego, którego przyszedłem odwiedzić w słoneczne południe, usłyszałem przytłumione mruknięcie. Abby Onesty nie wypuszczając z ręki nieodłącznej lornetki odwrócił się.

— Roe, ty zdaje się jesteś dziennikarzem?

— Dziesięć lat temu...

Zaraz, zaraz, zaraz... Włosy zjeżyły mi się na głowie. Miałem wrażenie „dèjà vu” lub „dèjà entendu”. Ale przecież nie mam ani padaczki ani paramnezji. Co u licha.

...Nazwałbym to „Historią Onahillskiego Guida”...

Teraz dopiero mogłem umieścić te fragmenty w swojej przeszłości. Podeszedłem do okna. Przytknąłem czoło do szyby. To o mnie — pomyślałem. — Nie, to raczej ja sam snuję wspomnienia. Podrapałem się boleśnie po policzku. Nic z tego nie rozumiałem. Gdy byłem zdolny skoncentrować się na skrzeczącym głosie dobiegającym z magnetofonu czy innego czorta, wątek już mi umknął.

...Na widok samolotu, mającego zabrać mnie do Onahill, zdumiałem się. Była to stara, pękata maszyna rolnicza typu „Bigoodworm”...

Powoli, niezmieennie powoli nabierałem pewności, że to moje, dubbingowane wspomnienia. Jakim cudem wyptywają one z głośnika tego aparatu, nie wiedziałem. Nie chciałem wiedzieć, a raczej nie chciałem zwariować. Tknięty gwałtowną myślą zerwałem się z krzesła, dopadłem Onesty'ego, odrzuciłem koc na bok i jego sztywniejącym palcem dotknąłem klawisza. Nastąpiła cisza wypełniona bezładnymi, koszmarnymi konkluzjami. Pełny napięcia antrakt nie trwał długo. Z przerażeniem słuchałem beznamietnego głosu, który nie należał do Abby'ego, tego byłem jeszcze pewien. Natomiast nie pojmowałem jednoznaczne go podobieństwa, wręcz identyfikowania się z nim. Wyglądało to tak, jakby bardzo osobiste wspomnienia wzięte z pamiętnika Onesty'ego, czytane były przez jego sekretarza. To niesamowite. Tym bardziej że przeszłość coraz bardziej zbliżała się do teraźniejszości...

...nie potrafię wyjaśnić co mną powodowało. Czułem, że muszę to zrobić. Działalem jak automat. Obudziłem się w nocy z gotowym planem usunięcia Tego Człowieka spośród żywych. Plan zapięty był na ostatni guzik. I rzeczywiście, pierwsze co zobaczyłem po przebudzeniu się to połówka drolla uciekająca na kradzionym koniu. Pognałem za nim wiedząc, że go ukarzę. Stało się tak jak się miało stać. Cieszę się tylko, że mogłem dokonać wyboru... miałbym się z pyszną gdybym był zmuszony zarębać go siekierą. Po wykonaniu wewnętrznego przymusu jak w nakazie posthipnotycznym miałem poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Czułem się wysmienicie. I wcale nie martwiła mnie perspektywa wieszania się. Tak trzeba było zrobić, bo wymagały tego okoliczności. Niczego nie żałuję, wręcz przeciwnie. Po pracowitym, udanym dniu nastaje pełen satysfakcji odpoczynek. Tobie też tego życzę, Roe, czeka cię dużo pracy.

Właściwie powinienem w tej przepojonej grozą sytuacji wyskoczyć przez zamknięte okno. Lecz nie zrobiłem nawet kroku. Za to uśmiechnąłem się. Szeroko i radośnie. Bardzo mnie to wszystko rozbawiło. Być może strach manifestował się rozbawieniem? Nie, raczej nie. Byłem święcie przekonany, że Onesty nie ułożyłby takiej wzniosłej spowiedzi. Przypominało mi to Okres Terroru Pomigracyjnego kiedy mówiło się tylko to, co było napisane na przydziałowej kartce. Na przykład „Jest mi dobrze, kocham swe lewe płuco gwarantujące mi wymianę gazową. Mam również nogi niosące mnie co rzeński ranek do wspaniałego kłozetu, gdzie oddaję porcję wonnego moczu. To wszystko zawdzięczam Biuru Migracyjnemu nr 154. Każdemu polecam usługi tegoż wielce humanitarnego Biura”.

Starannie przykryłem na powrót ciało kocem. Zapragnąłem poznać moje następne wspomnienia. Wcisnąłem klawisz

Pół godziny przed odlotem z Onahill wyszedłem z pokoju-kostnicy i postanowiłem ostatni raz spojrzeć na sosnę. A właściwie na szyszkę. Jedną, jedyną jaką urodziło drzewo



zajęte żywieniem Roslina. Wyciągnąłem don, by ją dotknąć i wtedy pomyślałem, że przecież mogłbym ją włożyć na pałeczkę lub nawet spróbować zasadzić nasioną. Tak – byłaby to w pewnym sensie osobliwość. Zerwałem szyszke i spojrziałem na cięciwkę. Nieważne, co mi się stało do czoła.

Wiem, że nie powinienem był wszak nagrany głos drzawki. Nie zaszkodzi spróbować. Byłbym zabezpieczony do końca życia.

– Ha! – wykrzyknąłem. – No to ci pokażę gdzie ja mam swoją pieprzoną szyszke! – Wypadłem z pokoju nie wylączając lepkiego głosika snującego się ze zwodniczego urządzenia, podbiegłem do drzewa. Najpewniej jakieś świństwo wykuło mi się w głowie po ośmiu miesiącach przebywania w tym niezdrowym miejscu. Ale mimo to nie dam sobą manipulować.

– Chodź no tu, maleńka. – Zerknąłem na szyszke. – Bełtaczu nieczysty, pozwól na chwilę do wujka. Pokażę ci jak drożdżad konsumuje szatańskie nasienie. – Zerwałem ją, wyluskałem nasiona i napchałem sobie nimi usta. Część pogryzłem, a część potknąłem kalecząc gardło. Popiłem piwem. Nie mogłem utrzymać butelki w rozdygotanych rękach. Działalem jak w stanie maniakałnym. Po godzinie nudności, zwymiotowałem i skrupulatnie powybieierałem z wymiocin zachowane w całości nasiona.

## Epilog

Takiej burzy dawno u nas nie było. Wietrzna, deszczowa noc zachęciła mnie do rozpalenia w kominku. Usiadłem wygodnie w fotelu wyciągając nogi w kierunku płonących polan. Lewą dłoń rozgrzewała mi filiżanka z justynskiej porcelany, w której parował mój ulubiony wywar z liści dawnej odmiany herbaty z Oranu. Prawą – ciepły cybuch tłącej się fajki, nabitej grubo ciętym tytoniem „Najznakomitszym”, zaprawionym szczyptą wonności i kapką Cognacu. Osiągnąłem komfort psychofizyczny. Gdy na dworze szaleje zawierucha z głośnymi grzmotami i zacinającym deszczem, bębniącym o szybę, ja zapadałem w błogą drzemkę. Spałem już prawie kiedy rozległo się natarczywe stukanie w drzwi.

– Panie Roe! Niech pan otworzy! Słyszysz mnie pan! Panie Roe, to ja, Kertycz!

Odstawiłem wystygły napój i ociężale podniosłem się z fotela. Domyślałem się z jaką nowiną przyszedł mój sąsiad. Otworzyłem drzwi. Stał za progiem, ubrany w ociekający wodą płaszcz przeciwdeszczowy. Kaptur opadał mu na oczy. Był podekscytowany.

– Co się stało? – zapytałem wpuszczając go do środka, mimowolnie spoglądając na zabłocone gumowce upstrzone rozdeptanym guaniem.

– Słyszałem... płacz. Dochodził z pańskiej plantacji. – Zajrzał mi prosto w oczy. Na rzesach osiadły mu kropelki wody. To był płacz dziecka. Dziwny jakiś.

Pokiwałem głową.

– To tylko wiatr zawodzi panie Kertycz. Rozhuśtane gałęzie skrzypią. Być może z gniazda pisklę wypadło.

– Ale słyszałem to nie po raz pierwszy. Poza tym płacz i kwilenie dochodzą z różnych miejsc.

– Na mojej, jak pan to szumnie nazwał plantacji, nie rośnie tylko jedno drzewo, panie Kertycz. Stąd dźwięki dochodzą z różnych stron. Pańska wyobraź...

– Na Boga, ja wyraźnie słyszałem płacz.

– Dziwi się pan? Aura nie sprzyja weseleniu się.

– Pan kpi ze mnie, a ja chciałem...

– Wiem co pan chciał. – Rozmowa już mnie znużyła. – Dziękuję, że się pan pofatygował. Nie trzeba było. Żadne zbłąkane dzicie nie znalazło się na mojej, hm, plantacji. Zapewniam pana. – Odprowadziłem go do drzwi. – Wszystko w najlepszym porządku – uprzedziłem jego pytanie, kiedy niezdeterminowane schodził z werandy i odwrócił się na moment.

Zamknąłem drzwi. Nie przekonałem go, to pewne. Będzie teraz węszył. Co zrobić, żeby te mechaty szczenięta, niewiele mające w sobie z dzidziusiów, tak się nie darty? Wrzask był niewątpliwie ludzki. Bastard. W które miejsce dać klapsa? Jak je przytulić? Bałem się widoku wylupiaszających oczu, pełnych najwykleszych w świecie łez. Co za koszmarny melanż. Chyba jednak muszę wyjść, bo ten płacz sprowadzi niedługo jakąś surową damę z opieki społecznej. Cholera! Stać mnie w końcu na zatrudnienie najdroższej niańki i na kupno największych donic, które wstawiłbym pod zadaszenie Jane Bishin – zaświtało mi w głowie. Gdy rozstawaliśmy się pięć lat temu na lotnisku, powie...

...sej... o zwiedzeniu Mierzei. Zdecydowałem, że napiszę do niej i zrobiło mi się nieco rażniej. Włożyłem pelerynę i na wszelkie wypadek wsunąłem do kieszeni grzechotkę.

# Bez etykiety

Wydawnictwo Łódzkie udostępniło nam niedawno kolejną, po biografii píoła K. Andriejewa, książkę poświęconą osobie J. Verne'a. A raczej nie tyle osobie, ile dziełu. Istotna to różnica, bo zbyt chybą przyzwyczailiśmy się do uproszczonego obrazu brodatego, poważnego pana, który napisał wiele niezwykle popularnych – a zarazem dość do siebie podobnych – powieści „dla młodzieży”, powieści o „niezwykłych podróżach” i „niezwykłych wynalazkach”. Schemat taki, choć na pewno w swym ogólnym zarysie odpowiadający prawdzie, jest równocześnie dla francuskiego pisarza nieco krzywdzący, ponieważ czyni zeń niejako autora „niższego rzędu”, a jego utworom nadaje charakter literatury niezbyt „poważnej”. Spojrzenie takie na pewno nie jest właściwe, gdyż z jednej strony, jeśli nawet miarą rangi powieściowego dzieła uczynimy stopień jego „realizmu” (co byłoby nie tylko upraszczające, lecz wręcz niesłuszne), to łatwo zauważyć, że świat przedstawiony powieści wielu innych uznanych pisarzy, powieści traktowanych jako niefantastyczne, jest w gruncie rzeczy równie nieprawdziwy, co i autonomiczny świat powieści J. Verne'a, z jego niezwykłymi wynalazkami, czy bez; z drugiej strony zaś, sam temat danej powieści nic nie mówi jeszcze o jej walorach literackich. Tymczasem to ostatnie zagadnienie w odniesieniu do powieści Verne'a było przez naszych literaturoznawców wyrażone lekceważone.

Tak więc szczególnie, można powiedzieć, uznanie należy się Janowi Tomkowskiemu, autorowi książki „Juliusz Verne – tajemnicza wyspa?”, który odrzucający utrwalone w naszej świadomości literackiej etykiety i gwałcąc otaczające niektóre tematy swoiste tabu, odniósł się do twórczości J. Verne'a z obiektywizmem i z wnikliwością badawczą równą tej, z jaką traktuje się dzieła pisarzy tej miary co E. Zola, G. Flaubert, G. Baudelaire. Rezultaty takiego potraktowania tematu są bardzo interesujące i zaciekawie mogą nawet mniej zorientowanego w danej problematyce czytelnika, tym bardziej że autor przedstawia swoje obserwacje w sposób nader przystępny, nadając im kształt swobodnego eseju.

Książka składa się z samodzielnych szkiców, które zarazem wiążą się w logiczną całość. Wspólnym ich tematem jest powieściowe universum „Niezwykłych podróży”, potraktowane jako „tajemnicza” – ciągle jeszcze nie zbadana, a jakże ciekawa – „wyspa”. Określenie „wyspa” wiąże się tutaj nie tylko z tytułem jednej z najpopularniejszych powieści Verne'a. Ma sens daleko głębszy. Oto bowiem, powieściowy świat Verne'a to w istocie całkowicie autonomiczny, zamknięty obszar, odcinający się zarówno od pozatekstowej, obiektywnej rzeczywistości końca XIX w., jak i od literackiego obrazu świata właściwego epoce naturalizmu, symbolizmu i dekadencji, w którym dominuje postawa zwątpienia i rezygnacji, bądź buntu, a któremu nierzadko towarzyszą demaskatorskie, bądź moralizatorskie intencje autorów. Jednakże świat Verne'a nie stanowi bynajmniej utopijnej wizji „pozy-

tywistycznego raju”: podlega niepodzielnej władzy „opatrności”, której funkcji człowiek przejąć nie może, i nie jest bynajmniej wolny od zła, którego narzędziem może być również nauka. Charakteryzuje się szczególnymi cechami, w odniesieniu do których Tomkowski używa ładnego określenia: „symetria pełna nadziei”.

W kolejnych rozdziałach są podejmowane zagadnienia natury filozoficznej oraz problemy bardziej ogólne, z analizą „architektury” cudownego świata „Niezwykłych podróży”, określeniem miejsca, jakie zajmuje w nim „cud” i „opatrność”, w szczególny sposób pojęta natura oraz zło, jak również temat, nieco „lżejsze”, do jakich zaliczyć można temat robinsonady, analizę tkwiących w powieściach Verne'a elementów komizmu i wreszcie obserwacje dotyczące spraw natury kulinarnej. W efekcie powstała całość barwna i urozmaicona, bogata w ciekawe informacje oraz wolna od uprzedzeń, obiektywne obserwacje autora, który już we wstępie zapowiedział m.in. *umieszczenie na jednej stronie nazwiska Comte'a i Verne'a, w dodatku wydrukowanych tym samym krojem czcionki*

„Juliusz Verne – tajemnicza wyspa?”, to nie tylko książka potrzebna i mądra, lecz także świetna lektura. I dla tych, którzy dobrze znają powieści Verne'a, i dla tych, którzy ich nie znają. Może po przeczytaniu książki J. Tomkowskiego do nich sięgnąć.

Barbara Okólska

Jan Tomkowski. *Juliusz Verne – tajemnicza wyspa?* Wyd. Łódzkie, Łódź 1987. Cena 170 zł.

Od początku można było się spodziewać, że wzrost popularności literatury science fiction spowoduje, iż część naszych wydawnictw zacznie produkować powieści z tego gatunku w tempie przyspieszonym, byle tylko napędzić kasę. O tym, że poziom tych produkcji w konsekwencji takich działań się obniża, nie muszę chyba nikogo przekonywać. Wina w tym przypadku leży nie tyle po stronie pisarzy, ile wydawnictw, a konkretnie redaktorów odpowiedzialnych za wybór pozycji przeznaczonych do publikacji.

Niedawno wpadła mi do ręki wydana nakładem Wydawnictwa „Alfa” powieść „Pomnik” Lloyd Biggle'a. Po przeczytaniu tego utworu, z niejakim zdziwieniem spojrzałem jeszcze raz na tytułową stronicę, widniejącą tam bowiem dedykacja – „Johnowi, Bee i Jackowi Flory'emu – wizjonerom”. Moje zdziwienie było tym większe, gdy z notki dowiedziałem się, w którym roku Biggle stworzył swoje dzieło – 1974. Owo wizjonerstwo przypominało mi pewne chwytliwy domorosłych wróżbitów – „Pokaż mi swój dowód osobisty, a powiem ci jak się nazywasz!”

Lloyd Biggle, Jr, z wykształcenia muzykolog, postanowił napisać utwór mający ostrzegać czytelnika przed niebezpieczeństwami nierozumnego postępowania człowieka ze swoim środowiskiem naturalnym. Jak postanowił, tak uczynił. W ten sposób powstało dzieło rażące i drażniące swoim nawnym dydaktyzmem, sztampową konstrukcją i fabułą. A wszystko to w kilka ładnych lat po opublikowaniu przez U Thanta raportu dotyczącego za-

grożenia naszej planety w wyniku postępującej degradacji środowiska naturalnego.

W „Pomniku” wszystko jest tak jak być powinno w tego typu banalnej bajeczce – akcja toczy się oczywiście na dalekiej planecie zamieszkałej przez potomków jednej z ziemskich wypraw kosmicznych. Panują tam szalenie skomplikowane i maksymalnie uduchowione relacje człowiek – środowisko, których najmniejsze zakłócenie prowadzić może tylko i wyłącznie do katastrofy. Na planecie ląduje kolejna wyprawa, której członkowie mają naturalnie złe zamiary (chcą wybudować supernowoczesny ośrodek wypoczynkowy dla turystów-milionerów), aczkolwiek nie mające nic wspólnego z celową eksterminacją tubylczej ludności. Na szczęście, dzięki „wspaniałym” (żeby było śmieszniej, są to członkowie Sił Zbrojnych USA), wszystko kończy się dobrze, a główny czarny charakter ponosi zasłużoną karę. Całość oprawiona jest kilkoma banalnymi szczegółami typowej dekoracji science fiction, jakie nie używa się w Polsce przynajmniej od kilkunastu lat. Tego rodzaju twórczość, jako żywo przypomina mi działalność dawnych babć, grożących dobrodusznym palcem nieposłusznej dziewczynie: „Oj, źle się dzieci bawicie!”

Wydanie „Pomnika” jest moim zdaniem dowodem na bardzo małą orientację niektórych wydawnictw w generalnych tendencjach science fiction, które pojawiły się już przed wieloma laty, i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych czy Europie Zachodniej, ale także i w naszym kraju. Powieść Biggle'a jest w sumie typowym

## Bajeczka

produktem trendu, jaki panował w polskiej SF w latach pięćdziesiątych.

Rozumiem, że wygodniej i taniej jest zapłacić pisarzowi tantiemy (w złotychkach), a tłumaczowi honorarium za przekład, niż wydać pieniądze na oryginalną twórczość któregoś z naszych autorów, ale nie wolno także zapominać o jakości, bowiem efektem takiej polityki, poza zniechęceniem czytelnika, będzie dalsze obniżanie poziomu proponowanej literatury. Tymczasem od kilku już lat istnieje na Zachodzie Europy (i nie tylko) nurt SF zajmujący się problemami ekologicznymi i społecznymi w sposób nader niekonwencjonalny: wystarczyć wspomnieć choćby o literackich dokonaniach młodej generacji pisarzy science fiction w Republice Federalnej Niemiec.

Ukazywanie problemu w sposób w jaki uczynił to Biggle jest tylko kolejnym krokiem do jego banalizowania i usypiania czujności. Takie bywają efekty literackich ciągłotek muzykologów. Gorzej gdy do ich poziomu zaczynają dostrajać się redaktorzy naszych wydawnictw roszczący sobie prawo do kształtowania gustów i postaw czytelniczych.

Wawrzyniec Sawicki

Lloyd Biggle, Jr. *Pomnik*. Wydawnictwa „Alfa”, Warszawa 1986. Cena 210 zł



Nieczęsto zdarza się, żeby autor zyskał popularność dzięki jednej książce. Tak stało się w przypadku Edmunda Wnuk-Lipińskiego, którego „Wir pamięci” (1979) uczynił go od razu znanym i uznanym autorem polskiej fantastyki naukowej.

Ale pisarzowi udało się równocześnie coś, co zdarza się jeszcze rzadziej. Swą powieścią otworzył w polskiej SF rozdział pod tytułem social fiction, który w następnych latach miał ją zdominować. Tuż za „Wir”... pojawiły się książki innych autorów: Janusza Zajdla, Macieja Parowskiego, Marka Oramusa i Wiktora Żwikiewicza, dla których SF była metodą do opowiedzenia o polskich problemach współczesnych. Był to czas kiedy social fiction „czuło się w powietrzu”, ale to właśnie Wnuk-Lipiński udało się zapowiedzieć nadejście tej orientacji.

Był on jednak najmniej płodnym z wymienionych pisarzy. Co prawda, mówiło się, że powstaje dalszy ciąg „Wiru...”, ale autor poświęcał się socjologii głównie zawodowo i na pisanie beletrystyki (nawet socjologicznej) nie zostawiało mu dużo czasu. A kiedy książka była już napisana, kolejnych parę lat zabrakło jej wydanie. I tak już (!) po dziesięciu latach w tym roku ma się ukazać „Rozpad połowiczny”.

Trzecia i zarazem ostatnia część cyklu, zatytułowana „Mord założycielski”, jest złożona w „Iskrach”, które obiecują, że książka trafi do rąk czytelników w przyszłym roku. A ponieważ śląski oddział KAW zamierza wznowić „Wir pamięci”, miłośnicy prozy Wnuk-Lipińskiego będą mieli możliwość skompletowania tej swoistej trylogii socjologicznej.

Na polskim rynku, którym nie rządziło do niedawna prawo równowagi podaży i popytu, wygląd zewnętrzny książki i jej tytuł – to, co powinno nęcić nas na pierwszy rzut oka – były w zasadzie bez znaczenia. Czytelnicy zazwyczaj wiedzieli jaką pozycję chcą kupić, zanim trafiała ona do księgarń. W przypadku fantastyki inwencję osłabiał chyba również fakt, że to co się ukazało i tak było wykupywane. Marek Oramus w swoim esej „Siedem grzechów głównych polskiej science fiction” wymienił „tytuł” jako grzech pierwszy, pisząc: „...tytuły niemal programowo rezygnują z oryginalności na rzecz skromności, sztampy, cichego kamuflażu, szarżyzny. Dalej jednak stwierdza, że... trafiają się odkrywcze i frapujące mianowania, np. „Wir pamięci”, „Śpiew kryształ” czy choćby „Wróble galaktyki”.

Wydaje się, że tytuły książek Wnuk-Lipińskiego są ważne, ponieważ rzeczywiście syntetyzują zamysł utworu. Nic więc dziwnego, że „Wir...” trafił do esaju Oramusa jako przykład pozytywny. Pomysł tytułu autor zaczerpnął z wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego: *A nocą w sen zgiedci / w warzający wir pamięci / zobaczą drwałe w lęku / przykuci nocy ręką / idące na nich prosto / topory sosen ostre.*

Równie interesujący jest tytuł jego nowej powieści. Tym razem jednak inspiracją nie była poezja, lecz fizyka. W dwudziestym wieku – atomowym, określenie rozpad połowiczny kojarzy się z pierwiastkami radioaktywnymi. Zgodnie z definicją, czas, po którym pierwiastek traci połowę ze swej aktywności nazywamy właśnie okresem połowicznego rozpadu. Oczywiście w książce odnosi się ona metaforycznie do zwykłych ludzi. Pojęcie rozpadu pojawiło się już w „Wirze pamięci”, chodziło tam o rozpad osobowości. Główny

bohater Albert Wardenson jest człowiekiem, któremu zabrano przeszłość, wymazując ją i zastępując inną, fikcyjną. Autor stawia tezę, że historii (ani tej wspólnej, ani indywidualnej) nie można zniszczać bezkarnie. Prawda jest jak sznur nanizanych kolejno koralików. Gdy wyrwie się choć jeden, zniszczona zostanie całość. Wymazanie z pamięci fragmentów życia wywołuje u bohatera męczące uczucie pustki. Tylko wyjaśnienie niepokojących faktów może uchronić go przed schizofrenią, czyli właśnie rozpadem osobowości. Akcją „Rozpadu połowicznego” toczy się w zakładzie resocjalizacji, gdzie spotykamy niektórych z poz-

ze „niedzielne pisarstwo” wyzwoliło jego prawdziwe zainteresowania. Wnuk-Lipiński pisząc o potrzebie poszukiwania i odkrywania własnej tożsamości, poznawał zarazem samego siebie. SF nie była dla niego ucieczką od rzeczywistości, lecz kolejną możliwością wyrażenia dręczących nas problemów.

Wydaje się, że równie ważnym bodźcem dla jego pisarstwa był lęk przed kierunkami rozwoju i wykorzystania nauki (na przykład w celu manipulowania ludźmi). Już w „Wirze pamięci” autor poruszał problem możliwości ingerencji w funkcjonowanie ludzkiego mózgu, dyskutując tym samym nad kwestią wolności

## Trylogia socjologiczna

nanych wcześniej bohaterów. Ponieważ zostali uznani za nie nadających się do życia w społeczeństwie, żeby do niego wrócić muszą zmienić swoje postawy życiowe. Czy Wnuk-Lipiński nadając taki tytuł sugeruje, że jego postacie nie zostaną zniszczone do końca, lecz tylko „połowicznie”, czy też wręcz przeciwnie, że stracą w czasie kuracji połowę swej żywotności, połowę siły, połowę aktywności? Czy ci na wpół ludzie mają być doskonałymi obywatelami Apostezjonu (tak autor ochrzcił świat, w którym rozgrywa się akcja wszystkich trzech książek)?

Apostezjon (apostazja – z gr. odchylenie od normy) jest wyspą, odseparowaną od reszty świata, różniącą się od niego także sposobem życia i rządzenia. Jego najwyższą władzą jest Zespół Ekspertów dążących do stworzenia państwa idealnego. Oni też, a nie ci, którzy mają stać się doskonali, ustalają obowiązujące ideały. W tym miejscu należałoby może odwołać się również do innych pisarzy uprawiających social fiction, którzy poruszali ten sam problem. Jednak wtedy zagadnienie przeszłoby ramy niniejszego szkicu. Tym razem zostaniemy więc przy powieściach Wnuk-Lipińskiego. Pokazany jest w nich obraz społeczeństwa wymaginowanego, ale bohaterowie stają w obliczu sytuacji, które mogą być udziałem każdego z nas. Autor kreśli szeroką panoramę stosunków społecznych, pokazując zarówno tych, którzy rządzą, z ich sposobem myślenia i działania, jak i zwykłych obywateli, żyjących z dnia na dzień i nie zastanawiających się zbyt często nad otaczającą ich rzeczywistością, ale także takich, którzy nie godząc się na narzucony im sposób życia sprzeciwiają mu się lub starają się żyć poza nim, tworząc margines będący nieuchronnym produktem systemu. Na przykładzie Wardensona pokazuje intelektualistów, którzy dali się zwieść pozornym ideałom Apostezjonu, należąc nawet do grupy rządzących wyspą, ale też potrafili po poznaniu rzeczywistego obrazu przeciwstawić się władzy, którą wcześniej wspierali swym autorytetem i odejść od niej. Przy tym akcja książki poprowadzona jest w lekkiej, sensacyjnej formie trzymającej czytelnika przez cały czas w napięciu.

Kiedy powstawał „Wir pamięci” Wnuk-Lipiński zawodowo zajmował się socjologią kultury i socjologią czasu wolnego. Bardziej interesowały go jednak systemy społeczne i nierówności społeczne – tematy, w których specjalizuje się ostatnio jako socjolog. Można zaryzykować tezę,

człowieka. Natomiast w „Rozpadzie...” sterowanie psychiką stało się głównym tematem książki. Tym razem autor rozważa możliwość modelowania ludzi na kształt i podobieństwo założonego ideału. Wyraźnie widać przy tym ewolucję bohaterów, coraz lepiej rozumiejących samych siebie, otaczających ich świat i swoje w nim miejsce. Kolejnym krokiem na drodze poznania będzie „Mord założycielski” – najpełniejsza i najbardziej dojrzała część trylogii, gdzie do wątku egzystencjalnego, który pojawił się w „Rozpadzie...” dojdzie jeszcze metafizyczny.

Postacie Wnuk-Lipińskiego są żywe i wiarygodne, dlatego też nie umierają, gdy pojawia się słowo KONIEC. Ciekawie ewoluuje od pierwszego do trzeciego tomu sylwetka Wardensona, jego przemiana jest zrozumiała psychologicznie. W „Rozpadzie...” natomiast najbardziej interesujące są zróżnicowane wybory jednostkowe pokazane na tle średniej świadomości. Niektóre postawy traktowane są jako anomalie, tylko jednak dlatego, że w Apostezjonie norma została sztucznie zmieniona. Natomiast obraz państwa w pierwszych dwóch tomach jest nazbyt sterylny i niezawodnie funkcjonujący w przejawach życia codziennego, co kłóci się z tezą autora o jego niedoskonałości. Dopiero w „Mordzie założycielskim” nieprawidłowości społeczne pociągną za sobą kłopoty w innych dziedzinach życia. Lśniący chromem, wabiący kolorowym plastykiem i bezbłędną techniką przyszłość jest spadkiem po literaturze SF lat sześćdziesiątych. Niełatwo było zrezygnować z wiary, że technika przyszłości rozwiąże wszystkie problemy. Jednak w trzecim tomie ponura rzeczywistość pojawia się bez osłonek. Jest to jeden z wielu punktów, gdzie proza polskiego autora spotyka się z tematyką poruszaną przez Philipa K. Dicka. Obaj obsesyjnie poszukują prawdziwego obrazu świata przedzierając się przez kolejne, złudne jego projekcje. I choć pomysł ten był wykozystywany w fantastyce naukowej (ciężkawie rozegrany przez Lema w „Kongresie futurologicznym”), zarówno dla Dicka, jak i Wnuk-Lipińskiego nie jest to temat, lecz pasja. Poruszają go nie dlatego, że są pisarzami SF, ale właśnie dlatego uprawiając science fiction, że najpełniej umożliwia ona pokazanie ich poszukiwań. Innym ważnym i wspólnym punktem twórczości tych dwóch, pozornie tak różnych pisarzy, jest fascynacja ideą Mesjasza i męczeństwa, jako drogi do zbawienia, nie siebie, lecz innych. Stwarzają na



kartach powieści postacie, które swym cierpieniem sprawiają, że staje się to, co wyglądało na niemożliwe. Wydaje się przy tym, że u Dicka jest to rodzaj buntu przeciwko kulturze amerykańskiej, a u Wnuk-Lipińskiego powrót do tradycji kulturowych naszego obszaru cywilizacyjnego. Zbawiciel wykreowany przez tego ostatniego objawi się dopiero w „Mordzie założycielskim”, ale czytelnik, nie wiedząc jeszcze o tym, spotyka go już w poprzednich książkach. W „Rozpadzie...” natomiast mamy obraz współczesnego męczeństwa.

Często zarzuca się literaturze SF, że ignoruje sferę uczuć. Jednak nie u Wnuk-Lipińskiego. Jego bohaterowie kochają się lub przestają się kochać, są ze sobą albo rozstają się. Jak w życiu. Autor popełnił jedynie błąd uwierzywszy w trwały rozpad instytucji rodziny, będący jednym z hasel ruchów młodzieżowych lat sześćdziesiątych. Prognoza ta, jak widać w dwadzieścia lat później, była mylna, co zresztą przyznaje również autor, pokazując w „Mordzie...” stosunki odpowiadające modelowi współczesnemu. W „Wirze...”, jeżeli czytamy go dzisiaj, nieco razi, że nawet temporyści, grupa mieszkańców Apostezjonu odrzucająca „dobrodziejstwa” czasów im współczesnych i zachowująca tradycje (sprzed Wielkiej Zmiany), tym tylko nie różnią się od reszty społeczeństwa, że i ich związki są krótkotrwałe i nie mają większego znaczenia dla struktury społecznej. Jest to posthuxleyowskie widzenie nowego, pięknego świata.

„Rozpad połowiczny” nie zestarzał się, choć otrzymujemy go w pięć lat od jego napisania. Emocje kierujące bohaterami są wieczne. Strach, nienawiść, miłość, przyjaźń nie zależą od mód literackich, a jest to niewątpliwie ta część trylogii, w której emocje najdobitniej dochodzą do głosu. Można zaryzykować twierdzenie, że głównym bohaterem tej książki jest strach. Tkwi on w postaciach i istnieje także wokół nich. To jemu podlegają, z nim walczą, przełamują go czasem bohaterowie Wnuk-Lipińskiego, który pokazuje jak różne mogą być postawy w obliczu strachu. I choć finał książki pozostawia nam nadzieję, zakończenie, jak zwykle u tego pisarza, jest pozornym lub przynajmniej niecałkowitym happy endem.

Każdą z części trylogii Wnuk-Lipińskiego można traktować jako osobną powieść, jednak dopiero przeczytanie całości ukazuje nam pełen obraz świata stworzonego przez pisarza. Można zaryzykować twierdzenie, że w tym przypadku całość jest większa od sumy składników – może nie jest to w zgodzie z matematyką, ale tu wydaje się trafne. Tak więc już niedługo ukaże się „Rozpad połowiczny”, a za rok trylogia będzie kompletna. Ale życie płynie dalej, a pisarze, którzy najwerniej zapisują historię, mają i będą mieli jeszcze wiele do napisania. Czas nie stoi w miejscu i inny jest już nasz stan wiedzy, świadomości i doświadczeń niż na początku lat osiemdziesiątych. Pojawiają się nowe mody i nowi pisarze, którzy chcą pokazać swoje widzenie świata przez pryzmat SF. Social fiction nie umarła, lecz ciągle ewoluuje, razem ze zmianami, które w nas zachodzą. Tęgo typu zmiany są niezwykle trudnym, ale i ciekawym wyzwaniem dla pisarza. Gieławe jak odpowie na nie Wnuk-Lipiński?

Dorota Malinowska

Edmund Wnuk-Lipiński: *Wir pamięci*, Czytelnik, Warszawa 1979; *Rozpad połowiczny*, Czytelnik, Warszawa 1988; *Mord założycielski*, Iskry, Warszawa 1989 (plan).



## Fantastyka pozwala powiedzieć więcej...

z Edmundem Wnuk-Lipińskim  
rozmawia Rafał A. Ziemkiewicz

**Rafał A. Ziemkiewicz:** – *Jest pan naukowcem, socjologiem. Jak to pogodzić z pisarstwem SF?*

**Edmund Wnuk-Lipiński:** – Bywa to trudne, ale trudności te wynikają przede wszystkim z konieczności dostosowywania się za każdym razem do innej konwencji. W gruncie rzeczy jednak, siadając do pisania, chce się zawsze przekazać innym pewne sprawy, które uważa się za ważne tego. W moim wypadku te sprawy pozostają niezmiennione, tyle że nie wszystko mieści się w konwencji pracy naukowej.

– *Czy to było właśnie powodem, dla którego zaczął pan pisać fantastykę?*

– Tak, to była główna przyczyna. „Wir pamięci” powstał właśnie dlatego, że używając – nazwijmy to – „socjologicznych” środków wyrazu nie byłem w stanie przekazać tego, co dręczyło mnie pod koniec lat siedemdziesiątych.

– *Powstało równolegle z nim kilka powieści bardzo podobnych do pańskiej. Czy znał pan ich autorów, czy można tu mówić o jakichś wzajemnych wpływach?*

– Wtedy chyba w ogóle nie było jeszcze żadnego ośrodka, który grupowałby ludzi zajmujących się zawodowo fantastyką. Ja w każdym razie trafiłem do tego środowiska dopiero w latach osiemdziesiątych, w dwa lata po debiucie. Myślę, że druga połowa lat siedemdziesiątych stworzyła pewien specyficzny klimat intelektualny. Uważałem on wielu ludzi na sprawę przyszłości systemów społecznych, kazał się nad tym głębiej zastanowić. Stąd chyba wzięły się podobieństwa w powieściach, uznawanych dzisiaj za kanon fantastyki socjologicznej.

– *Pomówmy o tej fantastyce. Dlaczego debiutujący wówczas autorzy sięgnęli po*

*konwencję science fiction? – Czy – jak się często uważa – była to jedynie próba ominięcia przeszkód cenzuralnych?*

– Nie sędzę. Orwell czy Huxley nie musieli przecież krępować się żadną cenzurą, a mimo to użyli tej samej konwencji. Nie „zamiast”, ale dlatego, że dawała im większe możliwości, mogli dzięki niej powiedzieć więcej i ostrzej – w sensie artystycznym – niż dzięki jakiegokolwiek innej. To samo przesłanie wtłoczone w ramy, dajmy na to, powieści współczesnej, nie miałyby tej siły i tej sugestyjności. Ale wiem, skąd bierze się pogląd, który pan zacytował. Fantastyka socjologiczna bywa często odbierana w sposób niezupełnie właściwy, poszukuje się w niej wyłącznie aluzji do aktualnych wydarzeń i układów. To bzdurne; literatura nie może składać się jedynie z aluzji. Buduje się tu

pewną metaforę świata, która powinna być odnoszona nie tylko do jednego, konkretnego społeczeństwa „tu i teraz”.

– *Tak jest i w „Wirze pamięci”.*

– Ta powieść powstała w efekcie pewnego eksperymentu myślowego: jak wyglądałoby społeczeństwo, wymodelowane według pewnych tendencji, które ujawniały się wtedy w otaczającym nas świecie – przy założeniu, że dałoby się wprowadzić je w życie. Jak już powiedziałem, nie mogłem tego zrobić w pracy socjologicznej. Nauka nastawiona jest na badanie i objaśnianie tego, co istnieje, nie na zastanawianie się „co by było, gdyby...”

– *Czyli postąpił pan tak samo, jak autorzy ze stałymi Campbella. Tyle że przedmiot ich gdybania były nauki ścisłe.*

– Chciałem napisać to, czego mi osobście w SF brakowało. No i oczywiście wykorzystałem przy tym wiedzę, jaką daje mi mój zawód.

– *Czy w takim razie słuszne jest stwierdzenie, że fantastyka socjologiczna dokonała w polskiej SF przełomu? Przecież metoda pisania jest tu identyczna jak w klasycznej SF, sięgnięto tylko po inny materiał.*

– To sprawa etykietek. A etykiety są ważne przede wszystkim dla czytelników, którym pozwalają swobodniej poruszać się wśród książek. Dla autora ma to mniejsze znaczenie. Ja zresztą, pisząc, nie starałem się dopasowywać do istniejących klasyfikacji, raczej przeciwnie – utrudnić trochę życie klasyfikatorom. Poza tym, pamiętała trzeba, że fantastyka – ta najlepsza, nie ta od potworów – zawsze zastanawia się przede wszystkim nad tym, jak w tej zbudowanej przez autora rzeczywistości zachowałby się człowiek. Jak funkcjonowałyby w niej stare dylematy moralne, wyartykułowane już w tragediach antycznych.

— Obawiam się, że klasyfikatorzy i tak mają wystarczająco ciężką pracę. Trudno jest wytyczyć granice fantastyki socjologicznej, na dobrą sprawę mieści się w niej sporo dokonań, wcale z tym terminem nie kojarzonych.

— Na przykład niektóre z podróży Ljona Tichego, w których Leń wykazał się absolutnym słuchem społecznym, pokazując, w jaki sposób zbiorowości ludzkie bywają zniewalane przez doktrynę. To było przecież pisane na wiele lat przed wymyśleniem nazwy social fiction. W literaturze jest podobnie jak w naukach społecznych: ilekroć zrodzi się w niej jakiś nowy prąd, zawsze się okazuje, że ktoś już kiedyś w ten sposób myślał i pisał. Są także takie utwory, których nie zalicza się do fantastyki socjologicznej, chociaż moim zdaniem niewątpliwie do niej należą, ponieważ wyszły spod piór pisarzy zupełnie z gettem SF nie związanych. Myślę tu przede wszystkim o „Małej Apokalipsie” Konwickiego.

— Była taka teza, że fantastyka socjologiczna pojawiła się u nas jako literatura „zamiast”...

— To niesłuszne, chyba już wyjaśniłem, dlaczego. Rozwinęłaby się zapewne tak czy owak.

— Ja bym to rozumiał trochę inaczej: nie zamiast tego, czego literatura nurtu głównego dać nie mogła, tylko czego dać nie potrafiła. Jeden z wybitnych literaturoznawców powiedział kiedyś, że sztuka w swym rozwoju coś zgubiła, i to „coś” podjęte zostało przez kulturę masową. Można te słowa odnieść i do naszej fantastyki: podchwyciła po prostu sprawy, które nuri główny odrzucił albo przetworzył w formy zupełnie niestrawne dla czytelników.

— Z tym się zgodzę. Jest to zresztą jedna z podstawowych zasad mojego pisarstwa: przekazując istotne dla mnie treści, muszę zawsze pamiętać o formie, w jakiej to robię. Żeby była ona, mówiąc najkrócej, atrakcyjna. Dlatego staram się zawsze przyciągnąć czytelnika, zaintrygować go żywą fabułą — to chyba uprawniony i uczciwy chwyt. Dopiero wtedy mogę liczyć, że czytelnik nie zatrzyma się na tej pierwszej, fabularnej warstwie, że zacznie zadawać sobie pytania: dlaczego świat powieści jest właśnie taki? Dlaczego tak potoczyły się losy bohaterów? A jak ma się do tego nasz świat, nasze losy? Jeżeli przynajmniej u części odbiorców takie pytania się pojawiają — to fajnie, o to właśnie chodziło.

Dzięki tej zasadzie fantastyka ma dziś duży wpływ na społeczeństwo.

— Nie przesadzałbym z tym. Oczywiście, w jakiś sposób lektury fantastyczne mogą wpływać na kształtowanie się postaw, ale w gruncie rzeczy fantastyka dociera tylko do drobnej części potencjalnych odbiorców. Jest to większa liczba, niż w wypadku nurtu głównego, ale zupełnie znikoma, jeśli porównać ją na przykład z Mickiewiczem czy Sienkiewiczem. Badania dowodzą, że to właśnie klasyka ma na nasze społeczeństwo stosunkowo największy wpływ. Trudno się zresztą temu dziwić.

— Zarzuca się fantastyce socjologicznej, że koncentruje się na opisie dramatów całych społeczeństw i systemów, prawie nie istnieją w niej natomiast dramaty żyjących w tych systemach ludzi. W „Wirze pamięci” postaci były dość blade, istniały tylko o tyle, o ile były potrzebne dla fabuły...

— Spotkałem się już z tym zarzutem. Dlatego w „Rozpadzie połowicznym” starałem się wydobyć przede wszystkim ludzkie namiętności, lęki i nadzieje — system był tutaj tylko tłem. W trzeciej części trylogii, zatytułowanej „Mord założycielski” starałem się już pokazać i jedno, i drugie. Zobaczyć się, na ile mi się to udało.

— W latach osiemdziesiątych powieści socjologiczne wzbudziły u nas autentyczny entuzjazm wśród recenzentów i fanów. Teraz, mam wrażenie, wahał się odbijać w drugą stronę. Można się spotkać z opinią, że powiedziano w nich niemal już wszystko, co fantastyka socjologiczna miała u nas do powiedzenia.

— Można równie dobrze powiedzieć, że już w „Utopii” Morusa i „Mieście słonca” Campanelli powiedziane zostało wszystko o problemach egzystencjalnych człowieka w społeczeństwie. Tymczasem nasz świat wciąż się zmienia, wciąż pojawiają się nowe problemy, które musi podejmować literatura. Myślę, że dalszy rozwój fantastyki socjologicznej nie będzie tylko uzupełnianiem już zbudowanej konstrukcji, raczej szukać się będzie nowego paradygmatu myślenia o człowieku w społeczeństwie. Możliwości tego gatunku są tutaj ogromne.

— W czwartym tomie „Almanachu literackiego Iskier” znalazła się taka wypowiedź Wacława Sadkowskiego: „SF wyrosła z literatury jarmarcznej, dostarczającej czytelnikom emocji z dreszczykiem, dopiero z czasem uszlachetniła się. U nas rzecz zdaje się brać początek z wieszczbiarstwa, autorzy SF chwytają się z punktu za największe problemy, których udźwignięcie zdaje się przerastać możliwości gatunku”.

— Nie sędzę, żeby jakiegokolwiek problemu przerastały możliwości gatunku. Mogą przerastać pisarzy, ale to zupełnie co innego. A co do pochodzenia SF — oczywiście, to prawda. Film wyszedł z jarmarcznej budy, teatr — z ulicznego kuglarstwa. Sama literatura też nie zawsze cieszyła się w dawnych wiekach najlepszą reputacją. Nie należy mieć z tego powodu kompleksów.

— Pisz pan stosunkowo niewiele.

— Nie jest to mój główny zawód, przede wszystkim jestem socjologiem. Powiedziałem już kiedyś o sobie, że jestem pisarzem niedzielnym.

— I pisze pan w sposób bardzo tradycyjny. Znam wielu ludzi, którzy tego typu literaturę skreślają z założenia, twierdząc, że tak się pisało w dziewiętnastym wieku.

— Dla mnie forma jest sprawą drugorzędną. Staram się tylko, żeby lektura moich tekstów była zajmująca. A że zajmowało pisanie głównie w dziewiętnastym wieku...

— I nigdy nie ciągnęło pana do „strumienia świadomości”?

— Nie lubię w literaturze podziwiać. Chociaż, oczywiście, można znaleźć wiele książek, w których pewne zabiegi formalne pozwalają usprawnić przekaz. Choćby „Mechaniczna pomarańcza” Burgessa.

— O to mi właśnie chodziło...

— Nigdy jakoś nie zastanawiałem się nad tym, jakie zabiegi formalne zastosować w powieści — może dlatego, że jestem pisarzem niedzielnym. Po prostu siadam i piszę. Na razie wszystko mieściło mi się w tradycyjnej formie.

— Ale pańskie powieści są niezwykle precyzyjnie skonstruowane, do najdrobniejszych szczegółów. Nie chce mi się wierzyć, żeby było to tylko efektem intuicji.

— Ale tak właśnie jest. Maciej Parowski, porównując kiedyś moje pisarstwo z tekstami Marka Oramusa — nie wiem, czy gdzieś to napisał, czy pozostało to tylko w rozmowie — stwierdził, że Oramus „pisze bebeczami”, a ja układam precyzyjnie zaprojektowane konstrukcje, w których nie ma już miejsca na żadną spontaniczność. Być może tak to z zewnątrz wygląda, ale to nieprawda. Siadając do pisania mam oczywiście pewien zamiysł, ale funkcjonuje on tylko jako rozrusznik. Po kilkudziesięciu stronach postaci zaczynają żyć własnym życiem i muszę sam podążać za nimi. Wiem z grubsza, jak która z nich może zachować się w określonych warunkach, żeby nie było to psychologicznym nieprawdopodobieństwem. Reszta rodzi się w zasadzie sama. Czyli, jest to jak najbardziej spontaniczne.

Piotr Szulkin nosił się kiedyś z zamiarem przeniesienia „Wiru pamięci” na ekran. Zabierając się do pisania scenariusza prosił mnie o „drabinkę”, to znaczy o schemat zależności między postaciami. „No, przecież chyba bez tego nie pisał?” A ja w ogóle nie wiedziałem, o co mu chodzi.

— Taka SF, jaką pan uprawia, przechodzi u nas powoli na pozycję „klasycznej” fantastyki. Pojawiają się nowe prądy, trochę surrealistyczne, trochę oniryczne, rodzi się w ciężkich bólach polska fantasy. Czy konkurencja jest teraz silniejsza niż w czasach pańskiego debiutu?

— Tak, i oby była jak najsilniejsza. Im więcej różnych nurtów, tym lepiej, to znaczy, że gatunek żyje. Ale myślę, że fantastyka socjologiczna, jako gatunek, może się jeszcze długo nie bać konkurencji.

— Mam nadzieję, że w chwili publikacji tego wywiadu „Rozpad połowiczny” będzie już na rynku. Trzecia powieść, „Mord założycielski” złożona już jest w „Iskrach”.

— Tak, i to już koniec tego cyklu. Jest w nim pewien zamiysł, który, jak sędzę, da się zauważyć po lekturze wszystkich trzech części. Ale na razie może nie ma co o tym mówić. Książki powinny bronić się same.

— Koniec trylogii o Apostezjonie, ale chyba nie zamierza pan na tym skończyć pisanie fantastyki?

— Oczywiście, że nie

— Co będzie dalej?

Sam jeszcze nie wiem. Zobaczymy.

— Dziękuję za rozmowę

(grudzień 1987)



## Pikulski Zygmunt (ur. 1928)

Dziennikarz, popularyzator nauki, autor SF

Urodził się 23 marca 1928 r. w Częstochowie. W latach 1948-1953 studiował filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel, następnie w zespole redagującym „Nową Księgę Przysłów Polskich” pod kierownictwem prof. Juliana Krzyżanowskiego. Od 1959 r. dziennikarz w „Kurierze Lubelskim”, zajmuje się popularyzacją nauki, prowadzi stały felieton „Przez szkło futurologii”. Podobne felietony pisywał w latach 1975-1981 do „Tygodnika Kulturalnego”, a ostatnio do „Przeglądu Tygodniowego” („Nauki z nauki”). Wybory wspomnianych tekstów ukazywały się w formie książkowej: „Na progu XXI wieku” (1978), „Niebo nad głową” (1980), „Przez szkło futurologii” (1985). Autor dwóch kryminałów pisanych pod pseudonimem Robert Lande („Ostatni śmieje się morderca” i „Koszmarne sny pani Farder”). Tłumacz powieści G. Simenona (Maigret zastawia pułapkę, Maigret i storey).

W 1969 r. ukazał się zbiór opowiadań fantastyczno-naukowych Zygmunta Pikulskiego „**Nie ma mądrych**” (Wydawnictwo Lubelskie; zawartość: Jedyny przyjaciel gangsterów, Wczasy na Arcturusie, Nie ma mądrych, Fatalna podróż, Wyrok), a w 1985 r. powieść „**Pojedynek z upiorem**” (Wydawnictwo Lubelskie), nawiązująca do motywacji fantastycznej z pogranicza cudowności i niesamowitości (wątek parapsychologiczny).

Twórczość Zygmunta Pikulskiego sięgająca do wzorców beletrystyki popularnej dotyczy psychologicznych i społecznych konsekwencji zastosowania niezwykłych wynalazków. W opowiadaniu „Jedyny przyjaciel gangsterów” profesor parapsychologii, konstruktor aparatu do odczytywania myśli, pomaga w wykryciu niebezpiecznych przestępców. W tytułowej historii zbioru „Nie ma mądrych” uczony wynajduje aparat służący do rejestrowania fal elektromagnetycznych i przekazuje kobiecie wyobrażenia o idealnej żonie, ratując jej małżeństwo przed rozpadem. Istotny problem pojawia się w „Wyroku”, gdzie nowego typu elektroencefalograf umożliwia przeprowadzenie niewidzialnej operacji na psychice człowieka i dokonanie korekty stanów emocjonalnych.

## Pisarski Roman (1912-1969)

Nauczyciel, literat

Urodził się 23 marca 1912 r. w Stanisławowie. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był nauczycielem w liceach ogólnokształcących Gliwice, Września, Zabrze i Poznań. Od 1952 r. zajął się wyłącznie twórczością dla dzieci i młodzieży.

Debiutował w 1939 r. wierszem „Głani-

ca” opublikowanym w „Kurierze Literacko-Naukowym”. Autor wierszowanych opowiadań, audycji radiowych, tekstów piosenek dziecięcych (m.in. „Podróże małe i duże”, 1958; „Głanię kołki”, 1962; „Domy zanik”, 1963; „Opse i kłory jedzą kłory”, 1967; „Zmarł 10 paź 1969 w Warszawie”).

W 1966 r. opublikował opowiadanie dla młodzieży „**Sztuczny człowiek**” (PZWS, Warszawa). Jest to historia o robocie podarowanym chłopcu przez ojca – genialnego inżyniera, opatrzoną dydaktycznym przesłaniem: automat nie może zastąpić człowieka i wyrzucić go w pracy korcepcyjnej. Inne opowiadanie Romana Pisarskiego „**Sprzęgło czasu**” (nie publikowane w kraju) ukazało się w RFN-owskiej antologii „Die gelbe Lokomotive und andere Kindergeschichten aus Polen”, 1975).

## Połom Stefan (ur. 1938)

Historyk, literat, popularyzator nauki

Urodził się 10 grudnia 1938 r. w Toruniu. Ukończył Wydział Historii i Wydział Filozofii na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. W latach 1962-1965 pracownik muzeum we Fromborku. Kierownik literacki rozgłośni Polskiego Radia w Olsztynie, prezes tamtejszego klubu literackiego. Członek Towarzystwa Miłośników Astronomii, autor artykułów o tematyce astrologicznej zamieszczanych na łamach „Warmii i Mazur”, „Gazety Olsztyńskiej”. Jako poeta debiutował w „Nowej Kulturze” (1960). Opublikował kilka zbiorów poetyckich, w których znalazły się tzw. wiersze astralne: „Przymierze obłoków” (Pojezierze, Olsztyn 1964), „Włócznie” (PIW, Warszawa 1967), „W cieniu sierpni” (Pojezierze, Olsztyn 1971), „Wiemość” (Pojezierze, Olsztyn 1978), „Rok bez nieba” (Pojezierze, Olsztyn 1983).

Nowelistykę fantastyczną zamieścił – obok innych utworów – w zbiorze „**Siódmy wspaniały świat roślin**” (Pojezierze, Olsztyn 1977; zawartość: Znak oczu, Siódmy wspaniały świat roślin, Wieczny ogień, Przejazd, Sen o Adelajdzie, Karmiciel ptaków, Bulanka, Czekaj, ja wrócę, Białe konie, Alicja, Porcelana Fuerstenberg, Nokturn z morzem, Nokturn ze śniegiem, Wieczór w kurorcie, Człowiek z hotelu, Hotel „Interes”, Korwalia, Z lwicą). W 1982 r. wydał „**Wzgórze Jasnowłosej**” (Pojezierze, Olsztyn; tu nowela SF: Straże gwiazd).

Fantastyka naukowa Stefana Połoma jest rodzajem kostiumu literackiego, jej przesłanie podąża w kierunku motywacji onirycznych, metafizycznych pozostawiając czytelnikowi pewną swobodę interpretacji wydarzeń. I tak na przykład „Wieczny ogień”, „Siódmy wspaniały świat roślin” opowiadają o zagadkowości ludzkiego życia, jego dziwnych przypadkach i formach istnienia. W „Strażach gwiazd” odkrywamy poetycką parafrazę „kontaktu” przebiegającego w wyobraźni człowieka.

Przygotował  
Andrzej Niewiadowski

Wbrew pozorom inne są źródła literatury, inne zaś filmu fantastyczno-naukowego. Jak zauważa William Johnson w swym artykule „Podróż do krainy science fiction”: *historycy literatury science fiction zazwyczaj szukają jej antenatów cofając się poprzez Swifta i Keplera aż do Lukiana z Samosatry*<sup>1</sup>, natomiast film SF wywodzi się z tradycji widowiska, zaś jego „ojcem” jest autor „Podróży na Księżyc” (1902) – Georges Méliès. Inaczej wyglądał też rozwój filmowej fantastyki. U podstaw literatury SF odnaleźć można fascynację techniką i przyszłością (optymistyczną – jak u Verne’a, lub pesymistyczną – jak u Wellsa), natomiast film SF czerpie inspirację z wymienionego wyżej widowiska oraz z fantastyki grozy. Wymownym przykładem jest charakterystyczny właśnie dla filmu nurt fantastyki poświęconej gigantycznym potworom (np. „Godzilla”, reż. Inoshiro Honda; 1954), gdyż łączą się w nim oba te elementy. W przytoczonym artykule Johnson zauważa, że – w przeciwieństwie do literatury – *film SF jest formą rozrywki masowej, tworzonej przez ludzi, którzy miesiąc wcześniej pracowali nad westernem, a za miesiąc będą robić dreszczowicę*<sup>2</sup>. Dopiero w ostatnich latach sytuacja ta nieco się zmieniła.

### 1. Literatura a film SF

Inną jeszcze różnicę między literaturą a filmem fantastyczno-naukowym ukazuje John Baxter. Twierdzi on, że właściwym bohaterem fantastyki naukowej (literackiej) są raczej zjawiska czy idee, mniej zaś poszczególne jednostki – co w przypadku utworu filmowego, gdzie tworzywem jest konkretny obraz – jest znacznie trudniejsze do zaakcentowania. I czego film SF, z reguły będący iluzijną zabawą, nigdy prawie nie próbuje...<sup>3</sup>

W tym samym artykule Baxter przygląda się widowni filmów science fiction i zauważa, że nie składają się na nią czytelnicy fantastyki naukowej, gdyż dla nich poziom owych obrazów jest zbyt niski. Ale ten typ filmów odrzucają również kinomani, ponieważ nie wytrzymują one konkurencji z dobrze zrobionym filmem sensacyjnym, wojennym czy horrorem. Autor ten stwierdza wręcz: *w pewnym sensie filmy SF nie należą ani do fantastyki naukowej, ani do kina*<sup>4</sup>.

Oczywiście uwagi te nie w pełni dotyczą najnowszej fali filmów SF (bijących zresztą wszelkie rekordy popularności), ponieważ w ostatnich latach za sprawą młodych twórców amerykańskich dokonała się w filmowej fantastyce istna rewolucja. I to nie w nurcie elitarniej fantastyki – film Stanleya Kubricka z 1968 roku „2001: Odyseja kosmiczna” (według A. C. Clarke’a) do dziś pozostał niedoścignionym unikatem, chociaż niedawno doczekał się

fabularnej kontynuacji („2010: Odyseja druga”; w reżyserii Petera Hyamsa) – lecz właśnie w produkcji rozrywkowej, której poziom przestał wreszcie uragać dobremu smakowi. Przewrót ten dokonał się zarówno w technice uzyskiwania efektów specjalnych, jak i w treści prezentowanych obrazów.

Pierwszą rzucającą się w oczy nowością jest odejście od bezwzględnej fascynacji techniką i położenie akcentu na wartości irracjonalne („fin de siècle”?), co było nie do pomyślenia we wcześniejszej fantastyce: nawet najbzdurniejsze fabuły, wzorowane na awanturnych powieściach czy horrorach zachowywały uparcie pozory „naukowości”. Nowe filmy SF w swej większości otwarcie nawiązują do mitu czy wręcz dniejących marzeń. A technika w świecie przedstawionym (choć świat ten przedstawia się widzom przy pomocy najnowszych generacji komputerów) schodzi na odległy plan. Widać to doskonale w filmie George’a Lucasa z 1977 roku rozpoczynającym cały ten boom: w „Gwiezdnym wojnach”. Widzimy świat, który – mimo rakiet i podróży międzygwiezdnych – przypomina raczej mityczne średniowiecze (coś na wzór „Władcy pierścieni” Tolkiena), zaś bogactwo wątków i częste nawiązywanie do przeszłości uświadamiają nam, że jesteśmy świadkami zaledwie wycinkowego fragmentu większej całości (Lucas zamierzał początkowo nadać temu filmowi podtytuł: „Część IV – Nowa Nadzieja”<sup>5</sup>, z czego zrezygnował, obawiając się, że nie uda mu się sfilmować całości sagi).

Widza oglądającego ten film w latach siedemdziesiątych uderzać musiał nie tylko rozmach inscenizacyjny, ale także przepojenie filmu niespotykaną dotąd w filmie SF swoistą „metafizyką”: rycerze Jedi, Moc itp...

Akcja „Gwiezdnego wojny” toczy się „dawno, dawno temu” i – w baśniowym Nigdzie. Jeden z bohaterów filmu, czarny lord Darth Vader (służący Imperium opierającemu swą siłę na technice), w scenie narady na Gwieździe Śmierci mówi wręcz do innych dostojników: *Nie przeceniajcie terroru technologicznego! Możliwość zniszczenia planety jest niczym w porównaniu z potęgą, jaką daje opanowanie Mocy*. Zaś w ostatniej części tej trylogii („Powrót Jedi”, reż. Richard Marquand) rebelianci zadają miazdzący cios kosmicznym fortecom Cesarza dzięki pomocy uzbrojonych w dzidy Ewoków. Podobnym klimatem przesąknęta jest także większość pozostałych współczesnych filmów SF – np. w „E.T.” Stevena Spielberga (1982) dziecięce rowery wzlatające w niebo umykają policyjnym samochodom.

Naturalną konsekwencją tych tendencji jest rozwój filmowej – jak i literackiej – fantasty (np. „Conan barbarzyńca” Johna Miliusa i Olivera Stone’a, „Canon niszczyciel” Richarda Fleischera, „Krull” Petera Yatesa, „Mroczny kryształ” Jima Hensona, „Nie kończąca się historia” Wolfgang Petersena). Odżywa też – pamiętający czasy Douglasa Fairbanka i Errola Flynna – widowiskowy film awanturniczy („Poszukiwacze zaginionej arkii”, „Indiana Jones i Świętynia Przenaczenia” Stevena Spielberga, „Młodość, szmaragd i krokodyl” Roberta Zemeckisa, „Klejnót Nilu” Lewisa Teague’a). Na srebrnym ekranie pojawiają się również bohaterowie komiksów („Superman” Richarda Donnera, „Superman II” i „Superman III” Richarda Lestera, „Flash Gordon” Mike’a Hodgesa).

Drugą nowością, jaką zauważyć można w tych filmach, jest odejście od pożądanego klimatu tradycyjnej, inwazyjno-eks-



## Fin de siècle w kinie SF?

ploracyjnej fantastyki i przepojenie utworów ciepłem, humorem i – zamierzoną tym razem – naiwnością. Tytułowy E.T. z filmu Spielberga w niczym nie przypomina koszmarnego przybysza z „Zemsty kosmosu” Vala Guesta (1955), zaś twórcy tych perfekcyjnie zrealizowanych obrazów traktują je jako doskonałą (oraz oczywiście przynoszącą fortunę) zabawę – i co chwila dają to do zrozumienia również widzom.

Zmiany uwidoczniły się również w bardziej zbliżonych do tradycyjnych filmach science fiction. Dzieła takie jak „Obcy”, „Blade Runner” Ridleya Scotta czy „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” Stevena Spielberga bliższe są jednak (nie tylko wizualnie) nowym prądom w filmowej fantastyce, niż filmom, których dotyczyły wypowiedzi Johna i Baxtera.

### 2. Techniczny aspekt konstrukcji przestrzeni w filmach SF

Drugą specyficzną cechą filmowej SF jest zasadnicza różnica między tymi dwiema dziedzinami sztuki: literatura opisuje, film – pokazuje. Jednak w przypadku fantastyki nabiera to wyjątkowej wagi, ponieważ większość opisów dotyczy elementów nie występujących w naszej rzeczywistości.

Twórca, który nie chce, by jego film popadł w nie zamierzoną groteskę, musi pokonać podwójną trudność, powinien on bowiem zaprezentować przekonującą wizję artystyczną – dysponować odpowiednim funduszem

W wywiadzie dla „Filmu na Świecie” Stanisław Lem mówi o tym problemie następująco: *Jeśli (...) napiszę w scenariuszu: „bohater widział przez okno panoramę miasta roku dwutysięcznego”, to przeniesienie tego na ekran w takiej formie, która wydobyłaby się zadowalająca, musiałoby kosztować około miliona złotych<sup>6</sup>. A przecież nie jest to jedynie kwestia kosztów. Lem w tym samym wywiadzie omawia problem kostiumów i przypomina niefortunne tuniki z filmu Williama Camerona Menziesa „Rok dwutysięczny” (1936), którego współtwórcą był sam Herbert George Wells. Zresztą kwestia mody na ekranie to oddzielny problem; tak pisze o nim Andrzej Kołodyński:*

*(...) wizje sztuki przyszłości (...) naberają tak szybko muzealnego charakteru. Każdy ich szczegół odpowiada bowiem standardom estetycznym epoki, która wizje te zrodziła. Nic nie starzeje się bardziej od filmu science fiction. Gauthier zauważa słusznie, że łatwiej o ideę pojazdu kosmicznego, niż o jej realizację. Wszelka próba nadania takiej idei kształtu jest zdeterminowana stanem estetycznej świadomości<sup>7</sup>.*

Większym jeszcze problemem jest zaprezentowanie mieszkańców innych planet (nie jest to proste zadanie już w przypadku opisu literackiego!). Największą jednak trudność sprawia przekonujące ukazanie na ekranie Ziemi przyszłości, innych planet, Kosmosu. A przecież zarówno awanturniczy kosmiczny western, jak i najpoważniejszy traktat o miejsku



człowieka we Wszechświecie – musi mieć za tło taką scenerię, którą widz uzna za autentyczną przestrzeń Kosmosu, gdyż – jeśli z powodu rażących niedoskonałości technicznych przez cały seans widzieć będzie, iż rzecz dzieje się w studio – film, bez względu na poziom pozostałych elementów, traci cały sens. Oczywiście, nie chodzi tu o prześciganie się w efektach specjalnych: film, gdy tego wymaga koncepcja, może rozgrywać się w bardzo skromnej scenerii, ale Lem w powyższym wywiadzie słusznie zauważa, że jeśli widz zorientuje się, iż oszczędność środków nie wynika z zamysłu artystycznego, lecz jest skutkiem zwykłego ubóstwa – poczuje się oszukany<sup>8</sup>.

Ale również posiadanie odpowiednich środków nie rozwiązuje wszystkiego – bez przekonującej wizji artystycznej ukazanie innych światów i tak wypadnie groteskowo (tu wspomnę inny artykuł Lema opublikowany ongiś w „Filmie”, w którym porównuje on krajobraz obcej planety z amerykańską superprodukcją „Zakazana planeta” do... miejsca eksplozji kiosku z łodami owocowymi<sup>9</sup>).

Wymienione wyżej problemy szczegółnie rzucają się w oczy (dosłownie!) w przypadku kinematografii nie posiadających wielkich tradycji technicznych; np. film Marka Piestraka „Test pilota Pirxa” (adaptacja mistrza!) śmieszny wręcz z powodu nieudolnych trików i rozchylanych dekoracji, zaś w filmach SF radzieckich i bułgarskich często daje się zauważyć drażniąca maniera polegająca na stosowaniu uduziwnionych ujęć i chaotycznym ich montowaniu, mająca na celu wywołanie klimatu „niezwykłości” – i ukrycie niedociągnięć technicznych. A nieraz przecież filmy tego obszaru przewyższają swą zawartością treściową efektowne produkcje Zachodu (np. „Stalker” Andrzeja Tarkowskiego – według Strugackich). W naszym rodzimym kinie przykładem wyjątkowo dobrze wykonanej scenografii „przyszłościowej” – jest ta zbudowana do „Seksmisji” Juliusza Machulskiego (1983). Trzeba jednak pamiętać, że twórca tego obrazu podwójnie ułatwił sobie zadanie: prawie cała akcja toczy się w pomieszczeniach zamkniętych, konwencja zaś komediowa pozwala widzom łatwiej zaakceptować tę wykreowaną rzeczywistość.

Jak zatem widać – w filmie SF rola konstrukcji przestrzeni (także w sensie dosłownym) jest szczególnie ważna: to niezbędny punkt wyjścia do dalszej pracy nad obrazem. Wybitny film Stanleya Kubricka „2001: Odyseja kosmiczna” do dziś wywołuje wrażenie nie tylko dzięki nieko-

nwencyjnej treści, ale także dzięki perfekcji technicznej: widzimy prawdziwe statki kosmiczne w bezkresnej przestrzeni, zaś przelot przez Gwiezdne Wrota (jedyną wówczas próbę pokazania świata, którym rządzą inne prawa fizyki!) do dziś zapiera dech w piersiach. A przecież w porównaniu z dzisiejszymi filmami (np. „2010: Odyseja druga” gdzie realizatorzy połączyli komputerowo obraz powierzchni autentycznego Jowisza ze zdjęciami satelitarnymi; cyklonu) strona wizualna dzieła Kubricka wydaje się wręcz skromna. Jednak tamten film zrobiono z takim smakiem i wyczuciem – a także na wystarczającym poziomie technicznym – że choć nie załamie on najnowszych superprodukcji pod względem zastosowania trików, nie wywołuje też w zestawieniu z nimi wrażenia utworu amatorskiego czy archiwalnego.

We wspomnianym artykule z roku 1962 Stanisław Lem stwierdził, że przyszłość filmowej fantastyki widzi w baśni i grotesce – wykazując w czasach dominacji „kosmicznych horrorów” zdumiewającą intuicję. Ale napisał również, że pewnych ograniczeń technicznych nie da się przezwyciężyć<sup>11</sup> – i tu pomylił się całkowicie...

Bezpowrotnie skończyła się era animowanych modeli, której nieprzekraczalnym pułapem była „Odyseja kosmiczna”. Rozpoczęła się era komputerowych obrazów. Co oznacza ten przewrót – postaram się wykazać opierając się na drukowanym w „Kinie” artykule Jacka Fiksiewicza<sup>12</sup>.

Etapem, jaki obecni twórcy zostawili za sobą, była tradycyjna animacja z użyciem makietek i malowanym tłem. Proste trajektorie statków kosmicznych i statyczne ujęcia dekoracji przedstawiających obce krajobrazy nie wystarczyły już, zaś śmielsze rozwiązania uniemożliwiały nieprzebrane trudności techniczne. Uzyskanie zadowalających efektów przy zastosowaniu tradycyjnych technik było niemożliwością (wzajemne relacje przestrzenne, skróty perspektywiczne, układ światłocienia, ciągle zmiany).

Drugą generację efektów specjalnych zapoczątkował George Lucas. Podczas pracy nad „Gwiezdnymi wojnami” skorzystał z pomocy komputera, który opracował sceny bitew wykorzystując materiał filmowy ukazujący walki myśliwców z okresu II wojny światowej. Umożliwiło to zarówno wzbogacenie, jak i „urealistycznienie” widowiska, a także – dało początek następnemu etapowi.

Technika najnowsza czyni komputer „głównym animatorem” efektów specjalnych. Coraz mniej potrzebne stają się nawet makiety: maszyna matematyczna sama wypełni szczegółami dowolny krajobraz (wystarczy z grubsza wykonany szkic), uwzględni matną skalę, źródła i rozproszenie światła, wyraziście szczegółów oraz wszystkie skróty perspektywiczne – zgodnie z „najazdami” umieszczoną na „statku kosmicznym” „kamerę”. Podobnie można zaanimować dowolny, narysowany czujnikiem na ekranie kształt, nadać mu fakturę dowolnej materii, ukazać zarazem zmiany w perspektywie i oświetleniu, których nie ogarnie wyobraźnia najzdolniejszego grafika. Efekty wizualne są imponujące, nieuzyskiwalne metodą tradycyjną (np. ucieczka wśród meteorów w „Imperium kontratakuje” Irvinga Kerschnera).

Możliwości wydają się nieograniczone. A na planie każdego z tych filmów dokonuje się kolejnych, nowych wynalazków..

Jakie konsekwencje dla budowy przestrzeni filmowej w obrazach SF oznacza ów „cyfrowy przewrót” – uzmysławia film Stevena Lisbergera „Tron” (1982). Film ten nie tylko został prawie w całości zrealizowany w pamięci komputera i dopiero wtedy przeniesiony na taśmę 70 mm, ale jego akcja toczy się w świecie spoza naszej rzeczywistości: we wnętrzu komputerowych programów<sup>12</sup>. Jest to bowiem historia człowieka, który przez swych wrogów rozbitý został na atomy i wprowadzony do pamięci komputera, gdzie – w świecie tak różnym od naszego – stacza boje z postaciami z komputerowych gier. Efekty wizualne bliższe są obrazom z owych gier, niż tradycyjnej animacji (oczywiście są tam i zdjęcia aktorskie, ale odpowied-



nio przetworzone). Nasuwa się tu refleksja, jak we współczesnym kinie SF przeplatają się formy dzisiejszej kultury masowej, takie jak komiks i gry wideo...

Oczywiście nadal stosowane są także makiety i dekoracje (dość tradycyjnych środków używa twórca „Obcego” i „Blade Runnera” – Ridley Scott), jednak dzisiejsze kino science fiction nie może się już obyć bez pomocy technik komputerowych.

### 3. Konwencje ukazywania przestrzeni w filmie SF

Niezależnie od poziomu technicznego zarówno najnowszych, jak i wcześniejszych filmów fantastyczno-naukowych, ukazanie w nich obcych nam światów niesie za sobą zawsze konieczność zastosowania pewnych zabiegów, z których widz często nie zdaje sobie sprawy. Dotyczy to zwłaszcza sekwencji rozgrywających się w przestrzeni kosmicznej. W Kosmosie na przykład nie istnieje – bo istnieć nie może – pojęcie „góry”. Dla ułatwienia percepcji widzowi (za sprawą grawitacji ziemskiej siedzącemu przecież w kinowym fotelu, a nie unoszącemu się w próżni) konieczne jest jednak „zonentowanie” przestrzeni ekranowej według tych kategorii. Dokonuje się tego poprzez odpowiednie rozmieszczenie elementów scenografii oraz wybór punktu widzenia kamery.

Doskonałych przykładów dostarcza trylogia „Gwiezdných wojen” George’a Lucasa. Już sceny pościgów i walk w przestrzeni kosmicznej dzięki owemu uporządkowaniu przypominają raczej bitwy samolotów z okresu II wojny światowej (na których zresztą były wzorowane).



Nie zdarza się nigdy, by eskadry nacierające lub ścigające leciały względem siebie „do góry nogami”. Owszem, można wyróżnić znane lotnikom figury: „beczki”, korkociągi” itp., lecz mimo to przez cały czas przestrzeń walki jest uporządkowana zgodnie z punktem widzenia kamery i pośród tych wszystkich efektownych „pi-ruetów” statki kosmiczne zachowują się tak, jakby walczyły nad powierzchnią planety, a nie we wszechobecnej pustce. Dotyczy to także pojazdów pojedynczych. Na przykład „Sokół Milenium” uciekający przed ścigaczami Imperium – czy w strudze meteorów („Imperium kontratakuj”), czy wewnątrz Cesarzkiej Gwiazdy Śmierci („Powrót Jedi”) – zachowuje się tak samo: mimo najróżniejszych akrobacji w zasadzie nie traci (podobnie, jak ścigacze) zgodnej z punktu widzenia kamery orientacji w przestrzeni. Podobnie filmowana jest Gwiazda Śmierci. Gdy „Sokół” wynurza się z hiperprzestrzeni i bohaterowie widzą po raz pierwszy tę stację bojową unoszącą się w miejscu zniszczonej planety („Gwiezdne wojny”), usytuowana jest ona – jak i ich statek – zgodnie z orientacją widza („góra”-„dół”). Tak samo w scenach, w których lecą w jej kierunku ścigacze, czy kiedy zbliża się ona do tajnej bazy rebeliantów: przecinając jej powierzchnię „korytarz” jest zawsze widziany poziomo, zaś śmiercionośne „zwierciadło” znajduje się zawsze nad nim. Zmienia się to dopiero w finale, gdy powstańcze eskadry są już w bezpośrednim kontakcie bojowym.

Jest zresztą w tej trylogii zaledwie parę scen ukazujących dość nietypowy punkt widzenia kamery. Należy do nich ucieczka robotów w kapsule ratunkowej w pierwszych scenach filmu Lucasa, przez okienko nad ich głowami widać mały, kręcący się trójkąt – widziany już z daleka Niszczyciel Gwiazd – domyślamy się więc, że kapsuła przez cały czas obraca się wokół własnej osi, jak wystrzelony pocisk. W „Gwiezdnych wojnach” Luke Skywalker leci korytarzem wokół stacji równolegle (tego wymaga plan ataku), choć dotąd wszystkie statki wylatywały zeń prostopadle, gdy zaś kapitan Han Solo wraca Luke’owi na pomoc – „Sokół Milenium” filmowany jest w pierwszym ujęciu „z dna korytarza” i zdaje się lecieć wprost na widza; natomiast w „Powrocie Jedi” widzimy przez chwilę Gwiazdę Śmierci filmowaną ukośnie, a uszkodzony przez rebeliantów Statek Dowodzenia widać się w nią ukazany w nieoczekiwany sposób: pionowo.

Interesujące są dwa ujęcia z innych zupełnie filmów: „2001: Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka i (nieudanego skądinąd) „Saturna 3” Stanleya Donena. Oba dotyczą sztucznej grawitacji. U Kubricka jest to korytarz na statku kosmicznym – korytarz w kształcie pierścienia. Idzie się po jego wewnętrznej części: wciąż w górę, a raczej ciągle lecieć się w jego najniższym punkcie. U Donena są to dwa chodniki pełne ludzi, gdzie jeden wobec drugiego jest sufitem. Bohater (grany przez Harveya Keitela) biegnie chodnikiem – z punktu widzenia kamery i publiczności – górnym...

W podobnie skonwencjonalizowany sposób ukazywana jest szybkość lotu pojazdów kosmicznych. Przecież w scenach przelotów (nie tylko pościgów) statki kosmiczne powinny niknąć z oczu widza (jeśli kamera jest nieruchoma, co zwykle jest sugerowane w danym ujęciu) w ułamku sekundy – jak to jest przy wchodzeniu

w hiperprzestrzeń („Gwiezdne wojny”). Jednak przepływają one przed naszymi oczami powoli, majestatycznie, jak okręty na morzu. A my nie zastanawiamy się, czy w tym tempie przemierzają Kosmos, czy też kamera porusza się wraz z nimi, pozostając się tylko nieznacznie wyprzedzać: liczy się efekt wizualny. Na przykład w pierwszej scenie „Gwiezdnych wojen” ogromny Niszczyciel Gwiazd ścigający stateczek rebeliantów powoli przepływa nad naszymi głowami – i powierzchnią znajdującej się na dole planety. Właściwie cała scena zdobycia tegoż statku przez szturmowców Vadera rozgrywa się nad ową planetę. Gdyby uzasadnić to logicznie, to albo ona jest tak ogromna, albo pościg odbywa się wokół niej, albo statki... tak wolno lecą (może rzeczywiście księżniczka Lela chciała lądować na Tatooine, by odnaleźć ukrywającego się tam Obi-Wana?), ale przecież nie o uzasadnienie logiczne tej sceny chodziło Lucasowi: liczy się znów imponujący efekt wizualny (zresztą obraz przytłaczającego ogromem, majestatycznie przepływającego u góry ekranu statku zacytowany został później w innych filmach, m.in. w „Obcym” i „Powrocie Jedi”).

Podobnie dla uatrakcyjnienia widowiska „korygowana” jest nasza wiedza na temat zachowania się statków kosmicznych w próżni. Statki kreślą figury niewykonalne często i w atmosferze, słychać (!) huk dział laserowych, widać (!) błyski laserów i ogniste eksplozje. A wszystkie te efekty – choć szalenie widowiskowe – w warunkach kosmicznej próżni są po prostu... niemożliwe<sup>13</sup>. Jednak techniczna perfekcja owych ujęć (to, co nazywamy „magią kina...”) sprawia, iż widz (nieobeznany przecież z warunkami kosmicznymi) akceptuje je całkowicie. Dodać zresztą trzeba, że trafiają się również sceny zgodne z podstawowymi prawami fizyki (np. robot rozgrywający się do czerności podczas wchodzenia w atmosferę – pierwsze sekwencje „Imperium kontratakuj”), lecz oczywiście warunkiem jest znów strona widowiskowa danego zjawiska.

Od konwencji spektaklu zależy również sposób ukazania obcych planet w filmach SF. Są to na ogół:

- planety puste, martwe, o wyglądzie pokrywającym się z naszą wiedzą na temat warunków panujących na większości planet typu ziemskiego (nie gazowych, jak giganty naszego Układu)<sup>14</sup>; podobny obraz jest charakterystyczny dla fantastyki typu „werystycznego”, bardzo rzadko spotykanej w kinie;

- planety przypominające Ziemię, a raczej jej poszczególne krainy geograficzne (planeta-pustynia, planeta-lodowiec, planeta-puszcza – tu znów odwołam się do trylogii „Wojen gwiezdnych”); najczęściej taki obraz innych światów spotykamy w przygodowej odmianie SF, gdzie pełnią właściwie rolę „odległych krain” (i – jak w przypadku literatury – zauważamy ekologiczne i kulturowe ubóstwo tych światów, w porównaniu z urozmaiconą Ziemią);

## Jan PLATA-PRZECHELEWSKI

Ur. w 1959 r. Ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni-Orłowie oraz filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Jest autorem pracy magisterskiej „Kategoria przestrzeni, jej konstrukcja i funkcja w literaturze science fiction” (promotor: doc. dr hab. Anna Martuszevska).

– światy niepodobne do naszego (tu największym, choć nietypowym, osiągnięciem jest powierzchnia Jowisza w „Odysei kosmicznej”); mimo niezwykłych obecnie możliwości technicznych podobne ukazanie obcych planet spotykamy również rzadko.

Sceneria wyobrażająca powierzchnię obcej planety nie zawsze budowana jest w całości w studio (czy w pamięci komputera) – często reżyser odkrywa jakiś niezwykły zakątek Ziemi i tam robi część zdjęć. Pierwsze sekwencje „Imperium kontratakuj” (planeta Hoth) realizowane były np. na lodowcu, zaś twórca filmu „Mój własny wróg” (1985), Wolfgang Petersen, na wyobrażenie pustynnej planety Drakon wybrał wyspę Lanzarote z archipelagu Wysp Kanaryjskich.

\*

Rozwój i charakter filmu fantastyczno-naukowego sprawia, iż ma on swoją własną specyfikę, odróżniającą go od tego typu literatury silnie, niż gdyby tylko sprawiała to różnica występująca między tworzywami obu sztuk. Od początku swego istnienia film SF przechodzi własną ewolucję, która ostatnimi czasy nabrała niespodziewanego tempa, rozmachu i wyrazistości. Odnosi się wrażenie, że wreszcie zaczyna odnajdywać dla siebie własną drogę – wyróżniającą go zarówno od innych typów filmowej rozrywki, jak i od posiadającej już swą tożsamość literatury fantastyczno-naukowej.

Jan Plata-Przechlewski

PS. Tekst ten pisany był wiosną 1986 roku, dziś drukowany jest bez zmian (nie licząc redakcyjnych skrótów) – wymaga więc pewnego uzupełnienia. Zauważamy bowiem wyczerpywanie się lucasowsko-spielbergowskiego nurtu w kinie SF, staje się on coraz bardziej monotony i epigoński („ET”, „splodził”, „Gremliny”, te zaś „Criticów”) i to, co było świeże i odkrywcze przed kilkoma laty – w swych kolejnych mutacjach już nuży (swobodnie „zamknięcia” tegoż nurtu dokonał Willard Huyck, parodiując nowe kino SF w swym znakomitym „Kaczorze Howardzie”) Obecnie godne odnotowania wydaje się kino „Tech noir” (wspomnę „Terminatora” Jamesa Camerona i „Obcych” tegoż) oraz absolutnie świeży i oryginalny, lecz jedyny w swoim rodzaju „Kokon” Rona Hovarda.

(Jpp)

### Przypisy:

1. W. Johnson, *Podróż do krainy science fiction*, tłum. E. Kubarska, „Film na Świecie”, 1978, nr 7-8, s. 5
2. tamże, s. 22
3. J. Baxter, *Drogi filmów science fiction*, tłum. E. Kubarska, „Film na Świecie”, 1978, nr 7-8, s. 22
4. tamże
5. B. Holdys, *Gwiezdne Imperia X Muzy. Ewolucja filmowej fantastyki naukowej*, Kraków, 1985, s. 64-65.
6. S. Lem, *Przyszłość, człowiek, świat, film*, „Film na Świecie”, 1978, nr 7-8, s. 50
7. A. Kołodyński, *Z języka krytyki: puste obrazy „Fantastyka”*, 1986, nr 7
8. S. Lem, op. cit., s. 53
9. S. Lem, *Dlaczego nie ma dobrych filmów fantastycznych?*, „Film”, 1962, nr 32
10. ibidem
11. J. Foksiewicz, *Kino czy wideo*, „Kino”, 1983, nr 1
12. Por. artykuły o filmie „Tron”, „Film na Świecie”, 1983, nr 2-3, s. 144-159
13. Por. W. M., *SF gubiąca S*, „Fantastyka”, 1984, nr 12
14. Por. L. Czechowski, *Planety widziane z bliska*, Warszawa 1985

W październiku 1977 r. odwiedziło Warszawę trzech gości z Węgier: współredaktor młodzieżowego pisma SF „Robur” Béla Rigó, Ferenc Halmos z redakcji „Galaktiki” oraz pracujący w redakcji czasopisma rozrywkowego „Interpress Magazin” Viktor Bánlaki. Korzystając z ich pobytu w Polsce przeprowadziliśmy z nimi rozmowę.

# Węgrzy o swojej fantastyce

**Béla Rigó:**



## Szansa na scalenie podzielonej kultury

„Fantastyka”: – Nasi Czytelnicy dobrze znają tytuł „Galaktika”. Kilkakrotnie informowaliśmy o tym miesięczniku, zamieszczaliśmy też tłumaczenia publikowanych w nim opowiadań i artykułów. Natomiast o adresowanym do młodzieży „Roburze” wie się u nas stosunkowo niewiele. Korzystając z dzisiejszej okazji wypełnij tę lukę.

**Béla Rigó:** – Pismo nasze powstało w momencie, gdy „Galaktika” ukazywała się jako almanach SF i wydawało się, że nie ma możliwości przekształcenia jej w normalny periodyk. Zaczęliśmy więc wydawać „Robur”, który zresztą też miał być początkowo cyklem samodzielnym zeszytów. Szybko jednak przekształcił się w czasopismo. W momencie, gdy czasopiśmem stała się także „Galaktika” przerwaliśmy wydawanie „Robura” (którego ukazało się 16 numerów), by dokonać zmian w jego formule. Chodzi nam o to, by oba pisma uzupełniały się, a nie kolidowały ze sobą.

– Przecież „Robur” jest przeznaczony dla młodszych czytelników niż „Galaktika”.

– W sytuacji, gdy nie było na rynku czasopisma SF przeznaczonego dla dorosłych, musieliśmy tak dobrać materiał, by zadowolić wszystkich. Teraz możemy stać się periodykiem czysto młodzieżowym. Zresztą leży to w naszym własnym interesie. W chwili pojawienia się pierwszego numeru „Robur” odniósł ogromny sukces. Jego nakład był jak na warunki węgierskie bardzo duży, 100 tysięcy, a i tak nie starczyło egzemplarzy dla wszystkich zainteresowanych. Później nakład zaczął spadać, aż do 50 tysięcy. Spowodowane to było właśnie brakiem jasnych kryteriów, jeśli chodzi o wiek adresatów.

– A kto was czyta najchętniej?

– Recepcję pisma i krąg odbiorców możemy określić jedynie na podstawie głosów czytelników. Sęk w tym, że nasi najmłodsi czytelnicy, których jest z pewnością sporo, są w ta-

kim wieku, kiedy niechętnie pisuje się listy. Najczęściej więc pisały do nas nie pracujące lub przebywające na urlopach macierzyńskich matki. Zapewne czytały „Robur” swoim dzieciom. Dostawaliśmy też listy od samych dzieci, ale dopiero wtedy, gdy wyraźnie o to poprosiliśmy. Sądzę, że w każdej kategorii wiekowej mamy trochę odbiorców. Są przecież całe grupy czytelników, które nigdy nie rozstają się z literaturą młodzieżową. Nic więc dziwnego, że ludzie ci sięgają także po „Robur”.

W sumie mamy około 20 tysięcy wiernych miłośników i 60-70 tysięcy czytających nasze pismo od okazji do okazji. Krąg fanów można by powiększyć, gdybyśmy zaczęli publikować komiks. Niestety nie robiliśmy tego, dlatego, że... no cóż, dlatego że kierownictwo naszego wydawnictwa nie lubi komiksu.

– Jakiego upodobania... ych czytelników?

– Najbardziej lubią czytać to, co już znają z ekranu, np. „Gwiezdne wojny”. Nie lubią powieści drukowanych w odcinkach, wolą zwarte opowiadania. Nie lubią artykułów popularyzacyjnych, chyba że opisywane w nich fakty mają posmak sensacji.

– I właśnie to im oferujecie?

– Nie tylko. Sięgamy także do klasyki, publikowaliśmy m.in. Conan Doyle’a. Obok rzeczy popularnych staraliśmy się prezentować teksty mniej „chodliwe”, ale naprawdę wartościowe. Drukowaliśmy na przykład – jako jedyni na Węgrzech! – „Gołema” I.B. Singera. Po wznowieniu pisma chcemy zamieszczać, po kawałku, „Cybernade”. Ale oczywiście największym powodzeniem cieszy się komercyjna fantastyka anglosaska i nie możemy z niej zrezygnować, jeśli chcemy być czytani.

Generalnie można powiedzieć, że wychowujemy czytelników dla „Galaktiki” i... wychowujemy czytelników „w ogóle”. Żeby bowiem stać się czytelnikiem, trzeba przede wszystkim umieć czytać, a z tym nie jest najlepiej. Wśród węgierskiej młodzieży szerzy się w ostatnich latach dysleksja. Trzeba tym młodym ludziom dać coś atrakcyjnego do czytania, żeby w ogóle czytali. Poza tym badania wykazują, że literatura fantastyczna może być dobrym środkiem do pobudzenia siły twórczej umysłu młodego człowieka. Staraliśmy się więc publikować rzeczy, które funkcję tę spełniają najlepiej.

– A co w najbliższej przyszłości?

– No cóż, myśląc o przyszłości „Robura” musimy pamiętać, że nie wszystko zależy jedynie od nas. Ograniczają nas na przykład możliwości poligraficzne czy system dystrybucji. W każdym razie zachowamy dawny tytuł. Chcemy wprowadzić kolor, przynajmniej na jednym arkuszu. Zamierzamy publikować więcej ilustracji. Pragniemy też, by poszczególne numery były bogatsze, by więcej w nich było krótkich tekstów.

– Redagując pismo o tym profilu niejednokrotnie musiałeś zadać sobie pytanie: czym jest fantastyka jako typ twórczości literackiej? Jakie treści i wartości zdolna jest udźwignąć? Czy mógłbyś na pytania te odpowiedzieć teraz?

– Sądzę, że możliwe są dwie interpretacje. Z jednej strony science fiction to mit techniki. Tak traktują ją ci, którym bliskie są nie wartości humanistyczne, lecz technika. Stąd właśnie wśród odbiorców SF tak dużo jest inżynierów i techników. Co oczywiście nie oznacza, że wszyscy ludzie z wykształceniem technicznym są właśnie tacy. Możliwe jest jednak inne podejście: fantastyka to romantyzm przełomu wieków XX i XXI. Elementy romantyczne są w tej literaturze coraz wyraźniejsze – pomyślmy na przykład o fantasy. I właśnie jako literatura romantyczna fantastyka stwarza możliwość scalenia naszej podzielonej kultury. Wszak „Galaktikę” czytają profesorowie i uczniowie szkół podstawowych.

**Ferenc Halmos:**



## Lubię tę formę

„Fantastyka”: – A co nowego w „Galaktice”?

**Ferenc Halmos:** – Właściwie nic specjalnego się ostatnio nie wydarzyło. Ze składu redakcji odszedł wprawdzie Péter Kuczka, którego miejsce zajął Péter Szentmihályi Szabó, ale zmiana ta miała charakter czysto organizacyjny. Spowodowana była koniecznością zdjęcia z Pétera Kuczki nadmiaru obowiązków redakcyjnych.

W ciągu ostatniego półrocza ostatecznie ukształtował się ruch fanów skupionych w Kole Przyjaciół „Galaktiki”. Obecnie liczy już 10 tysięcy członków, którzy organizują własne imprezy, wydają książki itd.

Jeśli chodzi o piszących dla nas autorów, to nie nastąpiły żadne sensacje. Otworzyliśmy nową rubrykę „Start” przeznaczoną dla debiutantów, ale – jak na razie – nie zaowocowało to pojawieniem się jakichś nadzwyczajnych talentów...

– Skoro już mowa o pisarzach młodego pokolenia, to warto chyba wspomnieć w paru słowach o tym, co piszą, jak piszą, do jakich tradycji fantastyki się odwołują.

– Współczesna młoda fantastyka węgierska rozwija się w dwóch kierunkach. Pierwszy to nurt oparty na wzorach anglosaskich. Spośród jego przedstawicieli wymienić można choćby Andrása Gáspára, którego opowiadanie „Proszę wrzucić monetę” ukazało się w jednej z zeszłorocznych „Fantastyk”. Nurt drugi jest w swym charakterze bardziej węgierski. Cechują go ironia, humor, przywiązanie do realiów naszego życia. Najbardziej chyba utalentowanym przedstawicielem tej szkoły jest István D. Németh.

– Na koniec to samo pytanie, które zadałem Béli: czym jest fantastyka? Jakie treści i jakie wartości daje się przy jej użyciu wyrazić?

– Zaczęłam od drugiej części: jakie możliwości daje fantastyka? Moim zdaniem takie same, jak każda dobra literatura. O ile oczywiście jest dobra. Natomiast czym jest? Dla mnie jest ona formą. Są tacy, którzy tę formę lubią i tacy, którzy jej nie lubią. Ja ją lubię.



## Po prostu literatura

„Fantastyka”: – Pytanie to zabrzmiało może niezręcznie, ale intryguje mnie, co Ty robisz w tym towarzystwie. O ile wiem, „Interpress Magazin” jest pismem o całkiem innym profilu niż „Galaktika” czy „Robur”. Nie zajmujecie się przecież fantastyką naukową.

Viktor Bánlaci: – Wcześniej byłem współredaktorem „Galaktiki”, teraz pracuję w dziale literackim „Interpress Magazin”, gdzie od czasu do czasu „puszczamy” także opowiadania fantastyczne.

– Na temat science fiction najczęściej wypowiadają się fanowie albo autorzy tego rodzaju literatury. Warto usłyszeć, jak funkcjonuje fantastyka w piśmie, które nie jest nią zainteresowane programowo, a jego czytelnicy nie należą do „klanu wtajemniczonych”.

– „Interpress Magazin” jest czasopiśmie drożym. Czytelnicy wydający na jeden egzemplarz sporo pieniędzy oczekują, że zawartość będzie odpowiadała cenie. Jedną z cech, do których przywiązują dużą wagę, jest różnorodność – chcą, byśmy publikowali ze wszystkiego po trochu. W horyzoncie ich oczekiwań mieści się także literatura fantastyczna. Oczywiście należy dbać o zachowanie proporcji, gdybyśmy zaczęli drukować za dużo tego typu opowiadań (choćby najlepszych), nadeszłyby listy zarzucające nam monotonię, tak jak to było w przypadku opowiadań sensacyjno-kryminalnych. Opublikowaliśmy kilka takich utworów w kolejnych numerach (a trzeba dodać, że były to opowiadania stojące na wysokim poziomie) i odbiorcy poczuli się tym znudzili. Tak więc zamieszczamy trochę literatury SF, bowiem przeciętny czytelnik chce tego. Po prostu istnieje powszechne zapotrzebowanie także na ten rodzaj literatury.

– W jaki sposób dokonujecie wyboru materiałów? Kierujecie się głosami czytelników?

– Nie. Wybieramy sami kierując się własnym gustem. Do tej pory nie było skarg, więc chyba nie popełniliśmy błędów. Oferujemy teksty naprawdę wartościowe – nie tani horror, nie „Gwiezdne wojny”, lecz przygodę intelektualną.

– A jak Ty postrzegasz fantastykę? Czym ona dla Ciebie jest?

– Odpowiedź wynika już z tego, co powiedziałem: po prostu literatura. Taką samą, jak każda inna. Natomiast zupełnie nie zgadzam się z opinią Béli. To prawda, że „Galaktikę” czytają zarówno ludzie o wyrafinowanym smaku, jak i miłośnicy łatwej rozrywki. Jednakże szukają oni w niej czegoś innego – jedni Bradbury’ego, inni „Gwiezdných wojen”. Fantastyka jest tak samo podzielona, jak cała współczesna kultura.

\*

„Fantastyka”: – Dziękuję Wam za rozmowę i w imieniu Czytelników naszego pisma życzyć wielu sukcesów – Wam i całej fantastyce węgierskiej.

Rozmawiał Wojciech Maziarski

## 1980 (ciąg dalszy)

1517. KLIMA Ladislav: *Cierpienia księcia Sternenhocha*. Tłum. [z czes.] i postawie Jacek Paluch Kraków Wyd. Literackie 16 ss. 139 n.b. 10 000 egz. – Seria Fantastyk i Grozy.

de la MARE W.: *Quincunx*. – zob. AF.

1518. [RAJČEV GEORGI]: *Lustig i inne opowiadania*. Wybór i tłum. z bułg. Wojciech Gałazka. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 229, n.b. 3. 10 000 egz. – Seria ze Złotym Krążkiem. – Większość opowiadań fantast. – W/AF.

1519. WOŹNICKA Ludwika: *Najdziwniejsze i osobliwe zdarzenia, czyli pitaval fantastyczny*. Warszawa. Iskry. 16° ss. 304, n.b. 4. 20 000 egz.

### Krytyka, biografie, film (R):

CHODŹKO K.: *Pejzaże...* – zob. 1981 [antydat.].

1520. KALICKI Rajmund: *Jorge Luis Borges*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 151, n.b. 4. 12. 15 000 egz. – Klasyki literatury XX wieku.

COBIN A.: *Demony...* (Autobiografia) W. *Po tamtej...* – zob. U.

1521. SMUSZKIEWICZ Antoni: *Stereotyp fabularny fantastyki naukowej*. Wrocław. Osolineum. 8° ss. 167, n.b. I. 1500 egz. – Polska Akademia Nauk. Komitet Nauk o Literaturze Polskiej. Rozprawy Literackie nr 32.

1522. SZACKI Jerzy: *Spotkanie z utopią*. Warszawa. Iskry. 8° ss. 218, n.b. 2. 10 000 egz.

1523. WÓJCIK Andrzej, ENGLENDER Marek: *Budowniczość gwiazd I*. Warszawa Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 315, n.b. 6. 80 000 egz.

1524. ŻGORZELSKI Andrzej: *Fantastyka, Utopia, Science Fiction. Ze studiów nad rozwojem gatunków*. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 203, n.b. 4. 5 000 egz.

### „Zagadki nauki” (MS):

AFANASJEW J.: *Machina...* – zob. U.

1525. von DITFURTH Holmar: *Duch nie spadł z nieba*. Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Przedm. Maciej Śliwiecki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 430, n.b. 2. 50 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.

1526\*. FLAMAGAN G. Pat: *Energia piramid*. [Tłum. z ang. Bonawentura Kocheł] – KOCHŁ B[onawentura], SZYMAŃSKI Jan: *Wpływ modeli piramidy Cheopsa na wzrost bakterii Escherichia Coli*. Poznań 1979 [antydat.: 1980]. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 139. 3 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika, z. 2/1979.

1527. GROBICKI Aleksander: *Nie tylko Trójkąt Bermudzki*. Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 204, n.b. 3. 40 000 egz.

1528. JASTRZĘBSKI Stanisław: *Różdżkarstwo*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 111, n.b. 5. 80 000 egz. – Wszystko o...

1529. de KERSAINT J[ean] P[aul]: *Kurs radiestezji*. [Tłum. z franc. J. Torbus-Heinrich] Poznań 1979. [antydat.: 1980]. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 36, n.b. I. 2 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Materiały Instrukcyjno-Metodyczne. z. 5.

1530. KLIMUSZKO Czesław: *Moje widzenie świata*. T. I-II. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° T.I: Cz. I: *Parapsychologia w moim życiu* oraz II: *Szukajmy szczęścia w przyrodzie* [współwyd.] ss. 175, n.b. I, portr. 2 000 egz. T. II: Cz. III: *Powrót do ziół*, ss. 120 portr. 3 500 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Pomocnicze Materiały Szkołowe T. z. 4/78 [dodruk do poz. 1341 78], T. II z. 1/1980.

1531. [KONDRATOV Aleksandr]: *Tajemnice trzech oceanów*. Tłum. z ros. Magdalena Hornung. Wyd. II. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 271, n.b. I, tabl. 4, mapa 20 000 egz. – Złota Seria Literatury Popularnonaukowej. – Na k. tyt. aut.: Aleksander Kondratow.

1532. LUCE J.V.: *Koniec Atlantydy. Nowe spojrzenie na starą legendę*. Tłum. z ang. Monika Schmatra. Przedm. Mortimer Wheeler. Postawie Bogdan Rutkowski. Warszawa. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe. 16° ss. 296, tabl. 4, liczne k. ilustr., objęte liczbowaniem, bibliogr. 20 000 egz. – Archeologia.

1533. ŁADORSKI Henryk: *Zbiór wyrazów radiestezyjnych*. Poznań 1979 [antydat.: 1980]. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 62. 2 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Pomocnicze Materiały Szkoleniowe. z. 4.

1534. ŁUKASIEWICZ Maciej: *Między niebem a ziemią*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 172, n.b. 4, tabl. 24. 50 000 egz.

1535. MARKS Andrzej: *W poszukiwaniu kosmitów*. Wyd. II popr. i uzup. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 8° ss. 273, n.b. 3, tabl. 16, mapy. 30 000 egz.

1536. MOODY R.A. *Życie* (dodruk) zob. poz. 1432/79 20 000 egz.

1537. OSIATYŃSKI Wiktor: *Zrozumieć świat. Rozmowy z uczonymi radzieckimi*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 429, n.b. 2. 20 000 egz. – Większość rozdziałów dotyczy „zagadek nauki”.

PIKULSKI Z.: *Niebo...* (dotyczy m.in. parapsychologii) – zob. F.

1538. PSYCHOTRONIKA w praktyce. Cz. II: *Wskazówki, jak zdobyć zdrowie [i] szczęście oraz technika łatwej regeneracji organizmu*. [Tłum. z ang.] Roman Ostojka. Poznań 1979 [antydat.: 1980]. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 60. 3 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Materiały Instruktażowo-Metodyczne. z. 6. – Na k. tyt. tłumacz jako autor.

1539. SEDLAK Włodzimierz: *Homo electronicus*. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 210, n.b. 4, bibliogr., err. 20 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej. – MS/F.

1540. STEFANSKI Lech Emfazy, KOMAR Michał: *Od magii do psychotroniki*. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 327, n.b. I, bibliogr. 20 000 egz.

1541. SZUMAN Leszek: *Kto z kim*. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 67. 3 500 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Pomocnicze Materiały Szkoleniowe. z. 2.

1542. WEINBERG Steven: *Pierwsze trzy minuty. Współczesny obraz początku Wszechświata*. Tłum. [z ang.] Aleksander Blum. Wstęp Marek Demański. Warszawa. Iskry. 16° ss. 219, n.b. 3, bibliogr. 50 000 egz. – Raporty z Granic Poznania.

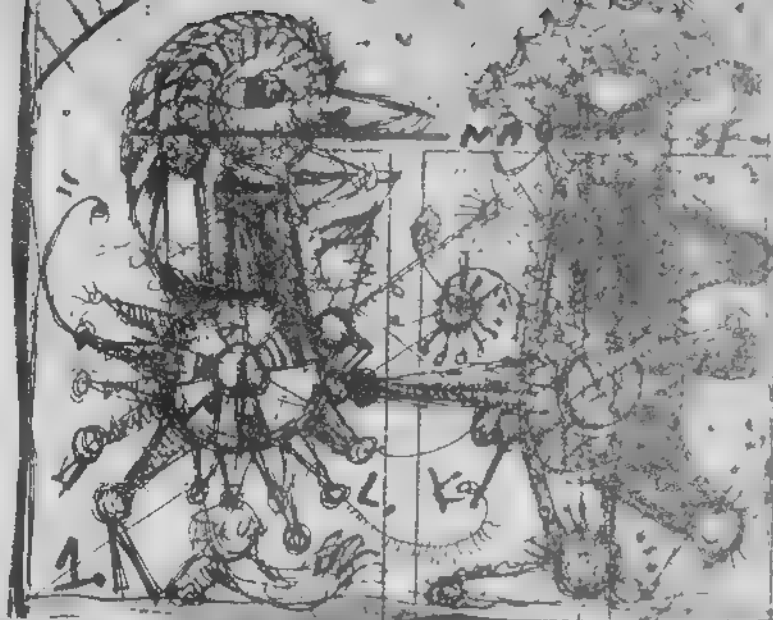
1543. WÓJCIKIEWICZ Stanisław Zbigniew: *Dla każdego coś ciekawego*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 160, n.b. 4. 10 000 egz. – MS/F.

1544. ŻNICZ Lucjan: *Goście z kosmosu? T.I: Paleoastronautyka*. Gdańsk. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss. 280, n.b. 4. 100 000 egz.

cdn.

Przygotował Jacek Izvorski





Przedstawiamy fragment najnowszej książki Andrzeja Donimirskiego. Znany autor prac popularnonaukowych (m.in. „Przybysze z Kosmosu”, „Czy żyjemy tylko raz?” i „Na krawędzi niepoznane-go”) oraz około 200 artykułów, zamieszczanych od 1970 roku w „Przekroju”, „Razem”, „Dokoła świata” i innych pismach, tym razem poświęca uwagę niektórym problemom, związanym z twórczością Stanisława Lema.

(raz)

# Ujemny gradient ewolucji

Andrzej Donimirski

...Wbrew pozorom konkuruje dziś ze sobą kilka odmiennych teorii ewolucji...  
(A. Hoffman)

...Życie jest oszustwem (...), usiłowaniami obejścia praw, skądinąd nieuchronnych i nieubłaganych...  
(S. Lem: „Głos Pana”)

Przyzwyczajliśmy się do myśli, że ewolucja jest – ogólnie biorąc – procesem wstępującym i doskonalącym, że pojawiające się nowe gatunki stanowią organizmy wyższe, lepsze od swych poprzedników. Przyzwyczajaliśmy się też do myśli, że ewolucja, poczynając od pierwotnej, najprostszej komórki, wykształciła najpierw stosunkowo prymitywny świat roślin, później wyżej stojący świat zwierząt, a w końcu ową „koronę stworzenia” – homo sapiens. Uważamy za oczywiste, że widoczny proces komplikacji ustrojów prowadził do coraz wyższych form. Tak – w największym skrócie – przedstawić by można ogólny punkt widzenia na to, co nazywamy biologiczną ewolucją.

Temu, od wielu już lat ugruntowanemu, pogładowi Stanisław Lem ostro się przeciwstawia. Posługując się głosem mędrca przyszłości, superinteligentnej maszyny zwanej Golemem, przedstawia zupełnie odmienną teorię: Wy sądzicie, że ewolucja wykonała swoje prace z gradientem dodatnim, to jest, wychodząc od startowego prymitywizmu dotarła do rozwiązań stopniowo świetniejących. Ja twierdzę natomiast, że wysoko zaczawszy, jąła schodzić w dół – technologicznie, energetycznie, informacyjnie – więc doprawdy trudno o mocniejszą sprzeczność stanowisk. (...) Pomyliłście dwie zupełnie różne rzeczy, uznając stopień złożoności budowanego oraz jego sto-

pień doskonałości, za cechy nierozłączne. Głon macie za prostszy – a więc prymitywniejszy, a więc niższy od orła. Lecz ów glon wprowadza fotony Słońca w związku swego ciała, on obraca opad kosmiczny energii wprost w życie i będzie dlatego trwał po kres Słońca, on żywi się gwiazdą, a czym orzeł? Myszami, jako ich pasażer, myszy zaś korzeniami roślin – więc lądowej odmiany glonu oceanicznego. I z takich piramid pasożytnictwa cała biosfera się składa. (...) Nie wierzyście mi? A więc gdyby Ewolucja uprawiała postęp życia, nie kodu, to orzeł byłby już fotolotem, nie zaś mechanicznie trzepoczącym szybowcem, i żywe nie pełzałoby, nie kroczyło, nie żarło żywego, lecz niezależnością zdobytą wyszłoby poza glon, i poza glob. Wy jednak, z głębi swej ignorancji, upatrujecie postęp w tym właśnie, że prado-skonność została utracona, zgubiona podczas drogi: wzwyż – wzwyż komplikacji, nie postępu (...).

...Dlaczego (Ewolucja) wypowiedziała na początku słowa molekularnie genialne, obracając światło w ciało z maestrią lakoniczną, a potem popadła w niezmierzony bełkot coraz dłuższych, coraz zawilższych chromosomowych zdań, trwoniąc kunszt pierwotny? Dlaczego od rozwiązań szczytujących, moc i wiedzę życiową biorących z gwiazdy, w których każdy atom był na rachunku, każdy proces był

kwantowo dostrojony, zesłała do rozwiązań tandetnych, byle jakich, więc do maszyn prostych, do tych dźwigni, bloków, równi, pochylni, równoważni, jakimi są stawy i kości, czemu zasada kręgowca jest pręt sztywny mechanicznie, a nie sprzęg siłowych pól, czemu stoczyła się z fizyki atomowej w technologię waszego średniowiecza? Cemu zainwestowała tyle wysiłku w budowę miechów, pomp, pedałów, przenośników perystaltycznych, więc płuc, i serc, i jelit, i tłoczni porodowych, i mieszadeł trawien-nych, wymianę kwantową spychając do podrzędnej roli, na rzecz mamej hydrauliki krwioobiegu, czemu nadal genialna na poziomie molekularnym, w każdym wymiarze większym partaczyla aż zabrnęła w organizmy, które z całym bogactwem swej dynamiki regulacyjnej mrą od zatkania jednej rurki tętniczej, które w poszczególnym żywocie, znikomym wobec czasu trwania budowlanych nauk, wykołują się z równowagi, zwanej zdrowiem, w dziesiątki tysięcy przypadłości, jakich nie zna glon?...” (L. Golemiak x v)

Ten nieco przydługi cytat obejmuje całość wręcz rewelacyjnego spojrzenia na problem, które proponuje Lem. Podejście to próbuje zburzyć dotychczasowe poglądy i przedstawić biologiczną ewolucję nie jako postęp, lecz jako swego rodzaju degradację. Bo – zdaniem Lema – na samym początku, przed miliardami lat, ewolucja osiągnęła już swój szczyt. Odtąd dalszy jej ciąg to regres. Konstruowane przez nią nowe rozwiązania stanowią bowiem, z jednej strony, gatunki pasożytnicze, zerujące na innych, niższych organizmach (na przykład zwierzęta pasożytują na roślinach), z drugiej zaś strony te rzekomo wyższe organizmy, bardzo skomplikowane, a równocześnie zbudowane w prymitywny sposób, okazują się mało odporne i mają znacznie mniejsze szanse przeżycia od wcześniej zbudowanych organizmów prostszych. A najważniejsze osiągnięcie tej ewolucji – homo sapiens, jest – zdaniem Lema – skonstruowany, od strony technologicznej biorąc, wręcz fatalnie: ...Warto uzmysłowić sobie, jak wygląda sytuacja człowieka w startującym pojeździe kosmicznym, aby właściwie ocenić całą kruchość i wąskość rozwiązania ewolucyjnego. Przy wzróżnionej grawitacji ciało składające się głównie z płynów podlega gwałtownym przeciążeniom hydrodynamicznym – zawodzi serce, w tkankach już to brak krwi, już to rozrywa ona naczynia, powstają wysięki i obrzęki, mózg przestaje działać po krótkiej chwili, gdy ustaje dopływ flenu i nawet kostny szkielet okazuje się wówczas konstrukcją za słabą, aby oprzeć się działającemu siłom. Człowiek jest dzisiaj najbardziej zawodnym elementem u stworzonych przez siebie maszyn, jak również najsłabszym – mechanicznie – ogniwem uruchomionych procesów... („Summa Technologiae”).

W tej „Summa Technologiae” będącej kompleksową wykładnią filozoficznych poglądów Lema, znajduje się swoisty, jak go sam Lem określa, paszkwil na ewolucję. Oto w skrócie główne jego punkty:

● Ewolucja utrzymuje nadmiar przesyłanej genotypowo informacji na możliwie najniższym poziomie, jak jest jeszcze do pogodzenia z kontynuacją gatunku. Może być więc ona porównywana na przykład do konstruktora biorącego udział w konkursie, któremu jednak nie zależy na tym, by wszystkie jego auta dojechały do mety, wystarczy jeździł dojeżdżać ich większość. Jest to zasada „konstruktora statystycznego”, w której o sukcesie decyduje przewaga, a nie całość rezultatów.

● W ewolucji występuje, sprzeczne z zasadą poprzednią, nieeliminowanie z danego rozwoju osobniczego jego elementów zbędnych. I tak przenoszone są, niejako mechanicznie, relikty form dawno minionych, które dany gatunek poprzedziły. Znany jest fakt, że podczas embriogenezy płód powtarza fazy rozwojowe zamierzających stanów embrionalnych wykształcając kolejno, jak na przykład zarodek ludzki, skrzela, ogon itd.

● Wynikiem wspomnianej już zasady zbędnej komplikacji jest istnienie biochemicznej indywidualności osobniczej wewnątrz danego gatunku. I tak na przykład, biochemiczna indywidualność dziecka różni się od tej indywidualności matki. Ma to poważne konsekwencje, przejawia się bowiem, między innymi, zwiększoną obroną danego organizmu przed każdym białkiem innym od własnego. Często uniemożliwia to dokonywanie ratujących życie transplantacji.

● Ewolucja nie może osiągnąć rozwiązań na drodze zmian stopniowych, jeśli każda z takich zmian nie jest użyteczna natychmiast, to jest w danym pokoleniu. Dlatego, na przykład, nie mogła ona wytworzyć urządzenia typu koła. Koło bowiem od pierwszej chwili musi być (dość skomplikowaną) całością, to znaczy posiadać oś obrotu, piastę, tarczę itd. Koło musiałoby więc powstać „skokowo”, bo najmniejsze nawet jest już produktem gotowym, a nie jakąś „formą przejściową”.

● Omawiana już „krótkowzroczność” albo „ślepotą” ewolucji, oznacza w praktyce stosowanie takich rozwiązań, które losowo pojawiają się jako pierwsze i usuwanie ich tylko wtedy, jeśli przypadek stworzy inną możliwość. Jednakże gdy dane rozwiązanie blokuje drogę wszelkich innych, jakkolwiek byłyby doskonałe i bardziej wydajne, rozwój całego układu zamiera.

● Ewolucja jako konstruktor jest chaotyczna i (w jakimś sensie) nielogiczna. Organizm biologiczny bowiem nie jest zbudowany na zasadzie technik części zamiennych, które nazwać by można makroskopowymi. Ewolucja preferuje zasadę części zamiennych mikroskopowych przejawiającą się w tym, że na przykład komórki wszelkich narządów (skóry, krwi, mięśni) wciąż ulegają wymianie przez podział. Ich potomne są więc właśnie owymi „częściami zamiennymi”.

● Ewolucja nie kumuluje własnych doświadczeń. Jest ona konstruktorem „zapominającym” o dotychczasowych osiągnięciach, za każdym razem musi szukać ich od nowa. Kiedy jakiś gatunek, któremu udało się wykształcić wysoko wyspecjalizowane organy ginie, wraz z nim przepadają wszystkie te „wynalazki”. Jeśli zaś trwa, to nie ma możliwości przekazania ich poza obręb tego gatunku (względnie rodziny, czy odmiany), w którym doszło do ich powstania.

● Ewolucja w swych „wielkich odkryciach” działa zupełnie przypadkowo. Nowe gatunki powstają nie dzięki adaptacjom albo starannie przygotowywanym zmianom, lecz są wynikiem jakby ciągnięcia loterii życia, z tym że bardzo często „głównej wygranej” w ogóle brak. Jest to więc całkowita przypadkowość.

● Ewolucja charakteryzuje się, mówiąc ogólnie, złym wyborem budulca. Z białkowych drobin wytwarza szkielety, krew, gruczoły, mięśnie, mózgi, futra, tarcze pancerne itd. Wąskość tego „produkcyjnego gardła” zdumiewa w zestawieniu z uniwersalizmem produktów końcowych.

„Paszkwil” ten jest oczywiście znacznie obszerniejszy, lecz nie tu miejsca, by go w szczegółach prezentować. Dlaczego tak właśnie przebiega rozwój biologiczny na Ziemi? Złoży-

ły się na to – zdaniem Lema – dwa powody. Pierwszy z nich stanowiły warunki w jakich przed miliardami lat ewolucja przystępowała do syntezy żywych organizmów. Warunki te były skrajnie prymitywne. Wtedy bowiem, w bardzo wczesnych stadiach rozwojowych planety, istniał tylko pierwotny, gorący ocean, w jego zaś wnętrzu roztwory niektórych soli organicznych lub nieorganicznych. Jak wiemy, ewolucję biologiczną we właściwym tego słowa znaczeniu, poprzedziła długotrwała „ewolucja reakcji chemicznych”. Drugim powodem, w wyniku którego ewolucja poszła różnymi drogami, było, że jest ona „rzeźbiarzem, który nie widzi własnych tworów” i nie zna ich przyszłości: ... Wygląda to tak, jakby natura, w bezustannych próbach, raz po razie zapędzała się w zamknięte, ślepe uliczki – wtedy po prostu zostawiała w nich te niewydarzone rezultaty swoich eksperymentów, którym nie przyświecało nic prócz cierpliwości: bo trwały setki milionów lat... i zabierała się do nowych... („Opowiadania”).

Poza tym – pisze dalej Lem – sądzić chyba należy, iż w ewolucji działa śwego rodzaju prawidłowość udaremniająca manifestowanie się tendencji degeneracyjnej. Przejawia się w niej, jak należy przypuszczać, zjawisko nie znane w przyrodzie martwej, a mianowicie tak zwane przekroczenie progu komplikacji minimalnej. Oznacza to, że tylko poniżej pewnego poziomu złożoności układy nie mogą wytwarzać innych układów, równych sobie złożonością. Kiedy natomiast urządzenie wytwórcze przekroczy ten poziom, czyli osiągnie ów próg, będzie zdolne wytwarzać układy równe sobie zawilgością.

Wszelkie ujemne, w stosunku do człowieka, cechy ewolucji spowodowane zostały – zdaniem Lema – tym, że nie miała ona na celu wyprodukować (wytworzyć) najdoskonalszego nawet organizmu. Celem bowiem jedynym był przekaz genetycznego kodu. I znów oddajemy głos mędrcom – Golemowi: ... Ewolucja nie miała na oku ani was w szczególności, ani żadnych innych istot, ponieważ nie do jakichkolwiek istot jej, lecz do sławetnego kodu. Kod dziedziczny jest artykułowany wciąż od nowa przesłaniem i tylko to przesłanie liczy się w Ewolucji – a właściwie on jest nią właśnie. Kod jest zaangażowany w periodyczną produkcję ustrojów, ponieważ bez ich rytmicznego wsparcia rozpadłyby się w nieustającym ataku brownowskim materii martwej. Jest więc samoodnawiającym się, bo zdolnym do samopowtórzenia ładem, obleganym przez chaos cieplny (...). Ustroje są dla kodu tarczą i pancerzem, obsypującą się zbroją – po to giną, żeby mógł trwać (...). Sensem więc przekazywania jest przekaz. Albowiem ustroje służą przesłaniu, a nie na odwrót; ustroje poza procedurą łącznościową Ewolucji nie znaczą nic – są bez sensu, jak książka bez czytelników (...). Przekazowi wolno w Ewolucji błędzić jak tylko się da, lecz wara przekazywaczowi! Przekaz może oznaczać walenię, sosnę, rozwiłkę, stulbę, cme, pawiana – jemu wszystko wolno – bo jego partykulary, to znaczy gatunkowo konkretny, sens jest nieistotny: tu każdy jest umyślnym na posyłki dalsze, więc każdy dobry. On jest chwilowym wsparciem i wszelka bylejałość jego nic nie szkodzi – dość na tym, aby kod podał dalej... („Golem XIV”).

Mamy tu odwrócenie wszelkich dotychczasowych wyobrażeń o zasadach działania procesu ewolucyjnego. Wiara w postęp idący wstanie wzwyż, aż do największych osiągnięć, to jest do tworzenia najbardziej mądrych i doskonałych organizmów, stale podnoszących się spirala życia jest – zdaniem Lema – całkowi-

tym nieporozumieniem. W ewolucji nie ma bowiem żadnego rozwoju, nie ma „drogi wzwyż”, jest tylko i wyłącznie problem przekazywania kodu... Cokolwiek jest ustrojem, ma służyć przekazując kod, a więcej nic. To też selekcja i dobór naturalny na tym zadaniu skupiają się wyłącznie – nic im do idei jakiegoś „postępu”! (...). Nie budowlami są ustroje, lecz właśnie rusztowaniami tylko, więc właśnie wszelka prowizoryczność to stan właściwy, skoro wystarczający. Kod podaj dalej, a będziesz chwilę żył!... („Golem XIV”).

Nazwać by to można filozofią absolutnego pesymizmu. Jednakże twierdzenie Lema o przekazywaniu kodu jako jedynie istotnego zadania ewolucji potwierdza współczesna nauka. Pisze o tym polski uczoney Antoni Hofman w ostatnio wydanej książce pt. „Wokół ewolucji”, poświęconej najnowszym zagadnieniom rozszerzonej teorii ewolucji, a głównie problemom nowo powstałej nauki zwanej socjobiologią. Twórcą tej rozwijającej się dyscypliny naukowej jest amerykański uczoney (jak twierdzi Hofman – jeden z najwybitniejszych biologów naszych czasów), Edward Wilson, autor książki „Sociobiology: The New Synthesis”. Według definicji Wilsona – socjobiologia jest to ...systematyczne studium biologicznych podstaw wszelkich zachowań społecznych... Przez zachowania społeczne rozumie on wszystkie interakcje wewnątrzgatunkowe. Czynniki biologiczne odgrywa decydującą rolę w determinowaniu tych zachowań, nie tylko u zwierząt, ale także i u człowieka.

U podstaw socjologii leży przekonanie, że ani w ewolucji życia ani w procesach biologicznych nie sposób doszukać się niczego co by dzieje świata organicznego usensowniało. W oczach socjobiologów (jak również w większości współczesnych ewolucjonistów) historia biosfery to tylko suma chwilowych, przypadkowych adaptacji, bezustannych śmiertelnych zapasów ze środowiskiem, walk o dostosowanie się do zmienionych warunków ekologicznych, walk o przetrwanie itd. Zdaniem socjobiologów dobór naturalny to nic innego jak mechanizm ujawniający taką strukturę indywiduum i taką strategię jego działania, które w danych warunkach ekologicznych najbardziej rozpowszechnia jego genotyp: ... Jedynym kryterium doboru naturalnego jest zatem dobro indywiduum definiowane jako ekspansja jego genotypu w populacji. Ekspansja genotypu, liczba jego kopii, a nie liczba potomstwa. Dla socjobiologii bowiem osobnik, to w gruncie rzeczy jedynie wehikuł do podróży w czasie, robot zbudowany przez genotyp, a może nawet – by się odwołać do słynnej książki Richarda Dawkinsa „The Selfish Gene” – przez zbiór pojedynczych, samolubnych, egoistycznych genów (...). Według tej wizji, przyroda to teatr bezustannej i bezpardonowej walki o byt, o przetrwanie w jak największej liczbie kopii, prowadzonej przez geny zawiązujące ze sobą mniej lub bardziej przypadkowe alianse na terenie osobnika lub klanu... („Wokół ewolucji”).

A jaki jest ostateczny sens tej drogi? Do czego zmierza cała biosfera? Ku czemu prowadzi ją ewolucja? Zdaniem socjobiologów samo to pytanie jest bezsensowne. Bo – podobnie jak u Lema – celem przekazywania jest przekaz: ... W świecie przyrody – twierdzi Leigh van Valen („New ewolucyjny law”) – trzeba pędzić jak tylko można najszybciej, w ślad za wciąż ewoluującym środowiskiem, żeby pozostać tam, gdzie się było, pośród żyjących gatunków – zupełnie tak samo jak w świecie czarów, do którego trafiła Alicja...

Pierwsze 2-3 lata naszego istnienia przebiegały pod znakiem wielkiego powodzenia pisma wśród Czytelników oraz różnorodnych, czasem zabawnych, kolizji redaktorów „Fantastyki” z publikatorami. Wokół modnego miesięcznika, który wdarł się przebojem na rynek, jak śmy wokół świeżki zaczęli krążyć dziennikarze wymachujący mikrofonami i kamerami. Niestety, nasi koledzy z mass-mediów nie zawsze byli przygotowani do rozmowy o science fiction, niekoniecznie poczuli sobie z tym tematem sensownie...

## W eterze i na żywo

W telewizji na przykład oślepiano nas kiedys przez godzinę lampami stroboskopowymi, podtruwano mgłami wydzielającymi się z balii pełnej wody i suchego lodu, by potem w tej „egzotycznej” scenerii, urozmaiconej dodatkowo migoczącymi dyskotekowymi wężami, zażądać odpowiedzi na skrywane do ostatniej chwili pytanie – czemu fantastyka nie potrafią wymyślić świata bez wojen? Oczywiście, w myśl zaleceń redaktora telewizyjnego ilustracja dla naszych wystąpień miała być filmowa kosmiczna batalistka. Innym razem redaktor telewizyjnych programów dla dzieci bardzo była wzburzona nie mogąc znaleźć wśród nas współnika do oceniania na żywo tzw. opowiadań SF pisanych w studio zespołowo przez niewprawną dzieciarnię. W radiowych Sygnałach Dnia musieliśmy się kiedyś tłumaczyć z faktu istnienia horroru, jakby horror nie był w ludzkiej kulturze rzeczą odwieczną. W innej audycji próbowano na siłę połączyć poważną akurat tematykę omawianych przez nas opowiadań z baśniowym tłem minisluchowisk o smokach.

Minęło parę lat i skończył się chyba wśród dziennikarzy odruch powierzchownego zainteresowania. Także zawarta w kilkudziesięciu numerach pisma fantastyczna wiedza weszła chyba w rynek i zrobiła swoje. W każdym razie dochodzą do głosu w publikatorach ludzie kompetentni, zainteresowani fantastyką, nie lekceważący jej i nie próbujący robić z niej cyrku. Z ich udziałem bądź pomocą udało nam się powiedzieć parę ciekawych rzeczy także wielomilionowej rzeszy radiosłuchaczy i równie licznej telewizyjnej widowni.

Tak było na przykład w dyskusjach przygotowanych dla IV Programu Polskiego Radia przez znającą się na fantastyce red. Elżbietę Marcinkowską. Z sympatią wspominamy dyskusję z red. Ireną Eichlerówną na temat stosunku współczesnej fantastyki do nauki (dyskusja została zresztą opublikowana później na naszych łamach). Nie najgorszą przygodą okazało się kilkanaście audycji telewizyjnego „Dropsa”. Na bardzo popularnym co prawda

poziomie, mogliśmy przecież opowiedzieć młodemu widzom o kilkunastu motywach science fiction, ilustrując to materiałem filmowym. Dzięki Irenie Dziedzic mogliśmy opowiedzieć o sobie, o gatunku i piśmie Adam Holanek. Ostatnio telewizyjny magazyn „102” również pomaga nam w poszerzaniu kontaktów z Czytelnikami.

Oczywiście nie zawsze przebiegało i przebiega to bez zakłóceń. Wzywani do radia, do telewizji, zapraszani do dyskusji prasowych, bywa że nie rozpoznajemy później swego peł-

wymagało rozwinięcia. Od stycznia 1988 r. robimy to samo w programie III w środy wieczorem, dwa razy w miesiącu i w jeden czwartek miesiąca w audycji „poza głównym nurtem”. Natomiast w programie IV stałą audycją o fantastyce przejmują po Robercie Tomasiu – Irena Eichler.

\*

Z Tadeuszem Borcakiem, dyrektorem najprężniejszego chyba MPiK-u w Warszawie (mieszczonego się przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego 71) zaczęło się podobnie. Tadeusz Boreczak, człowiek wielce energiczny i nieustępliwy, zjawił się w redakcji wczesną wiosną 1987 r. i urzekł nas od razu kłopotliwą, ale kuszącą ideą cyklu spotkań comiesięcznych „Fantastyka – hobby XX wieku”. Boreczak pokazał nam setki wycinków prasowych i księgę spotkań klubowych, z której wypikało, że mówiąc mu TAK znajdziemy się w doborowym towarzystwie sław z różnych dziedzin – aktorów, redaktorów, naukowców, paru miss Polonia, polityków, pisarzy... No więc nie powiedzieliśmy mu NIE i dzięki temu w każdy ostatni poniedziałek miesiąca przedstawiamy w zapelnionej sali klubowej na Dąbrowskiego wybrane problemy SF wiążące się jakoś z tym tematem film wideo. W ciągu ostatniego roku odbyły się spotkania m.in. na temat filmu SF światowego i polskiego, mówiliśmy w klubie o nowej krytyce polskiej SF, o pięci laty, robocie, obcym w science fiction, o problemie Boga w fantastyce wczorajszej i dzisiejszej. To w klubie przy Dąbrowskiego odbyło się uroczyste spotkanie z większością naszej załogi z okazji pięciolecia pisma (i czterdziestolecia RSW) oraz wiele innych fantastycznych wieczorów.

Bywało to dla nas i mamy nadzieję, dla naszej klubowej widowni, sympatyczne i pouczające. Potraktowani poważnie, sami też traktujemy naszych rozmówców i gospodarzy z największą uwagą. Zajęci na wielu frontach, biorący na siebie różnorodne dodatkowe obowiązki („Fantastyka” mała i duża, „Komiks”, przygotowywanie polskich antologii dla wydawców polskich i zagranicznych, konkursy literackie i plastyczne, organizowanie dni pisma w Warszawie i innych miastach Polski), tracący czas na spotkania z Czytelnikami w całym kraju, stwierdzamy z powagą, że nie brakuje i nie powinno brakować nam czasu na uczestnictwo w imprezach przygotowanych rocznie i z sercem.

Dzięki życzliwości kierownictwa programu III i IV PR i zrozumieniu przez nich naszej specyfiki, Robert Tomasi i Irena Eichlerówna zapewнили nam cykliczny radiowy kontakt z wielką rzeszą radiosłuchaczy. Propozycja Tadeusza Boreczaka daje redakcji możliwość mówienia do... ale także wysłuchiwanie uwag reprezentatywnej grupy sympatyków pisma i gatunku, którzy tym samym zyskują wpływ na nasze działania. Nigdy przecież nie udawaliśmy, że wiemy wszystko i nie potrzebujemy rad. Z tych samych powodów czytamy z uwagą listy Państwa.

nego głosu na antenie czy wizji. Ale nawet przemontowywani, skracani mamy wrażenie, że coś chyba zmieniło się w publikatorach na lepsze. Science fiction jako tendencja i jako konwencja, jako sztuka i jako rozrywka, jest dziś w świecie mass-mediów i ich odbiorców lepiej rozumiana niż przed sześciu laty, gdy zaczynaliśmy przygotowania do wydania pierwszego numeru.

Wiemy, że to nie tylko nasza zasługa.

\*

O dwu udanych działaniach promocyjnych w stosunku do miesięcznika i gatunku warto powiedzieć oddzielnie. Każda z tych inicjatyw trwa ponad rok, ma walor cykliczności i była za każdym razem owocem inicjatywy zewnętrznej.

Jesienią 1986 r. zgłosił się do redakcji student prawa, współpracownik Radia Robert Tomasi z prośbą o dyskusję na temat fenomenu SF. Początkujący radiowiec włączył od razu magnetofon do sieci i tym samym okazało się po raz pierwszy, że w celu dokonania nagrania nie musimy wcale biegać na ulicę Mysiwięcką ani na Malczewskiego. Robert podsunął paru z nas sitko pod nos, zadał pierwsze pytanie, po którym od razu było wiadomo, że jest to gość zorientowany, przy którym trzeba się będzie wysilać. Pozostał wierny nam, a my jemu. Jesienią 1986 r. nagrał trzy audycje, co miesiąc jedną; od stycznia 1987 r. rzuł antenowy dwutygodnik pod redakcją Tomasza „Fantastyka w programie IV”. Mówiliśmy w tych audycjach o znanych pisarzach SF – Dicku, Ellisonie, Lemie, Zajdlu; o różnych odmianach fantastyki – fantasy, SF dziecięcej, o komiksie, kinie SF, o grach. Przedstawialiśmy różne tematy SF, mówiliśmy o wydawniczych seriach, o drążących środowisko fanów dyskusjach i polemikach, o nowych prądach w SF, o fantastykach narodowych, o sztuce przekładu... Tak było przez cały niemal rok 1987. Co drugi tydzień w sobotę, od 12.30 do 13.00 Robert pytał, podpowiadał, zastawiał na nas dyskusyjne pułapki, inspirował nas – a my mówiliśmy o tym, co z przeróżnych powodów, choćby braku miejsca, nie mieściło się w piśmie, bądź

## Magiczny świat kostek i żetonów

Coraz bardziej widoczny staje się nowy w naszym kraju rodzaj inwencji fantastycznej – gry planszowe. O kilku pierwszych dokonaniach na tym polu – wydawnictwach firmy „Encore” – pisaliśmy w „Fantastyce” nr 10/84 i 9/87. Wypatrywaliśmy nowych pomysłów, nowych jakości, nowych producentów. No i wypatryliśmy. A właściwie nas wypatrzone. Do jednego z nas zgłosił się przedstawiciel firmy „Sfera”, przynosząc do oceny próbne egzemplarze gry „Magia i miecz” i twierdząc, że jego przedsiębiorstwo planuje poważnie zająć się tym właśnie rodzajem produkcji. Sądząc z jakości „Magii i miecza” zamiar to zaiste chwałebny. Gra sprawia wrażenie oryginalnie pomyślanej i dobrze opracowanej, nie to jednak robi największe wrażenie – przede wszystkim uderza znakomite w tego typu produkcji opracowanie graficzne, i to zarówno okładki, jak i planszy oraz licznych elementów dodatkowych. Zasady sprawiają wrażenie niezbyt skomplikowanych, instrukcja jest dość krótka i jasno napisana. Sama rozgrywka toczy się na planszy podzielonej na trzy obszary, obrazujące trzy części typowego świata fantasy, wraz z nieodczuwalnymi czarownikami, wróżkami, potworami, wszelkiego typu pułapkami i niespodziankami. Grająca zostaje poszukiwaczem przygód, wciela się w jedną z 28 proponowanych postaci. Każda z tych postaci ma inną siłę, mądrość,

inne możliwości i umiejętności, jednak każda, przy umiejętnym wykorzystaniu swego potencjału, ma równe szanse na zwycięstwo. Element losowy został w grze sprowadzony do minimum, dzięki czemu wygrana bardziej zależy od sposobu prowadzenia rozgrywki niż od szczęścia. Odpowiednie posługiwanie się stu kilkudziesięcioma różnymi kartami – przygód, czarów, ekwipunku – może czasowo podnieść możliwości poszczególnych postaci.

Dużą zaletą gry jest umieszczenie ważniejszych informacji bezpośrednio na biorących udział w rozgrywce elementach, dzięki czemu została wyeliminowana konieczność ciągłego zaglądania do wszelkiego rodzaju tabel i odnośników, co stanowiło jeden z mniej zachęcających aspektów znanych nam wcześniej gier firmy „Encore”. Skróciło to również ogólny czas rozgrywki, co nie jest bez znaczenia w naszej zagonionej rzeczywistości.

Odnieśliśmy wrażenie, że „Magia i miecz” ma szanse stać się prawdziwym przebojem. Czas pokaże czy te szanse zostaną wykorzystane. Nam w każdym razie gra bardzo się podobała i życzymy jej wszystkiego najlepszego. I na koniec coś konkretnego: wszelkie informacje, dotyczące ceny i możliwości zakupu można uzyskać, pisząc pod adresem: BPIRF „SFERA” Sp. z o.o., 00-952 Warszawa 40, skr. poczt. 6.

(mt)



## Ojczyzna Ars longa

Ojczyzna Ars longa vita brevis  
Położona jest u bieguna szkarłatnej róży  
W pobliżu równiny błyskawic.  
Wszyscy przybywający do Ars longa  
Narażeni są na utratę  
Wzroku i mowy.  
Odzyskują wzrok i mowę  
W momencie wschodu olbrzyma.  
Olbrzym wynurza się z ciała  
Szkarłatnej róży  
I zwołuje na odsiecz pozostałe  
Horyzonty.

Nałożnica olbrzyma zwana nigdy  
Oddaje mu swój blask w południe

Ale tego już nikt nie jest w stanie  
Ujrzyć i wypowiedzieć.

## Apollo II

Bogini Selene, córka tytanów  
Udzieliła mi opiekuńczych skrzydeł.  
Wśród księżycowych gór,  
Studni, w które zapadły oczy  
Tęgo świata –  
Wśród skał, popiołów, kamiennych tokowisk,  
Przepaści, wulkanicznych straży  
I nicości powietrza  
„Orzeł” strzegł ich powrotu.

Wtedy to o wczesnym poranku,  
Gdy nad moim rodzinnym drewnianym domem  
Drżał głos słowika  
I rosa była niebieska,  
Liczby strofy kosmosu  
Zarzucały swoje sieci –  
Oni zbierali księżyc jak się zbiera  
Tysiąclecia dla muzeów  
Ziemskiej historii.

Już rozpoczęta opowieść Szecherezady.  
Spoglądamy jeszcze głębiej,  
Gdzie niejedna miłość  
I niejeden los nas spotka  
Na wielu światach milczącego  
Nieba.

## Dzwon Pasterz

Zima pasterzy zwierzyńca niebieskiego  
Pastwiska na kopułach i namiotach szczyty  
Pasterze śpią na zboczach  
I śpią spokojnie stada.

Tylko ty o śniegu Dzwon  
Słyszysz wokół

## Strofa księżycowa

Hefajstos wykuł tutaj zamię,  
Które niebiosom nazwę dały nocy.  
Na skałach odbłask w mroku  
I łód nicość swoją toczy.

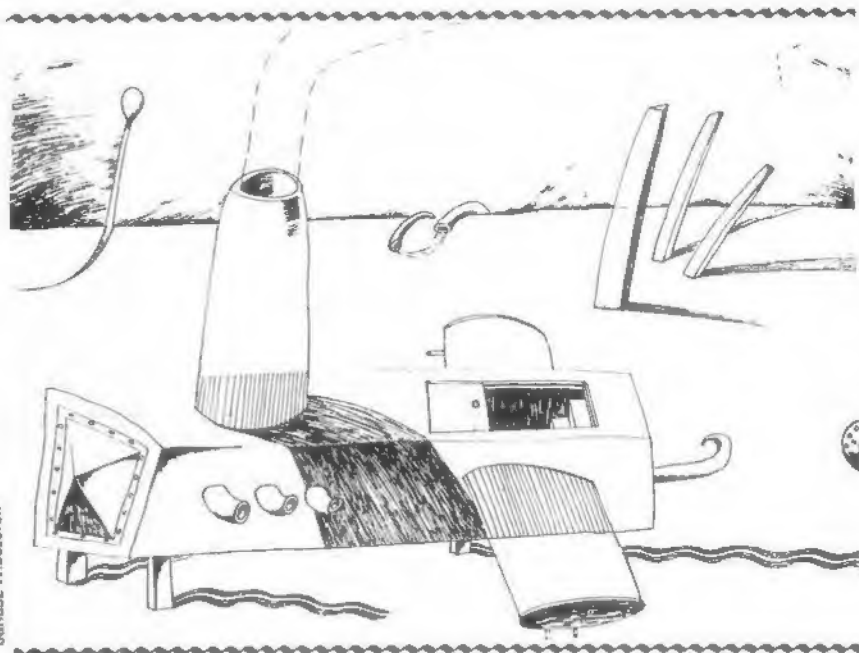
## Pod niebem trójsłońca

U brzegu morza na srebrze  
Rybie łusek szeleszczących cicho  
My dwoje zanurzeni  
Pośród oczu listowia  
Zakochani

Pod niebem trójsłońca  
I poświaty mlecznej drogi  
My dwoje zapatrzeni w siebie  
Pojednani

Dla ciebie królestwo moje  
Z ziemskim podjęta owocem  
I rozkoszą męża swego

Jesteśmy w niepojętym czasie  
Zdumieni wspólnym obcowaniem



Janusz Włoczek

## Król Galaktyczny

Rozwarta księga gwiezdna. Jak będziesz żyć  
O tym czasie.  
Czas. Nas ziemia zaciemnia na sen  
Planetarny.

Ty, w bogactwie wielu słońc,  
Cóż wiesz o słońcu jedynym,  
Wschodzącym i zachodzącym rytmicznie,  
Cóż wiesz o pysznej postawie tych, których zadziwia  
Taki pejzaż – –

Wiersze Stefana Połom (zob. Słownik polskich autorów fantastyki – str. 56) powstały w czasie jego czteroletniej obecności na Wzgórzu Kopernikowskim we Fromborku. Niektóre z nich były dedykowane astronautom, którzy losu i przeznaczenia nie osiągnęli w celu podróży. „Król Galaktyczny” to pewien cykl wierszy dający obraz poetyckiego wyrazu człowieka i Kosmosu.

Stefan Połom



ONION  
kamery  
str. 6.

ZYGMUNT

NOWAK-SOLIŃSKI



ilustracja: Jacek Kawalerowicz

...Rozległo się znajome pyknięcie lampy błyskowej połączone z gwałtownym wyzwoleniem potężnej dawki energii świetlnej i Hunter, który na czas ekspozycji odwrócił głowę od sprzętu, pochylił się znów nad kamerą, żeby zmienić przysłonę. Upłynęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, że obrazu, który przed chwilą fotografował, nie ma na swoim miejscu. Nieco zdezorientowany rozejrzał się wokoło, schylił, omiół wzrokiem podłogę, spojrzał nawet na sufit...